

Katarzyna Mlek



ZAPOMNIJ
PATRZĄC NA
SŁONCE

Oficynka

Katarzyna Mlek



ZAPOMNIJ
PATRZĄC NA
SŁOŃCE



Oficyna

HANKA. Dobry wieczór

— Dobry wieczór! — Kruk skłonił uprzejmie głowę. Błysnęło czarne jak bryłka węgla oko. Smutne niczym kopalniana hałda, na której nic więcej nie wyrośnie.

— Dobry wieczór! — odpowiedziała równie uprzejmie Hanka. Usiadła i poprawiła kołnierzyk piżamy. Różowy, z angielskim haftem. Obrębione grubą nicią dziurki układały się w kształty kwiatów. Niezwykle gustownie i wieczorowo.

— Co u ciebie? — zapytał ptak konwersacyjnym tonem i przeszedł kilka kroków po ramie łóżka. Trzymał się jej mocno pazurkami, trochę kalecząc sosnowe drewno. Ale inaczej byłby spadł.

— Nic szczególnego. — Hanka pociągnęła nosem i nasadziła sobie jasek na głowę. Sterczał jak trójkątna czapka pajaca.

— Ech, życie — zachnął się nie wiedzieć czemu kruk. Potarł kilkukrotnie dziobem o kant wezgłowia. Zeskoczył na kołdrę i bijąc skrzydłami dla utrzymania równowagi na jej wybojach, podszedł do Hanki. Wskoczył jej na ramię i zaczął grzebać dziobem we włosach. Doszperawszy się gumki, złapał ją mocno i ściągnął z kucyka. Bardzo lubił ozdoby do włosów. Zwłaszcza kolorowe frotki.

Przez chwilę milczał, zajęty rozszarpywaniem gumki na strzępki. Gdy skończył, rozgrabił je łapkami i wskoczył na wezgłowie. Przeszedł kilka kroków w lewo, a potem kilka w prawo. Potrząsnął głową i rozpostarł przypominające błony pławne skrzydła. Zastygł tak na moment, aby po chwili z łopotem zwinąć się w kulkę.

— No i co? Dziobiemy? — zapytał w końcu.

— Nie, nie dziob mnie — poprosiła Hanka. — Mam czyste paznokcie!
— Na dowód wyciągnęła przed siebie dłoń.

— A uszy? — Kruk nie dawał za wygraną.

— Uszy myłam wczoraj.

— A nos?

— Nie mam kataru.

— Nic do wydziobania?

— Absolutnie nic! — Hanka położyła dłoń na sercu.

— No to odfruwamy? — upewnił się ptak.

— Tak — potwierdziła Hanka.

Pofrunęli. Lecieli długo, tak długo, że Hance zrobiło się zimno, a jej plecy pokryły się gęsią skórką. Zaczęła kichać. W końcu zobaczyli w dole wodę.

— Tu się zatrzymamy — powiedział kruk i obniżył lot, a za nim Hanka, jakby uwiązana na niewidzialnej smyczy.

Ptak wylądował na brzegu basenu. Zbiornik miał ostre, prostopadłe krawędzie. Śliskie od glonów i drapiące od pąkli. Gdzeniegdzie, na pogrążonych w mętnej wodzie ścianach połyskiwały białe kafle. Hance basen wcale a wcale się nie podobał.

— Chcę lecieć dalej! — Nadąsała się i tupnęła bosą nogą.

— Nie ty tu decydujesz! — uciął ptak. Trzepnął skrzydłami, podskoczył i dziobnął ją mocno w głowę. We włosach pojawił się koralik krwi. Hanka zrozumiała. Żadnych „ale”.

Usiadła na podeście. Chciało się jej płakać. Miejsce dziobnięcia szczypało. Hanka pochyliła się nad rtęciową powierzchnią, aby sprawdzić, czy rana mocno krwawi. Niebo odbijało się w wodzie jak w lustrze.

Pomimo blasku przy dnie zauważyła ryby. Ogromne jak liście łopianu. Poruszały się wolno, wyginając ciała. Błyskały łuski.

— O, płaszczki! — ucieszyła się dziewczynka i zapomniała o dziobniętej głowie. — To znaczy ogończe, widziałam takie w telewizji. Ogończe! —

oznajmiła dumna i blada, a kruk z uznaniem pokiwał głową.

— Tak, tak — potwierdził i zanurzył dziób w zbiorniku, aby się napić.

— Jak powiem o tym Agacie, nigdy mi nie uwierzy! — Hanka wstała i zaczęła biegać wzdłuż brzegu. — Prawdziwe ogończe! — piała z zachwytu. Ryby kłębiły się w odmętach, od czasu do czasu prześlizgując się pod samą powierzchnią wody.

— Chcesz ich dotknąć? — zapytał ptak, niby uprzejmy i stroniący od przemocy. Hanka zrobiła się czujna. Przymilny ton zazwyczaj źle wróżył.

— Nie, to niebezpieczne! — Odskoczyła od brzegu i objęła się ramionami. — Widzisz te kolce? — Pokazała krukowi gestem wstęgowaty ogon przepływającej nieopodal płaszczki. — To nie dekoracja, ale śmiertelnie skuteczna broń. Pika. Jadowita pika. Jad zabija powoli i boleśnie. Tak mówili w telewizji.

— Obawiam się, że musisz zaryzykować, moja droga. — Kruk nagle zmienił ton. — Musisz je wyłowić!

— Czym mam je powyciągać? — Hanka rozejrzała się w poszukiwaniu wideł czy oszczepu. Niczego takiego nie zauważyła. Otaczała ją pustka. Nie pustynia. Po prostu brak czegokolwiek. „Jak niczym łowić płaszczki?” — zastanawiała się dziewczynka. Kruk wydawał się jednak niezrażony brakiem sprzętu.

— Wyłowisz je „na rękę”. Stary sposób traperów — odpowiedział. — Wkładaj rękę do wody. One lubią rękę. Złapią cię za palce, to je powyciągasz. No, dalej! — ptak syknął niczym wąż i nastroszył pióra.

Przez chwilę Hanka miała ochotę się postawić. Złapać za wiotką szyję, zgiąć ją jak słomkę. Kruchy kręgosłup ptaka pstryknąłby niegłośnie. Zamiast kruka satysfakcjonujący trup. To uczucie zniknęło niemal natychmiast. Nie było o czym dyskutować. Prosty wybór: albo ryba, albo dziobanie. Nie takie zwykłe, czyszczące, ale poważne. Do krwi, do kości. Ze strachu Hance

zachciało się sikać. Już lepiej zaryzykować z płaszczkami.

Westchnąwszy podwinęła rękaw aż pod pachę. Ukłęknęła i pochyliła się nad wodą. Potargane w pościeli włosy łaskotały jej twarz. Odsunęła je ramieniem, a potem zdecydowanym gestem zanurzyła dłoń, najpierw płytko, potem po łokieć. Woda była nijaka. Ani zimna, ani ciepła. Dziwne. Hankę przeraziło to mocniej niż lodowatość czy ukrop.

Ryby od razu zauważyły. Zaczęły krążyć, szybciej i szybciej, unosząc się od dna i zbliżając do przynęty. Ostrożne, ale łakome, podpływały coraz bliżej. Widać było ich wyłupiaste oczy, niczym białka jaja, oślizgłe i wodniste. Od czasu do czasu błyskały białe brzuchy. Hanka zaczęła płakać.

Pierwsza ogończa wgryzła się w jej dłoń tak mocno, że popłynęła krew. W wodzie pojawiły się czerwone smugi, po chwili rozgonione przez pobudzone zapachem mięsa ryby. Hanka wrzasnęła i wyciągnęła rękę z wody. Płaszczka nie puszczała, wżarta w ciało ostrymi, haczykowatymi zębami. Przeleciała nad głową dziewczynki, wciąż kęsając jej ciało. Puściła dopiero wtedy, gdy Hanka plasnęła nią o brzeg. Przez moment ryba łopotała o wyłożony płytami skraj basenu, aby po chwili osłabnąć. Przypominała rozmoczony grzyb mun. Hanka zwymiotowała pod pobliski krzak.

— Dobrze, dobrze! — zakrakał kruk i podskoczył do martwej ogończy. Wydziobał rybie oczy i pożarł je ze smakiem. Równie chętnie konsumował tylko brud zza Hankowych paznokci i zaschnięte na beton strupki zrywane z jej bladych łydek. Dziewczynka przyglądała się mu z obrzydzeniem, ściskając nadgarstek. Krew powoli zastygała. Kruk dziobnął jeszcze nieco wymiocin i otrząsnął się ze wstrętem. Nie podeszły mu.

— Starczy? — zapytała Hanka w nadziei, że ptak się nasycił.

— Nie. Chcę jeszcze! — zażądał kruk. — Ręka do wody!

Hanka wyłowiła jeszcze cztery ryby. Trzecia wgryzła jej spory kawałek przedramienia. Ptak jednak nie ustępował.

— Jeszcze, jeszcze! — krakał i charczał, dziobiąc jej kostki, a Hanka łowiła dalej, bo obiecał, że jak się naje, przestanie ją dźgać i polecą do domu.

Płaszczki były teraz mniej ostrożne. Ich skrzela poruszały się prędko, jakby ryby dyszały z podniecenia. Krew stępiła ich instynkty. Nie bały się zbliżyć do powierzchni, która aż falowała od ich pożądliwych ciał. Podwodna orgia. Otepiała z bólu dziewczynka nie zwracała na to uwagi. „Zje i do domu, zje i odlecimy” powtarzała sobie w duchu, zaciskając zęby. Kolejna ryba chwyciła, gdy tylko dziewczynka zanurzyła w wodzie palce.

— A! — krzyknęła Hanka, gdy poczuła wgryzające się do kości zęby ogończy.

Próbowała natychmiast wstać i wywlec zdobycz na brzeg. Ryba była jednak ogromna. Trzymała mocno, nie sposób było jej unieść. Zamiast poddać się jak poprzednie, zaczęła ciągnąć w głąb basenu. Majtała ogonem, waliła płetwami i ciągnęła. Do dna, do dna.

— Pomóż mi! — zawołała Hanka do kruka, ale on wolał przyglądać się obojętnie. Hanka szarpnęła się w tył, poślizgnęła i runęła do basenu.

Woda zalała jej płuca. Ciśnienie rozsadzało głowę. Ale w basenie łatwiej było walczyć z ogończą. Hanka kopnęła ją mocno i ryba puściła jej dłoń. Dziewczynka wynurzyła się na moment.

— Pomóż mi wyjść! — krzyknęła do ptaka i chwyciła się brzegu basenu. Próbowała zaprzeć się o niego, ale był śliski od glonów. Śliski jak tafla topiącego się lodu.

— Nie.

— Proszę, pomóż mi! — Hanka cały czas próbowała się wdrapać na obrzeże zbiornika. Ogończe kąsały jej nogi.

— Właż do wody i łap je! — zakrakał ptak i dziobnął Hankę w głowę. Oszołomiona dziewczynka puściła się i poszła na dno.

Tam zajęły się nią ryby. Zdarły z niej piżamę. Dźgały ją swoimi ogonami.

Wygryzały miękkie części brzucha i ud. Hanka krzyczała, a woda wlewała się jej do ust. Od czasu do czasu udawało jej się wynurzyć i złapać oddech. Kiedy wypływała, słyszała kruka. Powtarzał niedorzeczny wierszyk.

*Woda głęboka sięga pod pachy
A pod powierzchnią czają się strachy
Cało nie wyjdiesz z zielonej toni
Kolec jadowy w niej cię dogoni*

Kruk powtarzał rymowanekę i gdy tylko Hanka zanadto zbliżała się do brzegu, wskakiwał jej na głowę i wpychał dziewczynkę pod wodę. Hanka opadała z sił, a ryby dźgały ją i podgryzały z każdej strony. „Ostatni raz” postanowiła i z całej siły odbiła się od dna. Jej głowa na moment wynurzyła się na powierzchnię. Jak boja.

— Tato, tato! — zawołała Hanka i zatonąła.

JANUSZ. Zapomnij, patrząc na słońce

— Cholera, znowu wyje! — mruknęła śpiąca po lewej stronie Sabina. Jej oddech czuć było wytrawnym kiedyś winem, a do spoconych włosów przywarł zapach zleżałych perfum Oui Oui. Jej zdaniem elegancki. Woląca spryskać nimi warkocz, zamiast go po prostu porządnie umyć. Kobieta przewróciła się na drugi bok i zakryła głowę jaśkiem. Spod niedopiętej koszuli nocnej wylała się rozlazła pierś. Nic ciekawego. Janusz miał ochotę wyjść na balkon, aby wywietrzyć z głowy i ten obraz, i tę woń.

— Tato, tato! — dobiegło znowu z głębi mieszkania. Dopiero teraz Janusz zrozumiał, co go obudziło. Odrzucił nieświeżą kołdrę, która upadła z fuknięciem na podłogę. Skoczył na równe nogi i potykając się o własne kapcie, pobiegł do pokoju Hanki. Głos córki był tak alarmujący, że zaschło mu w ustach. Skręcił gwałtownie obok szafy, ślizgając się na wydeptanym

chodniku, i w kilku susach dopadł łóżka córki.

Dziecko siedziało z otwartymi oczami, chyba nieświadome, że się obudziło. Drobne dłonie otwierały się i zamykały, jakby łapiąc coś, co dziewczynka widziała we śnie. Spocona piżama przywarła do chudych pleców niczym plastikowa peleryna, zmoczona ulewą. Janusz poczuł ściskające gardło wzruszenie.

— Cichutko, cichutko — wyszeptał i usiadł obok Hanki. — Cicho. — Przytulił mocno trzęsące się ciało i przygładził zmierzwione włosy.

Hanka była taka drobna. Mała jak na swoje siedem lat, ale mądra i sprytna. Jego krew! Często budziła się po nocach, wołając Janusza. Miewała jakieś koszarne sny, których nie potrafiła dokładnie opowiedzieć. Mruczała, szlochała, a potem zasypiała w ramionach ojca. Czasem siedział z nią do rana, bo nie potrafił jej odłożyć. Byli wtedy tylko we dwoje, a za oknem popiskiwały wstające o brzasku ptaki. Śpieszące się nie wiadomo do czego.

Dzisiaj Janusz jak zwykle patrzył na gasnące za oknem latarnie i szeptał uspokajające mantry. W oddali widać było kopalniane szyby, okutane mgłą i smogiem. Smętne i beznadziejne. Przy szczytach kominów migąły czerwone światła, jak w burdelowej dzielnicy. Na klatce schodowej zaszczekał ratlerek sąsiadki. Piskliwie i przenikliwie.

— Kurwa, ucisz go! — dobiegło z sypialni, a Janusz pokręcił głową z politowaniem.

Kiedyś Sabina wyprowadzona z równowagi przez szczekającego pod klatką czworonoga rzuciła w niego paterą. A potem dwoma garściami orzechów. Janusz naprzeczaszał się wtedy za wszystkie czasy. Za żonę. Jak zwykle. Często przeproszał za awantury, jakie Sabina urządzała z byle powodu mieszkańcom „Tysiąclecia”. Po prostu lubiła wrzeszczeć na ludzi aż do zaplucia podbródka. Raz oberwała od kogoś w pysk. Pijana w sztok. I

dobrze. Janusz spojrział w kierunku sypialni, aby sprawdzić, czy nie wypełza z niej poirytowana małżonka. Cisza. Nie zamierzał tam wracać.

Z Sabiną był żonaty od dziesięciu lat. Nadal jej nie rozumiał. Był w stanie zaakceptować to, że kobieta nienawidzi, gdy zakłóca się jej sen. Zdumiewał go jednak nieodmiennie stosunek żony do Hanki. Wyglądało na to, że urodzenie córki było pierwszą i ostatnią rzeczą, jaką Sabina dla niej zrobiła. A i to niechętnie. Janusz westchnął. Czasem wydawało mu się, że nic innego nie robi, tylko wzdycha.

Jego własna matka zawsze przy nim była, aby go nakarmić, umyć, przebrać, opatrzyć kolano. Przykładna gospodyni domowa. Sabina nie przejmowała się takimi drobiazgami, chociaż też nie pracowała. Widocznie kobiety są różne. Ech, życie. Janusz przytulił mocniej córkę.

— Co ci się śniło? — zapytał łagodnie i pocałował chłodny policzek Hanki.

— Kolce. Byłam w wodzie, a pod wodą były kolce. Ryby mnie nimi kłuły. I był jeszcze kruk. Nie chciał mi pomóc. Bałam się. Wołałam, ale nikt mi nie pomagał. Siedziałam w basenie i nie mogłam wyjść. Woda, woda, nie mogłam oddychać! Ręce mi pogryzły! Pokłuły! — Hanka zaczęła płakać.

— Nie martw się, to tylko sen — zapewnił ją Janusz. O kuku słyszał od dziecka nie pierwszy raz. Każdy człowiek ma swój dyżurny koszmar, najwyraźniej Hanka postawiła na ptaka. — Popatrzysz rano na słońeczko, zapomnisz. Zapomnisz...

Hanka powoli się uspokoiła. Jej ciało zwiotczało, a oddech stał się równy niczym tykanie zegara. Janusz delikatnie ułożył ją na łóżku, a sam wyciągnął się na podłodze. Trochę chciało mu się spać. Patrzył na popękany sufit i myślał o niczym. Nie było o czym myśleć.

— Śpij, kochanie, zapomnisz, jak spojrzysz na słońce — mruknął do śpiącej Hanki i zamknął oczy.

Śniadanie jak zwykle szykował Janusz. Dla siebie i dla Hanki. Postawił przed dzieckiem miskę płatków śniadaniowych. Bez mleka. Hanka nienawidziła mleka. Potrafiła zwymiotować, czując jego zapach. Sam siorbnął kawę. Była kwaśna jak woda z ogórków. Dziadostwo teraz w tych sklepach. Gówno i dziadostwo. Może gdyby było ich stać na Jacobsa zamiast Fuego, nie byłoby tego kwasu. Kwasica niedostatku. Janusz wzruszył ramionami i sam siebie skarcił za pesymizm. Czasem miał dosyć własnego zachowania.

— Jak ci się spało? — zapytał córkę, udając, że nie pamięta jej nocnych krzyków. Uśmiechnął się z przymusem i nagle poczuł, że w sumie ma ochotę się uśmiechać. Czemu nie? Na przekór!

— Dobrze, tato — odpowiedziała Hanka, krusząc niemiłosiernie i rozsypując naokoło płatki. Janusz wstał i sięgnął po szczotkę. Trzeba zamieść. Jak Sabina wdepnie w okruchy, będzie afera. Odbije się na Hance. Sabinowym worku treningowym.

— A śniło ci się coś? — wymamrotał, czołgając się pod krzesłem dziecka.

— Nie. Nic. A czemu pytasz? — Hanka majtała nogami.

— A tak sobie. Za okienko spojrziałaś z rana? Ładna pogoda nam się szykuje, co?

— No. Patrzyłam. Sroka siedziała na jarzębinie. Mało się gałąź nie złamała! — zaśmiało się dziecko.

— Dobrze. Fajnie — odparł mężczyzna i wysypał zamiecione okruszki do kosza. Szufelkę odłożył starannie na miejsce. Sabina wprawdzie nie sprzątała, ale nienawidziła rozgardiaszu. A pamięć miała dobrą. Wszystko miało swoje miejsce. Dopił kawę i ugryzł kawałek czerstwego chleba. Wrzucił do teczki kajzerkę z żółtym serem. Nie było co przedłużyć.

— No, lecę do roboty! — uśmiechnął się do córki i wstał.

Hanka smętnie grzebała paznokciem w szparze stołu. Przesuwała nim powoli, a spomiędzy desek wyłaził zrolowany, czarny tłuszcz. Głowę schowała w ramionach. Jakby chciała się uchylić przed trzepnięciem w głowę. Sabina często ją okładała. Okładała i powtarzała, że jest kretynką. Janusz dostawał duszności na samą myśl, że wściekła z rana żona z pewnością rozrusza się, tresując Hankę. Ale iść musiał.

Powoli założył kurtkę i schylił się po teczkę. Wyprostowawszy się, zauważył, że Hanka na wpół stoi, na wpół wisi na kuchennej framudze i mu się przygląda.

— Pa! — szepnął, a dziecko pomachało do niego i poszło do swojego pokoju. Pewnie posiedzi tam do dziewiątej, aż matka łaskawie wstanie i wyprawi je do szkoły. Ale on naprawdę musiał już iść!

Wyszedł na korytarz i przez moment walczył z przemożną chęcią rąbnienia z całej siły drzwiami mieszkania. Trzaśnięcia tak, aby tynk poleciał ze ścian. Obudziłby śpiącą harpię, z pewnością wyskoczyłaby z betów jak oparzona. Potem dręczyłby ją ból łba. Dobrze! Opanował się jednak i zamknął je ostrożnie. Póki Sabina śpi, Hanka ma spokój. Może żona wstanie w przyzwoitej formie.

Zbiegł schodami. Jego stopy ślizgały się na krawędziach stopni. Ni to zjeżdżał, ni to schodził. Zupełnie tak, jak wtedy, gdy miał lat piętnaście i gnał do czekających na dole kolegów. Tyle mu zostało z młodości. To durnowate ślizganie się na schodach.

Wypadł przez metalowe drzwi ze stłuczoną szybą. Zamknęły się, skrzypiąc, a Janusz nie oglądając się za siebie i walcząc z osiedlowym tornadem, powlókł się na przystanek. Kiedy dotarł do przejścia pomiędzy ciągnącymi się bez końca blokami, po ładnej pogodzie z wczesnych godzin porannych nie było już śladu. Niebo nagle zaciągnęło się sinymi od smogu chmurami. Zaczął siąpić drobny deszcz, gorszy niż ulewa, bo bardziej

wytrwały. Januszowi czasem zdawało się, że pada wyłącznie dla niego. Gdy tylko wychodził na zewnątrz, nagle znikąd pojawiał się deszcz. Krople zostawiały na kurtce szare smugi. Deszczówka w Katowicach przypominała zawiesinę, a nie krystaliczną wodę, którą dawno temu matka Janusza myła włosy. „Najzdrowsza na piękny warkocz!” — śmiała się, mocząc włosy w wiadrze, a jej piersi bujały się na boki. Jak zwykle nie miał parasola. I jak zwykle szedł w pantoflach, które po kilku krokach przemokły. Cholera! Czekał go kolejny dzień w wilgotnym obuwiu. Kolejny wspaniały dzień.

Pod wiatą przystanku tłoczyli się ludzie. Deptali się i przepraszali, a potem potracali torbami i teczkami. Kotłowali się za pleksiglasową szybą niczym schwyte do słoja ćmy. Szarzy, jacyś tacy włochaci.

Janusz wepchnął się pod daszek i czekał. Nad tłumem unosiła się para o zapachu ziemniaków i kapusty. Jak to na Śląsku. Ta woń jest dosłownie wszędzie. Mężczyzna podniósł kołnierz i wcisnął w niego nos. Ponieważ Sabina rzadko gotowała, tkanina nie przesiąkła wszędobylskim odorem bitek i buraków.

Przez znajdujące się za przystankiem pole przebiegła horda bezpańskich psów. Poszczekiwały na siebie, gnając za pędzonym przez wiatr śmieciem. Kilka z nich kulało. Kundle często atakowały, głównie dzieciaki i staruszki. Oczekujących na przystanku bały się ruszać. Przemknęły tylko obok, rzucając ludziom kilka kaprawych spojrzeń.

Autobus nadjechał nawet punktualnie. Nabity. Rozpłaszczeni na oknach ludzie ledwo oddychali. Janusz wcisnął się na pierwszy stopień i przechylił w tył. Drzwi zamknęły się z sykiem, a on natychmiast został pchnięty przez masę ludzi i przykleił się do szyby. Jeżeli drzwi nagle się otworzą, wypadnie na ulicę. Pęknie czaszka. Poleje się krew. Okradną go z teczki i portfela, a potem zadzwonią po policję. Janusz nie mógł się zdecydować, czy się tego obawia, czy tego pragnie.

Smród nieświeżej odzieży powodował mdłości. Po co prac codziennie? I tak się w robocie upieprzy. Na każdym przystanku Janusz na moment wyskakiwał z pojazdu, aby wypuścić wysiadających i wpuścić nowych pasażerów. Wciskał się potem jako ostatni, aby jak najdłużej cieszyć się świeżym powietrzem. Może nie rześkim i krystalicznym, ale nie powodującym odruchu wymiotnego. W końcu umęczony skakaniem i wciskaniem się w ciżbę, wysiadł dwa przystanki wcześniej.

Jego kopalnię widać było na końcu ulicy. Prostej, wybudowanej tylko dla jego zakładu. Kiedyś potęga, dzisiaj zawałidroga. Pożeracz budżetowych pieniędzy. Kopalnia „Śląska”. Na ścianach zakładowej szatni wisiały pomarszczone ze starości zdjęcia z jej otwarcia i co większych imprez górniczych. Januszowi trudno było uwierzyć, że zrobiono je faktycznie w „Śląskiej”. Że ktokolwiek kiedykolwiek robił w „Śląskiej” jakieś rekordowe wyniki. Dzisiaj gdy określenie „czarne złoto” wywoływało śmiech, wyglądający wczesnej i hojnej emerytury górnicy ledwo co kopali. Nawet gdyby chcieli robić więcej, i tak nie mieli sprzętu. Zjeżdżali pod ziemię dlatego, że tak robili dziadkowie i ojcowie. Dla chwały. Dla tradycji. Janusz był kopalnianym księgowym. Jednym z marnych gryzipiórków w dziesięcioosobowym dziale. Sabina pogardzała jego stanowiskiem. „Jakbyś był twardszy, byś na dół jeździł!” — kpiła.

Kiedyś gdy górnicy mieli pozycję, nawet sobie chwalił tę pracę. Ryzyko żadne, a profity solidne. I te sklepy górnicze! Dzisiaj... Klepał swoje rozliczenia, stemplował rachunki, drukował pokwitowania. Byle do emerytury. Jemu też należała się wcześniej. Wtedy założył swoje biuro rachunkowe, będzie brał robotę do domu. Nawet lokalu na to nie trzeba! Hance kupi porządny tornister. I pisaki kolorowe. Na studia dla niej odłoży, że hej!

Zapatrzony w swoją świetlaną przyszłość Janusz nawet nie zauważył,

kiedy dotarł do bramy. Kopnął w nią bez przekonania.

— Idę, panie, idę! — odpowiedział bełkotliwy głos po drugiej stronie.

Po chwili brama się otworzyła. Nie dumnie, na oścież, ale z obawą. Jak w obłożonej twierdzy. Janusz wślizgnął się do środka. Za nim huknęło głucho metalowe skrzydło.

HANKA. Rwący nurt

Kilka dni później Hanka wstała bardzo wczesnie rano. Czuła się wypoczęta i przytomna. Kruk darował jej tę noc. Uprzedzała, że nie będzie mogła się z nim spotkać z powodu wyjazdu z tatą na ryby. Obiecał, że się nie pojawi i Hanka zdoła się wyspać. Dotrzymał słowa. Kruk nie był aż taki zły.

Za oknem szeleściły liście rosnącej zaraz pod blokiem jarzębiny. Rarytas. Na blokowiskach zazwyczaj nie ma drzew. A Hanka miała. I do tego zaraz obok. Jesienią drzewo pokrywało się kiściami pomarańczowych owoców. Hanka miała do nich najbliżej. W zasadzie to były jej jarzębiny. Ona decydowała, kto i ile może dla siebie zerwać. Chętnych było zawsze więcej niż jarzębinowych pęków.

Usiadła na łóżku i wychyliła się nieco, aby wyjrzeć na zewnątrz. Owoce jarzębiny już się pojawiły, ale były jeszcze bledziutkie. Dopiero lipiec, jeszcze czas. Dziewczynka położyła się z powrotem i czekała, aż słońce wygrzebie się ponad dachy i rozgrzeje asfaltowe ścieżki. Dopiero wtedy, czując już lekki letni zaduch, wstała.

Powędrowała do kuchni. Błat stołu, pokryty zielonkawymi kaflami, był przyjemnie chłodny. Sama kuchnia, położona od zachodu, nie zdążyła się jeszcze nagrzać jak piekarnik. Hanka wyjęła z szuflady nóż, usiadła na krześle i zajęła się jak zwykle wygrzebywaniem brudu ze szpar pomiędzy kaflami. Czekala, aż rodzice wstaną.

Pierwszy pojawił się Janusz. W pośpiechu wypił szklankę wody i zniknął

w łazience. Po chwili dziewczynka domyśliła się dlaczego. Z sypialni wychynęła wymięta matka.

Hanka pamiętała ładną Sabinę. Wcale niedawno matka była wręcz piękna. Miała czarne, lśniące włosy upięte w kok o komicznej nazwie „banan”. Czasem kręciła je na hydroloki i rozpuszczała. Sięgały jej aż do talii. W szafie stały dwie pary szpilek, jedne czarne, a jedne srebrne. Gotowe do wyjścia na spacer. Gdzie one się podziały? Gdzie te buty? Zostały tylko jakieś łapcie, niemodne i poniszczone. Hanka była pewna, że kiedyś Sabina malowała powieki na zielono i niebiesko. Albo na fioletowo. To było tak niedawno. Może dwa lata temu. Może trzy. Wtedy jeszcze jej się cokolwiek chciało. Na czymś Sabinie zależało. Chociażby na własnym wyglądzie.

Dzisiejsza Sabina nie przypominała młodej Sabiny. Niekiedy trudno było uwierzyć, że ta pomarszczona kobieta z przyklejonym do warg papierosem to ta sama, którą przedstawiają stare zdjęcia o ząbkowanych brzegach. Hanka czasem je przeglądała, w ścisłej tajemnicy. Sabina nie znosiła tych fotografii. Kiedy przyłapała córkę na grzebaniu w albumach, darła zdjęcia na strzępy, a potem wyła w poduszkę. Konieczna była ostrożność. Niedługo nie zostanie ani jedna pamiątka po tamtej Sabinie! Wszystkie pochłonie furia matki.

„Niemożliwe” myślała dziewczynka, porównując Sabinę dzisiejszą z niegdysiejszą. Skąd wzięły się resztki zbrylonej szminki w kącikach wykrzywionych ust? Zacięty wyraz twarzy? Hanka nie mogła pogodzić się z tym, że nie ma już matki w kremowej sukni retro, o polakierowanych i błyszczących paznokciach. Tęskniła. A czasem po prostu się Sabiny wstydziała.

Podczas gdy Hanka rozważała, czy tamtej matki nie podmienił jakiś bebok czy inny diabeł — każde dziecko wie, że czasem tak bywa — Sabina zmagala się ze śniadaniem. Chleb szurał po desce. Kobieta starała się jakoś go pokroić trzęsącymi się rękami. Kromki wyglądały jak urżnięte piłą

łańcuchową. Ale lepiej było tego nie komentować. W końcu Sabina cisnęła na stół jakieś kanapki. Nie były takie, jak w kolorowych pismach. Z ogórkiem, pomidorem i rzodkiewką. Hanka chciałaby taką kanapkę. Bardzo. Ale takich matka nie robiła. Chleb, masło, wędlina, dżem albo twaróg. Żadnego filozofowania.

— W dupie ci się przewracało! — skwitowała, gdy kiedyś Hanka poprosiła ją, aby posypała biały ser szczypiorkiem. Jadła taki u Agaty, najlepszej przyjaciółki mieszkającej naprzeciwno. Bardzo jej smakował.

Dziewczynka przeżuwała powoli, starając się poradzić sobie bez herbaty. Dziś Sabina nie serwowała napojów. Hance ciężko się przełykało starawe pieczywo, ale lepiej nie narzekać.

— Nie jestem twoją służącą! — syczała na nią Sabina w odpowiedzi na najdrobniejszą nawet prośbę córki. Lepiej się nie odzywać.

Na szczęście po chwili pojawił się Janusz. Wyszedł z łazienki ubrany w stare sportowe spodnie i spraną koszulkę. Pachniał niveą i jakimś podrabianym old spicem czy inną wodą kolońską. Nie ogolił się, ale użył jej, bo wiedział, że Hanka lubi ten zapach.

— O, nie masz nic do picia! — zagadnął do dziewczynki i postawił czajnik na gazie. — Chcesz kawę? — zwrócił się do Sabiny, ale ona tylko prychnęła. Mężczyzna wzruszył ramionami i przygotował dwie herbaty. Żona, chyba urażona ich widokiem, wyszła do salonu.

— Dziękuję — mruknęła do ojca Hanka, a on się uśmiechnął.

— Napij się i uciekamy. Mama chyba się nie wyspała — zaśmiał się i poruszył brwiami. Hanka parsknęła, ale natychmiast umilkła, powstrzymana ostrzegawczym gestem ojca. Nie warto prowokować Sabiny. Zrobi aferę, że się z niej śmieją.

Prędko zapakowali butelkę wody i dwa jabłka do reklamówki. Sprzęt wędkarski leżał już w przedpokoju, przygotowany wieczorem przez Janusza.

Wskoczyli w tenisówki i wyszli. Sabina nawet się z nimi nie pożegnała.

Zaraz pod klatką Hanka zaczęła trajkotać. Zdecydowanie ulżyło jej, gdy tylko zniknęła z oczu Sabinie. Znaczą się „mamie”. Z ojcem było fajnie. Hanka śmiała się i opowiadała mu jakieś niestworzone historie. Nawet nie patrzyła, dokąd idą. W końcu to on prowadził. Dopiero siedząc w autobusie, zauważyła, że nie pamięta ani drogi na przystanek, ani momentu wsiadania do pekaesu.

Jechali niedługo. Za oknem przesuwały się płaskie jak deska łąki, gdzieś tam udekorowane pojedynczym drzewem. Zupełnie jak na pocztówkach z Jury. Hanka chciałaby kiedyś pójść pod takie drzewo, rozłożyć koc, zasnąć. Śnić o niczym. Albo zjeść śniadanie w takim miejscu. Może kiedyś uda się namówić ojca.

— Zaraz wysiadamy — przerwał jej rozważania Janusz i zaczął zbierać rzeczy. Zawsze dokładnie sprawdzał, czy nic nie zostaje w autobusie. Hanke trochę to śmieszyło. Przecież mieli dosłownie jedną siatkę. No i wędkę. Parsknęła cicho i grzecznie stanęła przy drzwiach.

Gdy tylko pekaes zatrzymał się, wyskoczyła w kurz pobocza. Pył podniósł się na wysokość jej kolan i osiadł na skarpetkach. Dziewczynka spojrzała na ojca. Nic. Nawet nie zauważył. Nie przejmował się takimi rzeczami. Sabina pewnie palnęłaby Hanke porządnie w łeb.

Poszli przez las. Przy ścieżce rosło kilka pojedynczych kępek poziomok. Hanka biegła od jednej do drugiej, zrywała ostrożnie czerwone owoce i zjadała ze smakiem. Nic nie może się równać ze świeżymi poziomkami. Nawet ich zapachu nie da się podrobić. Sabina miała kiedyś krem poziomkowy. Śmierdział.

— Chcesz trochę, tatusiu? — zawołała Hanka do wlokącego się nieco z tyłu Janusza.

— Nie, dziękuję. Poczekaj przy zakręcie, bo nie nadążam! — zaśmiał się

ojciec i poprawił torbę z wędką, zabawnie podskakując. Tak trochę bokiem.

Gdy tylko wyszli z za zakrętu, zobaczyli rzekę. Hanka rzuciła się pędem przez nadbrzeżną łąkę, skacząc przez krowie placki. Od czasu do czasu przystawała, aby zerwać garść szczawiu i wepchnąć sobie do ust. Sabina co prawda zabroniła jej tego, strasząc tasiemcami, ale nie było jej tutaj.

W sumie Hance było trochę żal, że matka nigdy nie pojechała z nią i z ojcem. Powinna żałować, że nie widziała miejsca, w którym zawsze wędkują. Znajdowało się całkiem niedaleko przystanku, na niewysokiej piaszczystej skarpie. Pod rosnącym nad samą wodą drzewem powstało głębokie zakole. Bardzo głębokie. Janusz mówił, że na dwa albo trzy metry. Wśród zalanych korzeni drzemały ryby. Połyskiwały pomiędzy omszałymi konarami powyginanymi jak palce staruszek w kościele. Wystarczyło zachęcić je dobrą przynętą, a otwierały oczy i łapały haczyk. A potem można je było sprawić. W domu panierować. Usmażyć. Zjeść. Matka nigdy nawet nie jadła brzan! „Toksyczne, nażarte śmiecia z rzeki, tutaj wszystko jest skażone!” — wyrzekała i nie jadła. Hance było przykro. Januszowi chyba też.

W końcu dotarli na ulubione miejsce. Hanka rzuciła się na trawę, a Janusz zerknął w dół skarpy, rozstawił sprzęt i zarzucił wędkę.

— Dasz mi pić? — poprosiła Hanka. Zaszło jej w gardle po szaleńczym biegu. Łyknęła wody i znowu się położyła. Wokół niej cykały świerszcze. Nie gadała, żeby nie płoszyć ryb.

Niemalże już zasypiała, gdy ojciec zerwał się na równe nogi.

— Jest! — wyszeptał i szarpnął wędzisko, a Hanka usiadła wyprostowana. — Silne bydlę! — ucieszył się i pociągnął jeszcze raz.

Ryba przewaliła się na bok i wypłynęła na powierzchnię. Dziewczynka dostrzegła jej zielone boki i jasny brzuch.

— Szczupak! Tato, szczupak! — ucieszyła się. Szczupaki były smaczne. Zwłaszcza, zdaniem Hanki, z cebulką. I rzadkie. Niechętnie wypuszczwały się

poza porośnięte tatarakiem rejony. Były szybkie i ostrożne. „Jak wszystkie drapieżniki” mówił Hance ojciec.

Janusz skupił się na wybieraniu żyłki, a Hanka, zdenerwowana i nagle głodna, łąziła wzdłuż brzegu. Ojcu szło całkiem sprawnie, gdy nagle linka utknęła.

— Szlag! — mruknął — Zaczepiła się o korzenie. — Odstawił wędkę na stojak i zdjął koszulę. — Wskoczę po nią, może i rybę uratuję.

Ojciec zrzucił buty i rozpiął spodnie. Poskładał je w schludny stosik. Stanął zgięty w łuk, ręce złożył w strzałkę. Chciał skakać.

— Nie! — krzyknęła nagle Hanka i złapała go za łokieć. — Nie skacz!

Janusz uśmiechnął się pobłaźliwie. Jak do niemowlaka, który wyślinił zegarek.

— Haniu — wyjaśnił — na moment, wyjmę żyłkę, to droga rzecz.

Ale Hanka nie zamierzała odpuścić.

— Nie skacz! — zawyła i zacisnęła dłonie na ramieniu ojca. — Nie, nie, nie skacz, nie skacz, wszystko, tylko nie skacz tutaj! — zawodziła.

— Haniu, uspokój się. Przecież jak ja tam wejść? Za wysoko jest. — Janusz złapał córkę za ramiona i próbował odepchnąć. Nie dał rady. Hanka stawiała zaciekły opór. Tyle razy jej powtarzano. „Nie skacz do nieznanej wody!”. Nie wolno. Hanka pamiętała litanie możliwych nieszczęść. Przetrącony kręgosłup. Paraliż. Rany. Przyłgnęła do ojca i wrzeszczała.

— Hanka! — Janusz chyba się zdenerwował. — Przestań! — Jego ton nieco dziewczynkę otrzeźwił. — Skaczę! — oświadczył, stanowczo posadził Hankę na trawie i podszedł do brzegu.

— Nie! — szepnęła Hanka i rzuciła się na niego. Pchnęła ojca drobnymi rękami, zbiła z nóg i powaliła na ziemię. Padając, potrącił stojak. Wędka zadygotała i runęła ze skarpy do wody. Wbiła się w muliste dno, daleko od brzegu.

— Ty chyba kompletnie zwariowałaś! — mruczał Janusz, zbierając się powoli z ziemi, a Hance zrobiło się strasznie, ale to strasznie głupio.

JANUSZ. Taka ryba z dodatkami

Odzyskać wędkę! Tego chciał. Wędka cenna rzecz. Na tę — całkiem nową, bo łowił na nią dopiero trzeci raz — Janusz ciułał prawie rok. Sprzedał poprzedni sprzęt, dołożył trochę i kupił. Porządne wędzisko, haczyki, młynki. Przypony i ciężarki. Uwielbiał tę wędkę. Czasem, korzystając z nieobecności Sabiny, wyciągał ją w mieszkaniu z szafy i rzucał przynętę z balkonu. Ostrożnie, żeby nikogo nie zranić. Nie zerwać żyłki. Tak na momencik, na próbę, żeby poczuć się jak na połowie.

Teraz wędka tkwiła wbita na sztorc w grząskie dno, zaklinowana pomiędzy podwodnymi korzeniami pobliskiego dębu albo wczepiona w kłębowisko glonów. A Hanka histeryzowała w najlepsze.

— Nie skacz tato, nie skacz tam! — bełkotała zasmarkana.

Janusz zerknął raz, drugi w wodę. Była mętnowa, bo z dna, pędzony prądem, podnosił się drobniutki muł.

— Haneczko — zaczął raz jeszcze — chcę wyjąć wędkę.

— Nie! — wrzasnęła Hanka. — Nie tu! Proszę, nie tu!

— To jak mam to zrobić? Stąd jej nie dosięgnę.

— Chodź na most! — dziewczynka wskazała na przerzuconą nad wodą kładkę. Rozklekotaną, ale w miarę stabilną. — Zejdiesz z mostu. Tam, obok łąchy.

Janusz przewrócił oczami. Począł, aż córka starannie otrzepie spódniczkę z trawy i wziął ją za rękę.

— Dobrze. Chodźmy — mruknął i ruszył w stronę mostku.

Kładka chybotwała się mocno, ale Hanka zdawała się tym nie przejmować. Ostrożnie stąpała z deski na deskę i przeskakiwała dziury. Podśpiewywała

coś pod nosem. Uspokoiła się, gdy tylko ojciec przystał na jej propozycję skorzystania z mostku. Janusz uśmiechnął się. „A, niech ma!” pomyślał i też zaczął nucić.

— To tu! — zdecydowała w końcu idąca przodem Hanka i zatrzymała się. Usiadła i zaczęła dyndać nogami nad wodą.

Janusz zerknął w dół. Woda przepływała może pół metra poniżej. Była płytka. Faktycznie, Hanka dobrze zapamiętała. W tym miejscu rzeka naniosiła sporo piasku i żwiru. Łacha wystawała miejscami ponad nurt. Jeszcze dwa czy trzy miesiące i w tym miejscu powstanie mała wysepka. Wodne trawy przytrzymają ją w rwącej rzece, aż przyjdą jesienne deszcze, woda pójdzie w górę i porwie piach, aby porzucić go gdzie indziej.

Zrzucił tenisówki i ściągnął skarpetki. Zwinął je starannie i wsadził do butów.

— No, to idę — rzucił wesoło Hance i zsunął się na wysepkę.

Woda była lodowata. Jak to w rzece. Janusz się tego spodziewał. Dlatego nie syczał ani napinał mięśni. Po prostu spokojnie oddychał i czekał, aż ciało przywyknie. Ruszył w górę nurtu, w kierunku drzewa, pod którym utknęła jego wędka. Brnął powoli, a o jego łydki ocierały się rosnące przy dnie rdestnice. Januszowi wydawało się, że łapią go za kostki. „Włosy topielicy”. Tak nazywali te rośliny jego koledzy. Oplatały się wokół kostek tak mocno, że ciężko było czasem postawić kolejny krok.

Dochodząc pod drzewo, pod którym utknęła wędka, obejrzał się za siebie. Hanka siedziała tam, gdzie ją zostawił. Przyglądała się śmigającym nad rzecznią skarpią jaskółkom. Mknęły w pogoni za jakimiś owadami, które znosiły ukrytym w tunelowych gniazdach młodym. Janusz uśmiechnął się i postawił kolejny krok. Jednak zamiast trafić na zbity piach, jego stopa wpadła po kostkę w lepki muł. Chłodny i glutowaty. Mężczyzna stracił równowagę i gwałtownie zamachał rękami. Noga utknęła na dobre. Druga

jak na złość poślizgnęła się w poszukiwaniu oparcia na mokrym pniaku pokrytym żółtawym nalotem.

— Cholera! — krzyknął Janusz i runął twarzą do wody, wprost na głębie, w której przed momentem łowił ryby.

Zachłysnął się. Poczuł błotnisty smak rzeki. Podobny do smaku wigilijnego karpia, wielbiciela dennego trybu życia. Wierzgnął, aby wydobyć się na powierzchnię. Stopy uderzyły o coś twardego. Janusz otworzył oczy, aby sprawdzić, co to takiego.

Z boku zobaczył stare przęsło płotu zakończone spiczastymi kolcami. Ktoś musiał wyciąć je z ogrodzenia. Niepotrzebne cisnął do wody. Taki lokalny zwyczaj. Stało niemalże pionowo, zaryte w dnie. Czyhało.

Janusz machnął ramionami i wyskoczył nad wodę. Oddychał szybko, jakby przebiegł sprintem dwieście metrów. Miał wrażenie, że serce wyskoczy mu z piersi. Odechciało mu się nawet wyciągania wędki. O młóćące wodę nogi ocierały się obudzone zamieszaniem brzany i miętusy.

— A! — wrzasnął Janusz z obrzydzeniem, czując wokół siebie ich śliskie ciała.

„Spokój!” nakazał sobie i położył się na powierzchni rzeki, aby uspokoić szalejące serce. Ryby odpłynęły, pochowały się pomiędzy korzeniami i w podwodnych jamach. Ostro zakończone przęsło stało jak stało, nie stanowiąc dla pływaka większego zagrożenia. Wystarczyło je ominąć, sięgnąć po wędkę i wrócić do kładki.

Janusz stanął na moment w płytszej wodzie i obejrzał się znowu na Hankę. Pomachała mu. Wahał się, czy nie zawrócić.

— Weź wędkę, tatusiu, i chodź! — zawołała i ponagliła ojca gestem.

Janusz posłuchał. Pomimo że delikatny szmer rzeki nagle wydał mu się złowieszczy, a pomarańczowe słońce, zamiast wesoło rozświetlać drobne fale, sprawiało, że woda zdawała się płonąć niczym łąki jesienią.

Zaczął płynąć. Po dwóch ruchach kraula sięgnął wędziska. Złapał je za czubek i pociągnął. Wyszło gładko. Jednak żyłka chyba gdzieś się zaplątała. Kołowrotek był pusty. Najpewniej ryba wybrała całą żyłkę i urwała się.

Janusz miał nadzieję, że uda się uratować przynajmniej część dosyć drogiej linki. Delikatnie pociągnął za ten fragment, który udało mu się wypatrzeć w wodzie, i prędko wycofał się na mieliznę. Tam niespiesznie zwijał żyłkę na szpulę. Czynność ta usypiała go i uspokajała.

Nagle poczuł silny opór. A potem coś szarpnęło i zaczęło uciekać z żyłką. Janusz zareagował jak wytrawny wędkarz. Zaciął porządnie, a z wody wytrysnęła ryba. Szczupak. Nadal trzymał się haczyka.

— Ha! — wrzasnął i zapomniał o spiczastych końcach zatopionego w rzece płotu i o płaczu Hanka. Walczył ze szczupakiem, który chociaż zmęczony, z łatwością mógł umknąć. Po chwili udało mu się dociągnąć rybę do siebie. Złapał ją za skrzela i triumfalnie podniósł do góry.

— Hania! Patrz! — krzyknął.

— Brawo, tatusiu! — odpowiedziała Hanka i zaczęła klaskać.

Rybę sprawili na brzegu. Spakowali ją do reklamówki. Dopili wodę. Po czym ruszyli pekaesem do domu. Po drodze Janusz uznał, że histeria Hanka, płot, ryba, a nawet sen dziecka sprzed kilku dni, który sobie przypomniał, zdzierając rybie łuski, nie mają ze sobą związku. Córka drzemała na sąsiednim fotelu. Spocona i rozczochrana. Miał szczupaka. A zbiegi okoliczności po prostu się zdarzają.

SABINA. Przedpołudnie bez ognia

Gdy tylko Hanka i Janusz wyszli, Sabina podeszła do okna. Obserwowała ich zza zakurzonej firanki. Słońce było jeszcze nisko. Między budynkami rozciągał się cień. Pewnie było chłodno. Trawa wyglądała na wilgotną. Jak po deszczu.

Córka podskakiwała jak obłąkany szczeniak. Widok ten bardzo Sabinę zirytował. Spódniczka Hanki plątała się między jej nogami. Kieszenie wyglądały na wypchane kamieniami. Pewnie Hanka znowu nakładła do nich śmieci. Myśli, że ubrania są za darmo. Lekkomysłna gówniara. Znosi i znosi pierdoły do domu. Trzeba będzie powyrzucać te rupiecie. Ma ich pełną szufladę.

Sabina cofnęła się i odczekała, aż mąż i dziecko znikną za blokiem. Dopiero wtedy zawiązała ciasniej szlafrok i otworzyła okno na oścież.

Do mieszkania wpadło powietrze. Pachnące kapustą i gotowanymi ziemniakami. Od rana smród obiadów zamiast zapachu lata. Wieczny jak trawa. Sabina oparła łokcie o parapet i zerknęła na podwórko. Osiedlowy huragan szarpnął jej włosy i odleciał w kierunku hałd.

Pod blokiem snuły się już niestrudzone plotkary. Taszczyły na trzepak zakurzone dywany, wlekły pękate siaty ziemniaków z targowiska, spacerowały z kundlami. Łączyły się od czasu do czasu w małe grupki, aby wymienić informacje o ostatnio widzianych mieszkańcach „Tysiąclecia”, aferach i awanturach po pijaku. Nowych samochodach i dzieciach z brudnymi głowami. O każdym potrafiły coś powiedzieć. Coś paskudnego. Ich jęzory pracowały zawzięcie. Do utraty tchu. Sabina parsknęła z obrzydzeniem. Stare pierdoły! Jej pewnie też właśnie obrabiają dupę. Czasami gadały na tyle głośno, że słyhać je było na pierwszym piętrze.

— Na zdrowie! — wrzasnęła do gadających z zapałem osiedlowych strażniczek moralności i zatrzasnęła okno.

Nie znosiła tego osiedla. „Tysiąclecie”. Nazwa w sam raz dla dzieła komunistycznych planistów. Nienawidziła gęsto stojących bloków z wielkiej płyty, wystawionych na cześć nie wiadomo czego. Nie cierpiała wiecznie cuchnących lizolem zsypów. Obsranych trawników. Zdezelowanych placów zabaw. Ale najbardziej, najzacieklej nienawidziła wszędobylskich spojrzeń.

Odprowadzających ją, gdy szła do sklepu czy do fryzjera. Lepkich i wścibskich. Bała się ich. Brzydziła. A jednocześnie miała ochotę pokazać im, na co ją stać.

Sięgnęła po kolejnego papierosa. Zaparzyła kolejną kawę. „Katowice — wesołe miasto” głosił napis na brzegu kubka. Nic tu wesołego. Sabina przetarła blat rękawem. Znowu zapaliła. Dla zabicia czasu.

Około dziesiątej ktoś zadzwonił do drzwi. Rozległa się fałszywie brzmiąca melodyjka. Hanka ją uwielbiała. Janusz też. Sabinie działała na nerwy. Zwłaszcza gdy przyszło jej otwierać drzwi kolejnym koleżankom córki i oznajmiać, że Hania jest na podwórku. Za blokiem. Tak, na trzepaku. Do widzenia.

„Lalali, lilila” dzwonił dzwonek. Sabina akurat siedziała przed telewizorem. Nawet nie chciało jej się go włączać. Gapiła się w czarny ekran zasnuty kilkudniowym kurzem i puszczała kółka z dymu. Od czasu do czasu na moment kładła się na kanapie, by po chwili się podnieść. Mebel był już bardzo zniszczony. Kompletnie nie dało się na nim wypocząć.

Dzwonek zakłócił spokój. Wdarł się do idealnie pustego mieszkania, w ciszę przedpołudnia bez planów. Sabina najpierw zamierzała go zignorować, potem rozwalić, a w końcu wpadła w popłoch. Uznała, że otworzy. Prędko przejechała dłonią po blacie stolika do kawy. Do spoconych palców przywarły kłaczki kurzu. Kobieta ściągnęła gwałtownie poły szlafroka. Powiew poderwał popiół z przepełnionej popielniczki.

— Cholera, znowu syf! — wyszeptała Sabina i podeszła do drzwi. Ktoś, kto za nimi czeka, będzie musiał przecierpieć i popiół, i brudne zasłony, i pełen okruchów dywan. I przede wszystkim wymiętą Sabinę. Kij mu w oko! Niech się cieszy, że w ogóle mu otworzy.

Sabina przekręciła zamki i uchyliła drzwi. Za nimi czekał hydraulik. Faktycznie, jak ona mogła zapomnieć? Spod wanny znowu ciekła śmierdząca

stęchlizną woda. Janusz nie potrafił tego naprawić. Niczego nie potrafił. Musiał wezwać fachowca. Dopiero zobaczywszy faceta w progu, Sabina przypomniała sobie, że mąż ją uprzedzał.

— Hydraulik przyjdzie w czwartek między dziesiątą a dwunastą — wymamrotał obrażony o awanturę, którą urządziła mu żona. Szczerze? Miała powody. Wywalila się na mokrej podłodze i potłukła sobie kość ogonową. Ledwo wstała, wieszając się na umywalce.

— Kurwa, czemu nic tu nie położyłeś, idioto?! — wrzasnęła do męża, a on jak zwykle zwiesił głowę. Zastrany tchórz.

Teraz była dziesiąta i był hydraulik. W niebieskich ogrodniczkach. W bejsbolówce w szerszenie. Żółte i zębate. Był na nią stanowczo za stary. Sabina przywitała go gorliwie i wpuściła do przedpokoju. Fachowiec wtaszczył do środka pełną narzędzi skrzynkę i skierował się do łazienki.

— Tu jest wanna, coś cieknie pod spodem — przekazała gospodyni monterowi. Powoli klęknął i coś wymamrotał. Skinął głową na znak, że rozumie, w czym rzecz, i ponownie skupił się na badaniu wanny. Sabina pospiesznie powędrowała do sypialni.

Zrzuciła z siebie szlafrok, a potem kraciatą koszulę nocną. W lustrze dostrzegła swoje odbicie. „Paskuda” pomyślała. Najgorsze były dyndające jak krowie wymiona piersi. Sabina upchała je do stanika i okryła bluzką w motyle. Od razu poczuła się lepiej. Wciągnęła dzinsową mini. Wystrzępioną na brzegu. Zbyt młodzieżową zdaniem sąsiadek odzianych w samodziałowe spódnice do kostek. Sabina nie podzielała ich opinii. Lubiała łaskotanie wiszących nitek. A poza tym nie wyglądała chyba na swoje lata? Przejechała dezodorantem w kulce pod pachami. Szczotka. Włosy. Perfumy za uszy. Szkoda, że takie tanie. Była gotowa. Wróciła do łazienki, gdzie hydraulik biedził się z nieszczelnym syfonem.

— O, widzę, poważna sprawa — przejęła się Sabina na wyrost.

— E, za moment będzie. — Mężczyzna wytarł dłonie o uda i zaczął skręcać urządzenie.

— Ale pan sprawnie to robi — zachwyciła się kobieta. Pochyliła się nad głową klęczącego na podłodze specja. Zajrzała mu przez ramię, opierając dłoń na jego ramieniu. Było twarde. Lekko opalone. Zachęcało, aby wbić w nie paznokcie. Kobieta ledwo oparła się tej pokusie.

— Zaraz będzie. Pani mnie puści, to założę. — Monter spojrzał na Sabinę jakoś tak dziwnie. Jakby pogardliwie. A może tylko się jej wydawało. Ech. Kiedyś wystarczyło zakręcić bioderkiem i mężczyźni wiedzieli, w czym rzecz. Temu tutaj trzeba będzie wszystko podać na tacy. Głupek.

Sabina podciągnęła się do góry i usiadła na pralce. Poczwała na pośladkach chłód metalowej klapy. Spódnica była naprawdę krótka. Przez moment zastanawiała się, jak wygląda jej obwisła rzyć, rozkłapczana i wysiedziana. Lepiej nie myśleć. Dupa to dupa. Odchyliła się do tyłu i odrzuciła włosy na plecy. To w końcu przyciągnęło na dłużej uwagę hydraulika.

— I co, chłoptasiu? — zapytała Sabina otwarcie. — Idziemy na całość? — wymruczała i rozłożyła nogi. Nie miała na sobie majtek.

Monter gwałtownie wstał. Zaczwał chaotycznie pakować swoje narzędzia. Sabinie zachciało się śmiać na widok jego wybałuszonych oczu raz po raz zerkających na jej uda. Poczwała się atrakcyjna. Tak! Nadal coś w sobie miała!

— O co pani chodzi? — zapytał mężczyzna, odkładając niepotrzebny już klucz francuski do skrzynki. — Ja skończyłem. Mogę iść.

— Nie baw się ze mną jak z pierwszą lepszą! Spuszczaj gacie, pokaż co masz, a potem wyjaśnimy wątpliwości! — zaśmiała się Sabina i oblizwała usta. Była w swoim żywiole. Czwała, że musi mieć tego mężczyznę. Chuć. Pożądanie. Pragnienie. Potrzeba. Żadne motyle w brzuchu. Czysta żądza. Janusz nigdy nie był w stanie wywołać tego uczucia. Nawet podczas wspólnego oglądania pornoli Sabina jakoś nie czwała podniecenia. Odwaliała,

co żona odwalić powinna.

— Pani chyba oszalała! — Mężczyzna popukał się w czoło. Poprawił szelki i podszedł do drzwi. — Stara dupa, a taka durna... — Pokręcił z politowaniem głową i wyszedł, trzaskając z rozmachem drzwiami. Nawet nie wziął należnych mu pieniędzy.

Sabina przez chwilę gapiła się w odrapane drzwi. W końcu powoli przekręciła zamek i wróciła do kuchni. „Spierdalaj” wyszeptała i usiadła przy oknie. Zapaliła papierosa. Pociągnęła raz, drugi. Dym jakoś nie smakował, kleił się do podniebienia, gorzki i gęsty. Dławiący. Sabina zdusiła gwałtownie klubowego i zalała się łzami. Płakała i krztusiła się smarkami. Kiedyś byłoby inaczej. Kiedyś się o nią zabijali. Ci z gazowni albo ci z administracji. Od czasu do czasu trafił się jakiś jurny ankieter. Porządne ruchanko, tak na to mówiła. Żadnych reklamacji. A teraz? Teraz to nie kiedyś.

Około piętnastej zauważyła u wlotu ulicy Hanke i Janusza. Szli powoli, zajęci rozmową. Dziewczynka od czasu do czasu obiegała ojca. Sabina nie miała pojęcia dlaczego. Przyglądała się uważnie, czując jakieś dziwne wzruszenie. Tęsknotę, którą zaraz zastąpiła normalna dla niej irytacja. Mąż i córka szli w najlepsze, a ona cały dzień spędziła na niczym. Kiedy się zbliżyli, Sabina zauważyła, że z czegoś się śmieją. Ich radość podsyciła jej gniew. Jakim prawem! Jakim prawem tak ją zaniedbują? Pomknęła do drzwi i czekała na Janusza i Hanke z okiem przytulonym do chłodnego wizjera. Widziała własne rzęsy opierające się o wypukłe szkło.

— Jesteście nareszcie! — rzuciła, wyskakując na klatkę schodową, gdy tylko zobaczyła ich głowy wynurzające się znad schodów. — Czekam i czekam! — sarknęła i pomaszerowała, tupiąc, do kuchni. Niech za nią lecą! Niech coś zrobią! Niech zadośćuczynią.

Janusz i Hanka w milczeniu zdjęli buty i podążyli za Sabina. Kobieta była

pewna, że w progu wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Jak zwykle się z niej natrząsałi. Niemalże otwarcie, w jej własnym domu!

— Mamy rybę — mruknęła nieśmiało Hanka, podchodząc do zlewu. — Dam ją tutaj — oznajmiła i wytrzepała coś z siatki. Ześlizgnęło się po poplamionej emalii, stuknęło. Sabina uniosła się na taborecie. Szczupak. Oczy miał już mętnawe. Zaparzył się w tej folii. Idioci nawet nie umieją przewieźć jedzenia!

— Co to za gówno?! — ryknęła i złapała rybę za ogon.

— Sabinko, zostaw, ja to zrobię — wtrącił nieśmiało Janusz. Pewnie sądził, że ona zamierza sprawić szczupaka! Niedoczekanie!

— Nic nie będziesz robić, bo nie będziemy tego jeść! — wrzasnęła Sabina i na poparcie swoich słów walnęła rybą o blat. Poleciały zielone łuski. Rozszedł się zapach rzeki.

— Ale... — Hanka próbowała odebrać matce szczupaka. Sabina odepchnęła ją. Prosto na lodówkę. Dziecko uderzyło głową o kłamkę. Krzyknęło niegłośno. Ale Sabinie wystarczyło. Nienawidziła tego miażdżenia.

— Ty gówniario pierdolona! Cipo zasrana! — ryknęła i walnęła Hanke na odlew w twarz. Błysnęły białe zęby. Hanka upadła na kolana. Tak! Sabina poczuła, jak unosi ją jakaś fala podobna do braw dla artysty. Zamachnęła się ponownie do kolejnego ciosu, dwóch, trzech, ile będzie potrzeba.

— Przestań! — Janusz złapał ją za ramiona. Sabina próbowała się wyrwać, ale mąż trzymał mocno. Wiła się i dyszała. Hanka wpełzała już pod stół. Sabina miała ochotę wywlec ją stamtąd. Ciągnąć za te zakurzone stopy. Kopnąć rozczochraną głowę. Ale dziewczynka umknęła, a Janusz nie chciał puścić. — Uspokój się, uspokój! — zaklinał. Gniew Sabiny powoli wygasał.

— Spierdalaj! — krzyknęła w końcu prosto w twarz Janusza, plując śmierdzącą tytoniem śliną, a mąż wreszcie ją puścił. Sabina otrząsnęła się i

przyglądała włosy. Szybkim krokiem podeszła do okna i otworzyła je z hukiem.

— Won z tym ścierwem! — wysyczała, porwała z podłogi rybę i cisnęła ją na zewnątrz. Szczupak poleciał niemal pionowo w dół, obły, aerodynamiczny. Klasnął o chodnik. W górę podniosły się pełne przerażenia oczy sąsiadek stojących na środku podwórza.

— Smacznego, pizdy! — rzuciła im Sabina i zniknęła w salonie.

Z kuchni przez moment dobiegał szept Janusza.

— Nie płacz, zaraz przyłożę ci lód, już, nie płacz.

Sabina rzuciła się na kanapę i zakryła głowę kocem. Wieczorem Janusz nie pojawił się w sypialni. Poszedł spać do Hanki. Jak zwykle. Sabina leżała w ciemnościach. Na suficie przesuwwały się firankowe cienie. Czuła w głowie szum, wódki i złości. Łzy paliły przełyk. „Chcę, chcę” powtarzała Sabina bez sensu, bo sama nie wiedziała, czego mogłaby chcieć.

HANKA. Kiepski schemat

Hanka również nie spała. Nie dlatego, że ją bolało po tym uderzeniu. Nie. Taki policzek to nic takiego. Z Sabiną bywało gorzej, znacznie gorzej. To tylko smyrnięcie, draśnięcie. Bez krwi. I nawet siniaka nie ma.

Hanka nasłuchiwała. Czekwała, aż Sabina się uciszy. Matka jednak cały czas płakała i kaszłała. Raz po raz wstawiała i szurając, wlokła się do salonu. Brzękały butelki, gulgotał dolewany do szklanki alkohol. Ładne słowo. Alkohol. Lepsze niż pospolite „wódka”.

Skoro piła, znaczyło to, że rano będzie spokój. Hanka знаła ten cykl. Najpierw kłótnia. Potem picie na umór. Następnego dnia Sabina zazwyczaj nie wstawiała przed piętnastą. Leczyła kaca. Należało być cicho, nie odsłaniać okien, od czasu do czasu zrobić herbatę. Około południa najlepiej było iść na podwórko i bawić się z koleżankami. Czasem Hanka potrafiła nawet załapać

się na obiad u sąsiadki. Zwyczajna sprawa. Nawet lepiej, żeby matka nie wstawiała.

W końcu około trzeciej nad ranem Sabina się uspokoiła. Rano będzie dętka, to pewne. Ojciec spał na podłodze, zaraz obok Hanki. Chrapał. Dziewczynka zakryła uszy dłońmi i zasnęła.

Niestety. Sabina rankiem wstała. Sprawna i szybka, umordowana kaczem i na wpół trzeźwa. Dziewczynka wyrzucała sobie brak czujności. Głupio zwlekała, zamiast wyjść od razu do szkoły, bez śniadania, bez mycia. Zataczając się matka dorwała Hankę w łazience.

— Jak czeszesz te włosy, obesrańcu! — ryknęła i wyrwała córce szczotkę. Waliła dziecko po głowie raz po raz. Plastikowe zęby boleśnie kłuły. Hanka osłaniała się jak mogła. Była dumna, gdy udało jej się w końcu przeczołgać między nogami matki i zwać do szkoły.

Czasami się nie udawało i Sabina musiała ją zwalniać z lekcji. Wstyd było iść do szkoły z sinym okiem. Z napuchniętą wargą. W takie dni Sabina dawała Hance długopis i rozkazywała.

— Pisz, ja ci podyktuję. Ręce mi się muszą obudzić — podsuwała Hance kartkę, a jej dłonie dygotały jak w febrze. Wóda.

Hanka pisała. „Proszę o usprawiedliwienie nieobecności mojej córki, Hanny, na zajęciach w dniu dzisiejszym”. Hanka przykładła mokry ręcznik do rozciętego łuku brwiowego. „Spowodowana jest ona ważnymi względami rodzinnymi”. Ręcznik powoli nasiąkał.

— Podpiszesz, mamó?

— Nie. Ręce mi nie działają — burczała Sabina, a Hanka podpisywała za nią.

Sabina tak po prostu miała. Taka była. Musiała od czasu do czasu Hance podokuczać. Hanka musiała jakoś to znieść. Jakoś zdzierżyć szczypanie. Wytrzymać klapsy. Przetrwać szarpanie. To wszystko w końcu mijało. Poza

tym nie ona jedna obrywała od rodziców. Każde dziecko na osiedlu potrafiło opowiedzieć o biciu. Kablem. Psią smyczą. Matka Hanki była jak inne matki. Prawda? Prawda?

Hanka rozmawiała o tym z Agatą — swoją przyjaciółką od serca, rudą jak lis. Siedziały na dachu garaży i wcinały wiśnie, trochę jeszcze niedojrzałe, ale lepiej było już je zjeść, niż zostawić na pastwę starszych dzieciaków.

— Kłóć się, a potem mama mnie bije — mówiła Hanka.

— Normalka — odpowiadała Agata. — Przejdzie jej, jak się trochę pogodzą. Moim przechodzi po bzykaniu. Kiedyś weszłam im do sypialni. Skakali po sobie jak jakieś kangury. Faj! — dziewczynki zaczęły się śmiać. Hance od razu było lepiej.

Po kilku dniach rodzice faktycznie się pogodzili. Janusz przyniósł kwiaty i czerwone wino. Wypili je kulturalnie, w milczeniu. Wstali. Zniknęli w sypialni. Hanka zatarła dłonie, w myśli pogratulowała Agacie przenikliwości i też poszła spać.

SABINA. Dno butelki

Do września odbyły się jeszcze dwie awantury, z kilkudniowymi ciągami, bezsennymi nocami i łzawymi przeprosinami. Pieprzony Janusz. Wiecznie miał pretensje. Wiecznie czegoś chciał. Sabina chodziła podminowana. Wszystko działało jej na nerwy.

Na dokładkę przestała miesiączkować. Początkowo sądziła, że coś źle policzyła. Przeglądnęła kalendarz. Jak zwykle zapomniała sobie zapisać, co i kiedy. Uznała, że to mały poślizg. Minął miesiąc. Sabina stwierdziła, że trzeba by wybrać się do lekarza. Sprawdzić, co się dzieje. Przecież była zbyt młoda na przekwitanie!

— Jest pani w ciąży — oświadczył ginekolog, a Sabina ze wszystkich sił

starala się uśmiechać. Jakby nigdy nie usłyszała lepszej nowiny.

Niemalże wybiegła z przychodni. Dopadła do pierwszej wolnej ławki i usiadła z rozmachem. Poczula, że brak jej tchu. Pochyliła głowę do ziemi. W uszach ryczało. „Jest pani w ciąży”. Wszystko, tylko nie to! Sabina wyprostowała się i podciągnęła bluzkę. Brzuch był jeszcze płaski. Po prostu brzuch, a w środku niemila niespodzianka... Sięgnęła po torebkę. Obróciła ją do góry nogami. Na wydeptaną trawę poleciała stara szminka. Słońce błysnęło w złotej oprawce. Chusteczki... Są! Papierosy. Sabina odpaliła pierwszego od strony filtra.

— Kurwa! — rzuciła i odpaliła następnego.

Zaciągnęła się i ryk w uszach nieco przycichł. Odchyliła głowę i wydmuchała dym w niebo. Chmury płynęły sobie spokojnie na zachód. A ona tkwiła na twardej ławce i myślała. Co teraz? Aborcja nie wchodziła w grę. Drogo... Ale to byłoby rozwiązanie idealne. Może uda się przekonać Janusza? Nie. On będzie chciał dziecka. Stary dureń. Samej coś wymyślić? Przecież nie wsadzi sobie wieszaka. Można zawsze poskakać po schodach. Tylko co to da? Gówno. Sabina dopaliła papierosa i ruszyła do domu. Po drodze wstąpiła do sklepu.

— Pół litra czystej proszę — rzuciła patrzącej tępo sprzedawczyni. Dziewczyna machinalnie obsłużyła ją i wcisnęła butelkę do papierowej torby. Hipokryzja. Przecież wiadomo, co jest w środku. Wóda.

Niemalże biegiem wróciła do mieszkania. Dygotała. Nie mogła trafić kluczem do dziurki. W końcu wtoczyła się do środka. Zrzucając sweter, odkręcała butelkę. Pociągnęła potężny łyk. Lodowaty, a potem nagle gorący. Ulga. Spokojniejsza wzięła z szafki szklanekę i powlekła się do sypialni. Patrząc w obsrane przez muchy lustro, wykończyła wódkę.

— Zdrówko, mamusiu! — pogratulowała sobie przy ostatniej porcji i padła na łóżko.

Sufit zaczął swój zwyczajowy taniec. A potem przeszedł do bujania, zupełnie jak na statku. Kiedyś Janusz zabrał Sabinę na rejs po Odrze. Byli wtedy w Opolu z okazji jakiejś tam rocznicy. Bujało delikatnie, ale Sabina i tak dostała mdłości. Od zapachu ropy napędzającej silnik starej barki. Od oleistej rzeki. Żołądek Sabiny napełnił się powietrzem. Zjedzone pół godziny wcześniej lody ciążyły. Przelewały się. W końcu nie wytrzymała.

— Karmisz ryby w rzece! — śmiał się mąż, podczas gdy ona wymiotowała. Wtedy jakoś mu to nie przeszkadzało. Nawet pomógł jej potem oczyścić płaszcz. Kiedyś. Dzisiaj. Dwa bieguny.

Łóżko kołysało się coraz mocniej. Sabina poczuła, jak wysycha jej język. Potem usta wypełniła kwaśna ślina. Kobieta podniosła się gwałtownie.

— Kurwa! — zaklęła i zwymiotowała na chodnik.

Wirowanie ustało. Sabina padła na łóżko. Sufit stanął. Zasnęła. Januszowi powiedziała po miesiącu.

— Jestem w ciąży, chcę usunąć — tak po prostu.

— Nie zgadzam się — Janusz był stanowczy.

Sabina wzruszyła ramionami. Jeszcze wszystko mogło się zdarzyć. Już jej w tym głowa, żeby się nie oszczędzać. Pożyjemy, zobaczymy.

HANKA. Brat

Hanka zorientowała się dopiero dużo, dużo później. Tylko dlatego, że matka zawołała ją do łazienki.

— Chodź, plecy mi umyj! — wrzasnęła i Hanka pobiegła. Nie zносиła mydlenia i spłukiwania piegowatego ciała Sabiny. Ale musiała iść.

— Jestem — szepnęła, stając w drzwiach. Już z tego miejsca widziała piersi matki. Pływające po powierzchni zamydłonej wody dwa sflaczałe balony. Wzdrygnęła się. W łazience było duszno. „Pleśniawo”.

— Chodź tu. Coś ci pokażę — rozkazała matka, gasząc papierosa w

nakrętcie szamponu. Zawsze paliła w wannie. Ohyda. Hanka podeszła. Najwolniej jak umiała. Kilka razy zarobiła od matki w głowę fajką od prysznicza. Była czujna. Ale tym razem Sabina wyglądała na zadowoloną. Przewalała się niczym humbak, burząc pokrytą pianą wodę. Hanka uśmiechnęła się ostrożnie. Tylko troszkę. Żeby nie podpaść.

— Zobacz! — Sabina uniosła się nieco. Hanka odskoczyła. Zaciśnęła pięści, jak do walki.

Z wody wynurzył się pękaty brzuch. Był niemalże przezroczysty, a przez środek biegła ciemna kreska, niby szew. Wystarczyłoby, aby się rozszedł, i Hanka zobaczyłaby wnętrzności matki. Żołądek. Jelita. Nerki.

Od czasu do czasu napięta skóra drgała niczym membrana. Na powierzchni brzucha pojawiały się jakieś wypukłości. Jakby coś od wewnątrz próbowało się wydostać. Hanka zaczęła krzyczeć.

— Nie drzyj się, durna! — skarciła ją matka. — To twój braciszek.

— Braciszek?! — Hanka zamilkła, ale strach nie zniknął. Cały ten bebecch ją przerażał. Ogromem. Obrzydzał. Tym ruszaniem, chaotycznym bąblowaniem. Krecha zdawała się szczyrzyć.

— No co tak stoisz? — zirytowała się matka. — Braciszek! Urodzi się niedługo. Mam nadzieję, że się cieszysz — zarechotała Sabina i odpaliła następnego papierosa. — A teraz umyj mi plecy.

Jakiś czas potem Sabina wieszała w sypialni zasłony i firany. Hanka nie miała pojęcia, co matkę natchnęło do tej czynności. Nigdy nie przepadała za sprzątaniami. Jednak trzeba było przyznać, że im większy miała brzuch, tym mocniej szorowała podłogi. Tym energiczniej odkurzała. Wybebeszała szafki i szuflady. Prała i prasowała. Hanka nie mogła wyjść z podziwu. W końcu miała normalną matkę, poświęcającą całe dni na pucowanie mieszkania i narzekającą na ubłocone buty. Dziewczynka czasami celowo bałaganiła, aby posłuchać tego sarkania.

Ten piątek, zaraz przed pierwszym maja, Sabina postanowiła poświęcić na okna. W powietrzu latały spadochronokształtne nasiona mleczy. Najwyższy czas na wiosenne szorowanie szyb. Na osiedlu wszyscy mieli to już za sobą. Sabina wygoniła Janusza do pracy, a Hankę zatrzymała w domu.

— Jeden dzień opuścisz w szkole, nic się nie stanie. Zresztą tam tylko pierdoły gadają. Zostań w domu, to mi pomożesz wodę nosić — poleciła Hance. Była nawet całkiem miła. To też dziwiło dziewczynkę.

Po śniadaniu Hanka napełniła wiadro wodą, dołała do niej pół nakrętki płynu do mycia naczyń i zataszczyła do sypialni. Postawiła ciężar z rozmachem. Kilka pachnących butelkowo kropli upadło na parkiet. Hanka starła je skarpetką.

Sabina stała już na krześle. Jej brzuch opierał się o szybę. Był naprawdę ogromny. Zdawało się, że wydęty pępek całuje gładkie okno.

— No, w końcu... — mruknęła matka i wskazała na parapet. — Postaw to tutaj, nie na podłodze. I odejdz, bo przeszkadzasz.

Umieściwszy wiadro we wskazanym miejscu, Hanka rzuciła się na łóżko. Przymknęła oczy. Słyszała kapanie wody. Odgłosy wykręcanej szmaty. Szelest gazet, którymi Sabina polerowała szyby. Pisk czystości. Przez otwarte okno słyhać było odgłosy blokowiska. Szczekanie, trąbienie. Stukanie niedomkniętych drzwi piwnic. Uspokajające tupanie. Hanka zaczęła przysypiać.

— Przynieś firany — usłyszała przez sen i natychmiast otworzyła oczy. Sabina skończyła polerowanie. Wyglądała jak rasowa gospodyni domowa. Spocone włosy przywarły jej do czoła. W dłoni gumowa ściągaczka. Hance bardzo się taka podobała.

— Już lecę — zawołała i pognęła do łazienki.

Sabina zdjęła firany wcześniej. Upchnęła je w pralce i nastawiła na gotowanie. Spod kłapy wylazło trochę piany. Hanka z trudem wygrzebała z

pralki pranie i pociągnęła je do sypialni. Nie była w stanie dźwignąć firanek. Zostawiały za sobą mokry ślad na podłodze. „Foczy firankowy ogon”. Śmieszne.

Sabina nie miała jednak kłopotu z wazącymi chyba ze sto kilo pasami azurowej tkaniny. Zarzuciła firanki na ramię i sięgnęła do karnisza, a Hanka ponownie się położyła. Zdążyła dosłownie na moment zamknąć oczy, żeby nasycić się proszkowym zapachem prania, gdy usłyszała jęk.

— Nie! — wyszeptała Sabina, a Hanka usiadła.

— Mamo?! — zapytała przestraszona. — Mamo?!

— To już, to już! — zawołała cicho Sabina. — Dziecko idzie — powiedziała bez tchu, zgięła się jak zamykany scyzoryk i spadła z krzesła.

Runęła na zawalony stertami papierów i wymiętych ubrań sekretarzyk. Zsunęła się po sosnowej klapie mebla i zamarła przy ścianie. O tym, że żyje, świadczył szybki oddech.

Hanka przypadła do matki.

— Mamo, mamo! — powtarzała monotennie w nadziei, że jej wołanie cofnie czas, postawi Sabinę znowu na krześle. Anuluje huk upadku. — Mamo, otwórz oczy! — prosiła Hanka.

Nagle zauważyła, jak brzuch Sabiny ugina się i flaczeje. Spod matki pociekła ciepła woda. Pachnąca jak strumień. Hanka wiedziała, co to znaczy.

— Idzie! — wrzasnęła i zerwała się na nogi.

Zaczęła się miotać między łóżkiem a Sabiną. Włączyła i wyłączyła światło. Przetrzepała poduszki. Na moment wskoczyła na łóżko. Nogi zapadały się w miękkim materacu, po którym Hanka biegła jak owładnięty amokiem pies. Wybiegła do przedpokoju, aby powrócić z płaszczem. Bez sensu. Ona nie wstanie. Nigdzie sama nie dojdzie kretynko! „Uspokój się!”. Dziewczynka pognęła do salonu i kuchni. Nie znalazła tam niczego pomocnego. W końcu okryła matkę zdartą z kanapy w salonie narzutą i

stanęła obok.

— Mamo? — zapytała. Nie była w stanie zdecydować: wyjść czy zostać?
Sabina uchyliła powieki.

— Biegnij do sąsiadów, do kogokolwiek — wymamrotała. — Biegnij po pomoc. Wody odeszły. Zaraz wyjdzie — wyszeptała matka i podciągnęła wyżej narzutę. Hanka poczuła, że coś zrobiła dobrze. Dobra narzuta! Matce się przydaje! Skinęła głową i niemalże zasalutowała.

— Lecę, ty tu zostań — szepnęła i wybiegła.

Najpierw popędziła na górę, do Ramów. Oni mieli telefon. W domu zazwyczaj siedziała starszawa babcia Ram. Hanka gnała i potykała się co drugi schodek. Głośno liczyła stopnie. Na trzecim piętrze zamiast odchrząknąć i delikatnie zastukać, zaczęła walić pięściami w pokryte boazerią drzwi sąsiadów.

— Pani Ramowa, pani Ramowa, na pomoc! — wołała.

Kiedy na moment umilkła, usłyszała, że za drzwiami ktoś szura. Stara Ramowa była w mieszkaniu.

— Pani Ramowa, niech pani pomoże mamie! Niech pani wyjdzie! — wykrzyczała Hanka. Jednak Ramowa nie otworzyła. Hanka była pewna, że stuknął wizjer. Mignęło w nim stare oko. Potem wszystko ucichło. Zeschnięta, wredna jaszczura! Nie chciała otworzyć!

Dziewczynka rzuciła się do drzwi po drugiej stronie korytarza. Pukała i wołała. Nic. Pognała na czwarte, a potem na drugie i parter. Bębniła dłońmi w balustradę. Bełkotała i krzyczała. Co jeżeli dziecko wyjdzie? Ona będzie musiała przeciąć pępowinę! Agata jej o tym opowiadała. Nie, nie, tylko nie to. Zaczęła kopać kolejne zatrzaśnięte przed nią drzwi. Nikt nie otwierał. Przyzwyczajeni do karczemnych wrzasków sąsiedzi ani myśleli uczestniczyć w kolejnej aferze na pierwszym piętrze.

— Ludzie, ludzie! — wołała raz po raz Hanka. — Pomóżcie!

Płacząc, wróciła pod drzwi Ramowej. Kopnęła je jeszcze kilka razy. Na złość. I żeby odsunąć w czasie moment powrotu do mieszkania. Do tego czegoś, co wypełźnie z Sabiny. Już miała zejść na dół, gdy usłyszała szcęk odmykanego zamka. Zdziwiona, kucnęła, żeby się nie przewrócić. Po ciągnącej się nieskończenie chwili w ciemnej szparze pojawiła się twarz Ramowej. Pół twarzy. Reszta skrywała się w przedpokoju.

— Co się dzieje? — zapytała szeptem sąsiadka.

— Mama rodzi — odpowiedziała szeptem Hanka i klapnęła na pupę. Jej misja była zakończona.

— O Jezusie! — krzyknęła piskliwym głosem Ramowa. — Chodź dziecko! Zadzwonimy po doktora! — Ramowa chwyciła Hankę za rękę i wciągnęła do środka.

Pogotowie pojawiło się błyskawicznie. Hanka nie zdążyła nawet powiedzieć, że jest córką pacjentki. Nie było czasu.

— Szybko, bierz ją, na dół, lecimy, rozwarcie. — Tyle zrozumiała Hanka z rozmowy sanitariuszy. Sabina nie odezwała się do niej ani słowem. Leżała wyprężona. Wyglądała trochę jakby wstrzymywała mocz. Hance zachciało się na ten widok śmiać.

Trzasnęły drzwi karetki. Błysnęło czerwone światło. Syrena wypłoszyła gołębie. Ambulans ruszył i zniknął. Hanka wróciła do mieszkania. Zamknęła dokładnie drzwi. Tak jak nauczyła ją matka. „Nie wiadomo, co łązi po osiedlu” — mawiała Sabina.

Dziewczynka usiadła przy oknie w kuchni. Jak matka. Blok naprzeciwko udekorowany był pierwszomajowymi flagami. Wisiąły zdechłe. Wilgotne od wczorajszego deszczu.

SABINA. Nie chcę cię

Sabina sądziła, że nie będzie się bać. Hanka urodziła się tak dawno temu.

Tyle lat. Ból powinien się w nich rozcieńczyć. Tymczasem wszystko powróciło, te wspomnienia, o których się nie rozmawia. O zalanej krwią sali porodowej. O wrzeszczących położnych, pakujących w Sabinę ręce niemalże do łokci. O doktorze skaczącym po jej brzuchu.

— Przyj, kobieto! — wrzeszczał. Śmierdział czosnkiem i wyciskał z niej dziecko niczym pastę z zaschniętej tubki. Trzasnęła rozerwana skóra. — O cholera, trzeba będzie szyć aż do tyłka!

Nie tylko to poszło przy Hance nie tak. Będąc w ciąży, Sabina cieszyła się. Czuła się dobrze. Taka dowartościowana. Ważna. Odpowiadało jej wszechobecne zainteresowanie. Komplementy. Ciepłe słowa. Zachwyty męża, który na wszystko się zgadzał. Uprzedzał jej zachcianki.

Mijały miesiące. Sabina szykowała się na matkowanie. Chodzenie za cudem zdobytym zachodnim wózkiem. W nim Hanka w żółtej sukience, śpi jak aniołek na chmurce. Ona sama, Sabina, dumna, młoda samica, niewysoki obcasik. Włosy spięte w koczek. Gustowne krótkie paznokcie. Również w sukience, skromnej, ale podkreślającej, że zaraz po ciąży odzyskała figurę. Zamierzała przechadzać się w tę i z powrotem. Gawędzić z sąsiadami. Kłaniać się starszym. „Co za śliczna dziewczynka!”. Z uśmiechem. „Jak pani wypiękniała”. Dziękować za te słowa.

Hanka... Nie zamierzała nawet na moment zamknąć oczu w wózku. Jakby świeże powietrze drażniło ją. Wrzaskun. Wiecznie na rękach, wiecznie uwieszona na szyi Sabiny. Wiecznie rozdarta. Kolka. Wiecznie wymiotująca. Wszystkie ubrania Sabiny śmierdziały rzygowinami. Albo rzadkimi kupami o barwie jajecznicy. Nawet włosy zaczęły jej cuchnąć.

Prawie nie spała. To nie tak miało być. Zamiast spacerować leniwym krokiem po osiedlu, próbowała jakoś zadowolić córkę. Ta jednak nieodmiennie darła się jak poparzona. W końcu Sabina się poddała. Niech wyje. W końcu się zamknie. Całymi dniami siedziała przy stole, gapiąc się w

blat. Nie mówiła nic. Nie chciało jej się. Nie jadła nic. Ani nie piła. Też się jej nie chciało.

Czekając, aż zwolni się miejsce na fotelu porodowym, Sabina postanowiła, że kolejnego dziecka nie urodzi. Nikt i nic jej do tego nie zmusi. Hanka Dwa nie wchodziła w grę. Jak chcą, niech wezmą siłą, co ich, te ważniaki, doktory. Ona nie zamierzała palcem kiwnąć. Niczego im nie ułatwi. A jak będzie w stanie, to utrudni. O, tak! Skoro może przecć, może też nie przecć. A takiego! Ciało jednak chciało się pozbyć dziecka. Wyginało się i napinało. Parło. Sabina z ledwością je powstrzymywała. Miała wrażenie, jakby była tu tylko marionetką. Ktoś ciągnął za sznurki, a ona rodziła. W końcu na salę weszła pielęgniarka. Miała srogą minę i solidny wąsik. Łomotała chodakami.

— Zabieramy się na porodową! — oznajmiła kobieta obojętnym tonem. — Wstajemy! — rozkazała i stanęła w wyczekującej pozycji. Sabina dałaby głowę, że zniecierpliwiona pielęgniarka przytupuje jak postaci w kreskówkach. Miała ochotę dać babie w pysk.

Wstała się z łóżka i niemalże na kolanach powlekła się na porodówkę. Na kolejnych fotelach męczyły się jakieś obce kobiety. Jedna krzyczała, inna dyszała. Sabiny to nie ruszało. Każda przechodzi przez to samo. Po cholere się gapić? Łóżka na sali przypominały po prostu rząd foteli fryzjerskich. Kobieta obok kobiety. Wszystkie przyszły tu po to samo.

Ledwo wtaszczyła się i jakoś położyła na „samolocie”, zaczęły się skurcze parte. Położna przyskoczyła do niej i zadarła do góry kusą koszulę, w którą odziano Sabinę przy wejściu na oddział. Zadarła bez uprzedzenia. Jakby zaglądała pod pokrywkę garnka. Dziabnęła gdzie trzeba palcami. Bez skrępowania.

— Nie prze, jeszcze nie ma pełnego rozwarcia! — warknęła i trzepnęła Sabinę w kolano, a potem pomknęła do kolejnej pacjentki. Zdzira.

Nie prze! Nie prze! Łatwo powiedzieć. Sabina próbowała się powstrzymać. Liczyć barany, kafelki, plamy na suficie. Ból. Ból to jest straszna rzecz. Wirowało jej w głowie. Ile to jeszcze potrwa? Ile już trwa?

Do Sabiny podeszła stażystka. Młoda i delikatna, przypominała gejszę w białym kimonie. Małe usta układały się w coś na kształt przepraszającego uśmiechu. Zbadała Sabinę, zerkając ostrożnie między jej nogi.

— Proszę pani, już może pani przeć! — wyszeptała uprzejmie. Mało brakowało, a ukłoniłaby się. Sabina się zirytowała. Poczowała kolejny skurcz.

— Kurwa, zabiję mojego męża! — wysyczała prosto do ucha młodej położnej, złapawszy ją za kitel.

— Proszę się uspokoić. — Dziewczyna była może wiotka, ale najwyraźniej dobrze przygotowana. Położyła Sabinie rękę na czole i pchnęła rodzącą z powrotem na plecy. — Pchamy, pani Sabino!

Sabina próbowała. Starła się jakoś to wszystko zatrzymać. Może się nie urodzi? Może gdzieś zniknie? Wchłonie się jak galaretowata torbiel? Na próżno. W dwóch kolejnych skurczach urodziła syna. Szybko, sprawnie. Jak porządna pacjentka, bez zbędnych ceregieli i wzywania doktora. Dobra Sabina.

— Chłopiec! — ucieszyła się asystująca jej pielęgniarka i na moment odeszła umyć i owinąć dziecko. Sabina modliła się, aby je upuściła. Spadnie i walnie głową o kant zlewu. Umrze raz dwa. Albo żeby małego utopiła. Nie potrwa to długo, jedno zachłyśnięcie. Albo nie wiadomo co jeszcze. Dzieciak wrzeszczał z głębi płuc. Może to oznacza, że jest na coś chory i zdechnie? Położna wróciła, niosąc zawiniątko.

— Dziesięć punktów, a płucka ma potężne! — zaśmiała się i podała dziecko Sabinie.

Z błękitnego kocyka wyjrzała sina jak kawał wołowiny twarz. Tak! Wyglądała jak wołowiny, dobrze rozklepany kotlet. Płaski nos. Oczy jak

szparki, opuchnięte i przymknięte jak u ćpuna. Pięści. Zaciśnięte. Rozwarte usta. Bezzębne. Sabina mogłaby przysiąc, że chłopak ma podniebienie czarne jak u wściekłego psa. Płakał jak opętany. Obląkany pędrak. Wił się. Rozkopywał kocyk

— Nie chcę go! — Sabina wyciągnęła przed siebie dłonie w geście obrony. — Nie chcę, nie, nie, nie!

Dostała morfinę. I coś na uspokojenie. Spała — nie spała. Dzieciak wył gdzieś w oddali. Jakby wiedział, że matka go nie chce. Jakby nad tym rozpaczał. Krzyczał inaczej niż pozostałe noworodki. Nie chodziło mu o żarcie. Tylko o nią. Sabinę. Ona, Sabina, czuła się osaczona. Nie ucieknie mu. Czasem pielęgniarki przychodziły i próbowały ją namówić.

— Niech pani go weźmie! — prosiły, czasem groziły. Sabina miała je w dupie.

Cmokały i kręciły głowami. Co za matka! Co za kobieta! Sabinę nic to nie obchodziło. W końcu przestanie wyć. W końcu się zamknie. W końcu będzie spokój.

JANUSZ. Oddam dziecko w dobre ręce

Kiedy Janusz wrócił późnym popołudniem do domu, zastał w mieszkaniu zaaferowaną Hanę, z której z trudem wydobył sensacyjną wiadomość.

— Mama pojechała do szpitala. Urodzić — wydukała córka. I tyle. Mężczyzna wzruszył ramionami. Normalne. Córka zazwyczaj reagowała stuporem na silne emocje. Wypytywanie jej miało się z celem.

Było już zbyt późno, aby jechać do Sabiny. Janusz pokręcił się po mieszkaniu, skoczył do rodziców Agaty, aby poprosić o opiekę nad Hanką. Spakował kilka rzeczy dla żony. Przyszła stara Ramowa ze słoikiem rosółu dla położnicy. Wiadomo, na słabość rosół najlepszy. Umył wannę. Potem się wykapał. Nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić. Wyszedł na moment na

balkon. Zajrzał do Hanki. Pochrapywała cicho. On też się położył i natychmiast zasnął.

Zaraz o szóstej rano dotarł do szpitala. Miejsce wczorajszego niezdecydowania zajęło podniecenie, zwłaszcza że dyżurująca pielęgniarka przekazała mu fantastyczną wiadomość.

— To chłopiec, proszę pana! — uśmiechnęła się znad poplamionych okularów.

Janusz ścisnął mocniej kupiony po drodze pęk goździków. Pachniały cynamonem. Ich twarde łodygi sterczały dziarsko, a główki sprawiały wrażenie, jakby rozglądały się na boki. Solidny wybór taki goździk. Nie zdechnie w zaduchu szpitala. Udekoruje.

Mężczyzna zapukał delikatnie do drzwi sali. Czuł się trochę jak intruz. W środku same kobiety. Miał wtargnąć na ich teren. Na uświęcone terytorium. Z jednej strony był go ciekaw, a z drugiej się bał. Przejechał dłonią po włosach i zapukał ponownie. Wszedł, nie czekając na odzew. Raz kozie śmierć. Sabina leżała zaraz pod oknem. Sama i bez ruchu. Nie było ani innych pacjentek, ani dziecka.

— Dzień dobry — przywitał się ostrożnie Janusz i pocałował żonę w czoło. Sabina była blada i obojętna. Mocno spała. Wymęczona. Wiadomo — poród.

Janusz odłożył goździki na szafkę. Wyjął z siatki zatłuszczony słoik z rosołem. W środku pływały przypominające nicienie wstążki makaronu. Fuj! Schował jedzenie do szafki. Nie mógł na nie ani patrzeć, ani go wachać. Nerwy... Niezdarnie poprawił żonie poduszkę. Sabina otworzyła oczy.

— Hej — mruknęła.

— Jak się czujesz?

— Dobrze...

— A gdzie mały?

— Na noworodkach. Zabrały go siostry.

— Przynieść go?

— Nie!

Janusz aż się wyprostował. „Co?!” miał ochotę krzyknąć, ale nie krzyknął.

— Ma jakieś badania? — zapytał przesadnie spokojnie.

— Nie. Janusz — Sabina usiadła — musimy porozmawiać.

Janusz poczuł, że się jeży. Niczym przeczuwający zagrożenie pies. Wylał pocące się dłonie w spodnie i usiadł na stojącym pod ścianą stołku. „Musimy porozmawiać” zazwyczaj nie zapowiadało niczego dobrego.

— Słucham cię — zadeklarował, mimo że miał ochotę uciekać.

— Janusz, ja go nie chcę. Oddajmy go. Zostawmy tutaj — zaczęła Sabina.

— Co?! — Janusz sądził, że się przesłyszał. — Co?!

— Rozmawiałam już z pielęgniarkami — ciągnęła Sabina monotonnym głosem. — Podpiszemy dokumenty. Zostanie tutaj. Ktoś go weźmie. Jest popyt na małe dzieci. A ja go nie chcę.

— A ja?! — Janusz zerwał się na równe nogi. — A ja?! Czy ja nie mam, kurwa, nic do gadania?! — ryknął. Odpowiedział mu płacz obudzonych za ścianą dzieci i narzekania matek.

— Janusz, uspokój się. Tak będzie lepiej — Sabina złapała go za udo, ale Janusz wyrwał się i zaczął maszerować po pokoju.

— Nie będzie lepiej! Nie zgadzam się!

— W takim razie ty się nim zajmiesz! — Sabina zaczęła wykrzykiwać swoje racje. — Ja nie zamierzam! Dostyc mi Hanki na głowie, pieniędzy nigdy na nic nie ma! Dobrze, że mamy mieszkanie po moich rodzicach, bo byśmy w kartonie mieszkali! Nic chcę go! Rozumiesz? Nie chcę! Ty

dzieciorobie. Nie będę się męczyć z kolejnym pomiotem!

— Ty... — zaczął Janusz, zacisnąwszy pięści. Opanował się z trudem. — Wychodzę po chłopaka. A ty się ogarnij i zastanów. Ja go nie oddam. Jak go oddasz, spieprzaj z mojego życia. Możesz nawet zabrać to swoje zasrane mieszkanie! Zatechłą, kurwa, norę! — Janusz trzasnął drzwiami i wyszedł.

Noworodki znalazł zaraz za ścianą. Otworzył drzwi i zdezorientowany przyglądał się rzędom leżących w łóżeczkach dzieci. Wszystkie były takie same. Janusz poczuł się skołowany. Na szczęście w rogu dostrzegł pielęgniarkę. Trzymała na ręku wyjątkowo małe niemowlę.

— Dzień dobry — ukłonił się. — Janusz Borowski. Przyszedłem po syna.

Pielęgniarka zerknęła na niego jakby współczująco. Idąc w kierunku Janusza, bezwiednie kołysała dziecko. Mężczyzna zastanawiał się, jak to jest, że wszystkie, ale to wszystkie kobiety tak robią. I czasem podśpiewują.

— To pański syn — powiedziała siostra i podała mu becik.

Janusz przyjął zawiniątko z wahaniem. W sztywne ręce. Mocno zacisnął palce na wątlym ciałku syna. Za mocno. Dziecko poczuło i otworzyło oczy. Granatowe niczym chabry po burzy.

— Witaj — szepnął Janusz i zaczął płakać.

Wrócił do Sabiny zdecydowany.

— Nie oddam go — oświadczył stanowczo, stojąc w drzwiach. — Utrzymuję cię, zarabiam, ile potrafię. Niczego ci nie brak. Starczy i dla Bartka — zakończył, podkreślając, że chłopiec ma już imię. Jak każdy członek rodziny. Już nie jest „nim”, ale Bartkiem.

— Ale... — Sabina próbowała jakoś się bronić. Skapitulowała, widząc spojrzenie męża. Janusz był z siebie dumny. Zgromić wzrokiem Sabinę to nie lada wyczyn.

— Dlaczego go nie chcesz? — zapytał łagodniej.

— Nie mam siły...

— Pomogę ci. Obiecuję — przyrzekł, wiedząc, że będzie z tym kłopot. Coraz więcej czasu spędzał w pracy, pilnując stołka.

Sabina machnęła ręką. Jakby odganiała jakieś owady. Januszowi wydała się taka krucha. Delikatny, niedokończony gest. Podszedł bliżej i pogłaskał ją. Jak małą dziewczynkę. Rozczulony rozchełstanał koszulą.

— Gównu prawda! — ryknęła nagle żona, a on aż podskoczył. — Gównu! — zaczęła drzeć się Sabina. — Nic nie pomożesz! Nic! Zabieraj go sobie! Ja go nie chcę! Nie wracam do domu! — kobieta wyskoczyła z łóżka i zaczęła przewracać stołki. Zrywać z łóżek pościel. Ciskać o ściany stojakami do kroplówek.

Janusz skulił się w kącie. Osłonił głowę ramionami. Z dyżurki przybiegły pielęgniarki. Za nimi gnał ordynator. Nawet jego przyciągnął huk rozbijanych sprzętów. Lekarz przepchał się pomiędzy pracownikami, rozgarniając je ramionami, i pierwszy wpadł do sali.

— Co tu się dzieje?! — huknął nieznoszącym sprzeciwu doktorskim tonem. Ćwiczonym latami w rozkazywaniu. W pomiataniu. Sabina zatrzymała się w pół ruchu. Jak dziecko podczas zabawy w „Raz, dwa, trzy, król patrzy, na oczy!”. — Spokój! — rozkazał lekarz. Janusz się wyprostował. — Pani — zwrócił się do Sabiny ordynator — spieprzać stąd. Wypisuję panią dzisiaj. Sabina nie śmiała się sprzeciwić. — Pan. Zabiera dziecko. I żonę. Nie umiecie się zachować, wynocha. Wynocha z mojego szpitala!

HANKA. Chrzciny

Chrzciny Bartka odbyły się miesiąc później. Sabina i Janusz zdecydowali, że tak trzeba. Na osiedlu wszyscy tego oczekiwali. Wszyscy tak robili. Bo tak wypadało. Hanka ani się nie cieszyła, ani nie smuciła. Było jej wszystko jedno.

Uroczystość w kościele trwała krótko, z czego Hanka była bardzo zadowolona. Nie lubiła przeraźliwego chłodu naw i lodowego świecenia witraży. Min tych wszystkich świętych i aniołów. Wyglądali, jakby mieli się rozplakać. Muzyka również pozostawiała wiele do życzenia. Głuchawy kościelny śpiewał coś nie do rytmu. Drażniło uszy.

Gdy tylko przebrzmiało ostatnie „amen”, dziewczynka wypadła z kościoła na gorące światło słoneczne. Nie oglądając się za siebie, ruszyła szybkim krokiem do domu. Za bramą kościoła jeszcze przyspieszyła. W końcu zaczęła biec.

Na uroczysty obiad po ceremonii w kościele zaproszono kilka ciotek i wujów. W sumie może z dziesięć osób. Nic wielkiego. Jednak od tygodnia Sabina histeryzowała. Dlatego Hanka tak się spieszyła. Musiała zagrzać rosół i gulasz. Ulżyć matce. Jakoś pomóc.

Zdążyła posprawdzać nakrycia i nałożyć lepki makaron do talerzy, gdy pojawili się dorośli. Szli niespiesznie, jakby jeszcze nie otrząsnęli się z podniosłego nastroju. Rozmawiali półgłosem. Bartek spał. Hanka przewiozła go do swojego — teraz „ich” — pokoju i zamknęła drzwi. Niech śpi jak najdłużej i nie przeszkadza. Ona ma robotę. I jest głodna jak wilk.

Podniosły nastrój zniknął, gdy tylko goście pojedli i wypili pierwszą kolejkę. Zaczęły się głupawe żarty, których Hanka nie rozumiała, a które ją denerwowały. Dorośli śmiali się rechocząco. Obudzą Bartka i będzie kłopot!

Sabina polewała zgromadzonym od serca. Hanka dostawała dreszczy na ten widok. Oleista wódka sączyła się powoli do obślinionych kieliszków. Znikała w łapczywych ustach. Pod obklejonymi sosem z pieczeni wąsami. Za uszmińkowanymi wargami. Ohyda.

Hanka obserwowała gości z przedpokoju. Mili, przyjaźni wujowie zamienili się w spocone wieprze w rozchylonych do pępków koszulach. Pod pachami kręgi potu. Umalowane i wyczesane ciotki przedzierzgnęły się w

rozochoczone kokoty. Pogubiły buty. Pościągaly żakiety. Śpiewały, każda inną melodię. Pośród nich Sabina, podniecona, rozpiszczana niczym gumowa zabawka. Schnące sałatki ociekały zjełczalym majonezem. Niewidoczny na tym tle ojciec. Nie potrafił ich okiełznać. Dziewczynka westchnęła i uciekła do swojego pokoju.

Bartek spał. Prawie nie oddychał, jak to on. Hanka usiadła na podłodze i próbowała się czymś zająć. Wrzaski pijanych gości raz po raz przerywały jej zabawę. Nie mogła się na niczym skupić. W końcu, po kolejnej eksplozji śmiechu wstała i zakryła Bartkowi uszy zwiniętym w rulon kocem. Niech śpi. Będzie spokój.

Jak na złość, kiedy ostrożnie cofała się od wózka, brat się obudził. Zanim dobrze otworzył oczy, zaczął drzeć się jak nadziewany na pal dzikus. Jak to on. Na Sabinę i ciotki nie było co liczyć. Hanka postanowiła zatkać malucha smoczkiem. „Korkiem” — jak to mówiła matka. Ten jak zwykle gdzieś się zapodział. Pewnie wypadł w kościele. Albo cholera wie gdzie. Psiakrew.

Ale! Na półce, zaraz pod sufitem, leżał inny smoczek. Nierozpakowany jeszcze. Powinien Bartka zadowolić. Hanka zupełnie o nim zapomniała! Wspięła się na palce i próbowała do niego dosięgnąć. Bezskutecznie. Za wysoko. Zdjęła zakurzone skarpetki i zaczęła się wspinać po półkach. Zupełnie jak po drabinie. Wystarczyły dwa kroki. Jedną ręką złapała najwyższą półkę, a drugą sięgnęła po pudełko z „korkiem”.

Już prawie miała je w dłoni, gdy ta druga, zdradziecka, spocona lewa dłoń, która miała trzymać się mocno, ześlizgnęła się po białej politurze. Hanka przez chwilę trzepotała w zawieszaniu, a potem runęła na podłogę. Prosto na rozrzucone na niej kanciaste klocki. Podczas krótkiego lotu jakoś obróciła się na bok i upadła na głowę. Poczwała, jak jeden z niebieskich klocków wbija się jej w skroń. Ciepło. Oszołomienie. Z trudem usiadła. Sięgnęła do bolącego miejsca. Mokro. Czerwono. Aż posklejało włosy.

Niedobrze. Hanka ledwo słyszała wrzask Bartka. Zatkaną dziurę w głowie palcem. Poczekala, aż zatrzyma się wirujący w jej głowie diabelski młyn.

Zataczając się, poszła do salonu. Pijane postaci rozmazywały się jej przed oczami. Gdzie tata?

— Tato! Tato! — zawołała.

Janusz wyskoczył z kuchni.

— Dziecko! — krzyknął, widząc Hanke. Dziewczynka przestraszyła się. Przestraszyła się strachu Janusza. Ojciec zawrócił do kuchni i przybiegł ze ścierką. Przyłożył ją w miejscu rozcięcia. Nasiąkała powoli. Głowa zawsze mocno krwawi. To Hanka wiedziała. Spokojnie. Zaraz przestanie. Chciała pocieszyć Janusza, ale jakoś nie mogła przypomnieć sobie sensownych słów.

— Co z Bartkiem? — zapytał Janusz. — Czemu się drze?

— Nie wiem. Głodny — Hanka, chociaż chciała, nie mogła zdobyć się na więcej.

— Czekaj. — Janusz zawrócił do kuchni.

Po chwili wyszedł stamtąd z butelką mleka dla niemowląt. Za dużo go było na Bartka, ale Hanka nie komentowała. Noc młoda jeszcze, przyda się na potem. We dwójkę nakarmili dzieciaka. Beknął i zasnął. I w tym momencie pojawiła się w pokoju dzieci Sabina.

— Co tu się, kurwa, dzieje!?! — zaczęła jak zwykle. — Janusz! Idź do gości! Nie wypada tak znikać!

— Musiałem pomóc, Hanka upadła...

— Hanka! Hanka! Wiecznie tylko „Hanka”! Albo ten gnojek! — Sabina wyrwała Januszowi syna i cisnęła go do wózka. Z Bartka gwałtownie uszło powietrze. Hanka krzyknęła z oburzenia. Co za mała! Zabije go! On jest malutki!

Sabina chciała jeszcze Bartkowi poprawić. Już go wcześniej biła, Hanka widziała ślady! Zebrała się w sobie i stanęła pomiędzy matką a wózkiem.

Obroni brata! Jest już duża! Ojciec był jednak szybszy.

— Przestań! — Janusz złapał Sabinę za ramię i zaczął ciągnąć z powrotem do salonu. Trzymał ją mocno. Hanka widziała pozostawione przez palce ojca sinawe pręgi. Dobrze jej tak!

— Przestań?! Przestań?! — Sabina weszła na wysokie C. — Nigdy nie mogę się niczym przez was nacieszyć! Nawet chrzciny mi spierdolicie! — załkała. — Zawsze tak samo! Ty, Hanka i Bartek na dokładkę! A gdzie miejsce dla mnie? Gdzie? — Zasmarkana Sabina rzuciła się do wyjścia. Chwyciła starą, wojskową kurtkę Janusza i wypadła na korytarz. Na wpół zjechała, na wpół zbiegła po śliskich schodach. Uderzyła dłońmi o drzwi klatki. Wypadła na podwórze jak wystrzelona. Rzuciła okiem w lewo. W prawo. Pognała dalej.

Goście rzucili się w pościg. Niektórzy w domowych kapciach. Inni boso. Jazgotali na schodach i przepychając się, kłócili. Potem wszystko ucichło. Hanka została w mieszkaniu sama. Z Bartkiem. Który natychmiast zasnął na powrót, zadowolony z ciszy.

Podeszła do okna. Przy placu zabaw zauważyła matkę. Sabina biegła co sił w nogach. Migwały beżowe czółenka. Powiewająca za matką kurtka przypominała tren. Za uciekającą gnali pozostali. Coś chyba wołali, bo Sabina od czasu do czasu się oglądała. Poruszała ustami. Odpowiadała. Albo śpiewała. Hance przypomniało się, jak kiedyś oglądała w telewizji zupełnie wyciszony program. Aktorzy łazili i kłapali. Ciężko się było domyślić, o co im chodzi. Jednak emocje Sabiny były dla Hanki czytelne. Wygięte, jakby przełamane brwi. Zasznurowane usta. Napełniony powietrzem nos. Matka była wściekła.

O tym, jak bardzo, przekonał się wuj, który schwycił Sabinę za przedramię. Wyrwała się jednym ruchem. Zdarła z siebie kurtkę i zaczęła okładać myśliwego. Hanka niemalże słyszała świst przecinającego powietrze

materiału. Dzwonienie zamka błyskawicznego. Sabina trafiła wuja suwakiem. Prosto pod oko. Pękła cienka skóra. Wuj uklęknął. Spomiędzy dłoni, którymi osłonił twarz, ciekła krew. Sabina rechotała, unosząc w górę twarz. Była jednak czujna. Zauważywszy zbliżający się peleton gości, umknęła na wierzbę. I tam zaszyła się wśród gałęzi. Ani myślała zejść.

— Haneczko, jak się czujesz? — zapytał Janusz nieśmiało.

Przez jakiś czas sterczał wraz z resztą towarzystwa pod drzewem i próbował przekonać Sabinę, aby zeszła. Sabina ciskała w stojących obłamywanymi gałęziami. Hanka śledziła rozwój wypadków z okna pewna, że nie ma szans, aby matka wróciła do mieszkania, o ile sama tego nie zechce.

W końcu wszyscy goście zgodnie powrócili za stół i świętowali dalej pierwszy sakrament Bartka. Pewnie uznali, że Sabinę skusi w końcu brzęk kieliszków. Ona była jednak uparta. Jak osioł. To Hanka też wiedziała.

— Dobrze — odpowiedziała ojcu. — Już mi nie leci krew.

— To świetnie — ucieszył się Janusz i zapatrzył się gdzieś w sufit. Hance wydawało się przez moment, że będzie płakał. Ale nie. Pomrugał pośpiesznie i uśmiechnął się.

— Haneczko, mam prośbę — zaczął cicho. — Poszłabyś po mamę? Wiesz, że ona na twoje prośby reaguje. Może tobie uda się ją przyprowadzić?

— A co z Bartkiem? — Hanka nie tyle interesowała się losem brata, ile chciała się wykręcić sianem. Nie miała ochoty na pertraktacje pod wierzbą. I to na oczach całego osiedla.

— Ciocia Ania się nim zajmie. — Janusz uspokajająco poklepał córkę po ramieniu. Hanka odsunęła się. Nie. Nie wykpi się głupim gestem! To nie wystarczy! Jednak zamiast stanowczo tupnąć, uciec pod kołdrę, wierzgać i kłąć, Hanka się zgodziła. Jak zawsze. Taki był zwyczaj. Matka szaleje.

Ojciec nie wie, co robić. Hanka rozwiązuje kłopot. Taki los. Taka karma.

Powlekła się pod wierzbę okrężną drogą. Starła się unikać dzieci z osiedla, omijać grające w gumę dziewczynki i biegających za piłką kolegów. Oni starali się jej to ułatwić. Widzieli pościg i ucieczkę na drzewo. Patrzyli przed siebie. Nie zaczepiali koleżanki. I tak miała przechlapane. Hanka była im wdzięczna.

Powoli zmierzchało. Gdy Hanka zadarła pod drzewem głowę, ledwo mogła dostrzec kontury wąskich liści na tle nieba. Musiała dobrze wyteńczyć wzrok, aby zobaczyć matkę. Sabina chyba spała. Jej nogi dyndały, jakby były ze szmat, ale ręce ścisnęły smukły pień.

— Mamo — wyszeptała Hanka i Sabina natychmiast się ocknęła.

— Co? — zapytała zaspana.

— Zejdź. Goście czekają. Trzeba gulasz podać.

— Aha. Dobrze. Schodzę. Uważaj, żebyś cię nie kopnęła.

Sabina powoli opuściła się na ziemię. Kompletnie pijana. Włosy pełne kory. Sukienka poplamiona. Ale uśmiechała się dzielnie, mrugając zalotnie.

— Chodźmy, córeczko! — powiedziała nieco za głośno i złapała się ramienia Hanki.

Szły, jak to mówiły osiedlowe łobuzy, „tropiąc węża”. Sinusoidą. Hanka czuła na plecach spojrzenia spacerowiczów, matek z wózkami, dzieciaków. Ale szła. Taka karma. W domu Sabina siadła za stołem. Polali jej. Kolejkę. Jedną. Drugą. Zaczęła podśpiewywać. Chlapała gulaszem. Hanka przeniosła Bartka na swoje łóżko i razem z nim w końcu zasnęła.

Po chrzcinach było coraz gorzej. Sabina uznała chyba, że skoro Bóg wziął na siebie czuwanie nad dzieckiem, ona nie musi robić nic. Nie zwracała na małego uwagi. Nawet na niego nie patrzyła. Dotykała dziecka tylko wtedy, kiedy była do tego zmuszona. „Nie ma cię” zdawała się mówić jej

postawa. „Znikaj”.

Hanka zastanawiała się czasem, czy gdyby dobrze pogrzebała w pamięci, doszukałaby się wspomnień o samotności. Okrutnej samotności małego dziecka. O tęsknocie za pieścizotami. O płaczu do ochrypnięcia. Te myśli doprowadzały ją do łez. Dławiły. Miała nadzieję, że dla niej matka była inna. Biedny Bartek...

Matka zaś całymi dniami gniła w nieświeżej pościeli, w sypialni ciemnej jak krypta. W towarzystwie butelki. Czasem szeleszcząc blistrami relanium. Hanka musiała się zająć wszystkim. Nieważne, czy chciała. Czy nie. Czy mogła. Czy nie. Czy potrafiła. Nieważne.

Ojciec niby czasem pomagał, niby próbował. Jak to ojciec. Pograżony w finansowych zmartwieniach, roztargniony i zmęczony, czasem zasypiał, kiwając Bartka w wózku. Jego ręce nadal się poruszały, a on spał. Brał dodatkową robotę. Czasem po nocach liczył coś i stukał na kalkulatorze. Hanka nie lubiła tego stukotu.

Jakoś tak się po prostu złożyło, że cały ciężar opieki nad niemowlęciem spadł na Hankę. A przecież ona wcale nie prosiła o brata! To było trochę tak jak z welonką, którą dostała na urodziny dwa lata temu. Wyłupiastooka rybka wcale się Hance nie podobała. Ale skoro znalazła się w domu, trzeba było o nią zadbać. Dbała też o Bartka, pomimo że brzydziła się śmierdzących, zielonkawych kup rozmazanych na chudych poślądkach. Brudnych paznokci. Chociaż nie znosiła ufajdanej zaschniętym na skorupę mlekiem buzi. Tępowych oczu, które zdawały się jej nie rozpoznawać. Przy okazji dbała też o Sabinę. I oczywiście troszczyła się o ojca przeciążonego pracą. Wszystko na jej głowie!

Zamiast iść z koleżankami zbierać na działkach dziki łubin, wracała biegiem ze szkoły niczym zapracowana matka pędząca z pracy do rodziny. Po drodze się zastanawiała. Czy zastanie Bartka żywego? Zdrowego? Co z

matką? Będzie pijana? Będzie truć? Czy zaśnie zamoczona? Oby zasnęła! Może trzeba zadzwonić po lekarza? Matka gada od rzeczy. Może zwariowała? Czy gada przez sen?

Zaraz po powrocie szykowała jakieś jedzenie. Czemu nie ma chleba? Pieniądze? Gdzie są pieniądze? Nie ma za co kupić nawet pół bułki! Sprzątała po łebkach. Czasem coś wyprała. Ile można chodzić w brudnej podkoszulce? Wstyd na gimnastyce się przebrać!

Potem martwiła się dalej. Gdzie jest tato? Czemu jeszcze nie wraca? Czy autobus się spóźnił? A może był wypadek? Maluch darł się, marudził. Kiedy on zaśnie!? Na litość boską! Przecież ona ma pracę domową! Zmartwienia, zmartwienia, zmartwienia. Hanka miała powoli dosyć.

— Ja już nie mogę! — zacytowała Agacie tekst zasłyszany w jakimś serialu. Był jeden z tych rzadkich dni, kiedy Janusz miał wolne i ogarniał dom, Sabinę, dzieciaka i całą resztę spraw.

— Aha. — Agata żuła gumę i mówiła niewiele. Pachniała balonowo.

— Matka całe dni przesypia — ciągnęła Hanka.

— Mhm.

— Nic nie robi. Czasem się drze. Bartka omija. W domu bałagan. Co się dzieje? Kompletnie jej odwala!

— Aha.

— Agata! Wypluj tę gumę! — Hanka zirytowała się brakiem zaangażowania przyjaciółki.

— Przepraszam — mruknęła koleżanka i wypluła gumę na dłoń. Różowa papka rozmasowała się pomiędzy palcami, tworząc coś na kształt błony pławnej. Agata zaczęła ją skubać.

— No i co powiesz? — Hanka oczekiwała jakiejś konkretnej rady.

— Hmm... Mojej matce też odbiło po narodzinach bliźniaczek. Płakała przez dobre pół roku. Potem jej przeszło.

— Ale zajmowała się małymi! — Hanka nadąsała się. Przyjaciółka najwyraźniej próbowała zbagatelizować jej problem.

— No zajmowała się... Faktycznie... — Agata posmutniała.

— No więc?

— Może komuś o tym powiedz? Wychowawczyni? Albo higienistce?

— Ej! W ogóle się nie starasz! — Obrażona Hanka zerwała się z huśtawki i pobiegła w kierunku ogródków działkowych.

Z Agatą pogodziła się szybko. Przyjaciółka znalazła ją na kompostowniku. Poczęstowała gumą. Hanka uznała, że nie warto marnować wychodnego z domu na kłótnie. Matka po kilku tygodniach faktycznie poczuła się lepiej. Wstawiała. Myła się. Ubierała. Zabierała Bartka na spacer.

— No widzisz! — podsumowała sprawę Agata.

Pobiegły do papierniczego po nowe flamastry.

SABINA. Miłość jest ślepa

Mariusz. Dostawca. Zdaniem Sabiny słowo „dostawca” było kompletnie nieodpowiednie. Mylące. Sugerujące przeciętniaka z brzuszkiem i zamiłowaniem do starych hitów Ich Troje. Z Mariuszem zestawzić mogłaby „tancerza”, „fotografa”, „muzyka”. Być może Mariusz zostałby artystą, gdyby nie fakt, że w domu się nie przelewało. Dlatego w wieku osiemnastu lat siadł za kółkiem białego mercedesa — niemieckiego złomu, podgryzionego ciemną rdzą. Zajął się rozwożeniem warzyw na stragany i do sklepów.

Początki były trudne. Zimne poranki, chytry hurtownicy, niesolidni odbiorcy, wieczny brak gotówki. Naiwność też, a jakże. Jednak po pięciu latach Mariusz i jego mercedes opanowali zachodni kraniec Katowic. W tym „Tysiąclecie”. Chłopak mógł sobie pozwolić na najdroższe dzinsy, stylowe

adidasy, a na szyi nosił gruby łańcuch ze srebra. „Złoto to wiocha”, mawiał.

Sabina poznała go podczas spaceru z Bartkiem. Zabrała dzieciaka na powietrze, bo marudził i marudził. Wlokła się noga za nogą podziurawionym chodnikiem i trzepała wózkiem. W końcu gnojek zaśnie. Na razie jednak Bartek wymachiwał rękami i nogami. O spaniu nie było mowy. Kobieta gapiała się na mijane dmuchawce. Czemu jeszcze nie odleciały? Jest już połowa lipca!

— Niech go pani da pod słońce, to oczy zamknie i zaśnie — usłyszała nagle.

Poderwała głowę, chcąc obrzucić wtrącającego się mężczyznę stekiem wyzwisk. Zamarła. Przed nią stał przystojny, młody facet. Sabina spodziewała się raczej jednego z dziadków włączających się pomiędzy przychodnią a spożywczym i wypatrujących ofiar, z którymi mogliby pogawędzić. Wyprostowała się. Poprawiła włosy i natychmiast zdała sobie sprawę z beznadziejności tego gestu.

— No, niech go pani pod słońce da. — Mężczyzna złożył przymocowaną do wózka parasolkę. Nie pytając o zgodę, delikatnie obrócił wózek. Natarczywe promienie oświetliły bladą twarz dziecka. Maluch zamknął oczy i zastygł, zadowolony lub oszołomiony. Nieznajomy wsadził mu smoczek do buzi.

— Zaraz będzie spał. — Facet zaczął telepać wózkiem na boki. Po chwili główka Bartka zaczęła się bezwładnie bujać. Smoczek wypadł z ust. Dziecko zasnęło.

— No widzi pani — ucieszył się mężczyzna. — Mariusz jestem! — Ukłonił się jakoś tak staromodnie i wyciągnął do Sabiny rękę. Pierwszy. Nowomodny savoir vivre.

Sabina się tym nie przejęła. Chwyciła opaloną dłoń. W momencie gdy jej palce dotknęły stwardniałych opuszków Mariusza, poczuła podniecenie.

Zaczerwieniła się, ale tylko trochę.

— Cola przed sklepem, skoro już śpi? — zaproponował chłopak.

— Chętnie — Sabina poprawiła nerwowo zsuwające się ramiączko biustonosza. Wyglądało spod krótkiego rękawa bluzki. Było niedoprane i zszarzałe. Zdecydowanie zniechęcające.

Usiedli na parapecie niskiego pawilonu „Warzywa — owoce — słodczyce”. Mariusz otworzył jej puszkę, a potem swoją. Cola była ciepława. Bardzo słodka. Sabina piła powoli. Nie chciała, aby się jej potem odbijało.

— Papieroska? — zapytał nowo poznany towarzysz.

— A chętnie! — zgodziła się Sabina.

Zapalili. Dym unosił się i przelatywał nad wózkiem Bartka, ale Sabina mimo to odsunęła go nieco. Nie chciała, aby Mariusz sądził, że jest jakaś głupia. Że dziecko dymem truje! On skinął głową z uznaniem. Sabinie ulżyło.

Siedzieli i mówili niewiele. Osiedlowe gaduły omiatały ich wzrokiem i pędziły kryć się po klatkach, nawijać, terkotać. „Sabina znowu się z kimś prowadzi!”. „Sabina spiknęła się z tym od warzyw”. Sabina miała to gdzieś.

Po pierwszym spotkaniu zaczęła czatować na Mariusza pod warzywniakiem. Wychodziła z Bartkiem na spacer i kręciła się w okolicy sklepu. Efekty nie kazały na siebie długo czekać. Sabina gratulowała sobie sprytu.

— O, znowu się spotykamy! — usłyszała kilka dni później. Podskoczyła na dowód, że jest pod warzywniakiem zupełnie przypadkiem. — Chyba nam to pisane! — zaśmiał się Mariusz.

— Dzień dobry! — odpowiedziała lekko i energicznie jak nastolatka. Umiała kokietować! — Na spacerku jestem, wie pan, powietrze to podstawa dla zdrowia dziecka. — Pochyliła skromnie głowę niczym rasowa Matka

Polka. Wygięła w prawo biodro, kusicielka. Mariusz obłąpił ją wzrokiem. Działo!

— Pani poczeka, rozładuję i się przejdziemy — obiecał i zniknął we wnętrzu dostawczaka.

Poszli na spacer. Jeden raz. Drugi. Kolejny. Wstąpili na kawę do pobliskiej mordowni. „Kawiarni” jak ją określił Mariusz. W rzeczywistości pijalni piwa i taniej wódy. Lepsze to niż nic. Sabina nie narzekała. Wybrali się do zgrzanego centrum Katowic na lody. Potem na szybki obiad w jakimś barze. Zjedzony na stojąco przy ladzie odrapanej budy.

— Z dzieckiem to do knajpy się nie da — zarządził Mariusz, a Sabina się zgodziła. Jak Matka Polka, to Matka Polka. Zapiekanka za cztery pięćdziesiąt smakowała nieźle. Była z Mariuszem. Dotykała go mimochodem. Niech będzie. Wszystko działo się tak szybko, że nie miała czasu się zastanowić.

Okazało się, że mężczyzna mieszka całkiem blisko niej. Dosłownie dwie ulice dalej. Jak mogła go wcześniej nie zauważyć? Do Mariusza można było iść albo ciągnącym się wokół blokowiska dziurawym deptakiem, albo skrócić sobie drogę i skorzystać z przejść umieszczonych na przestrzał w długich budynkach. Sabina wolała tę drugą drogę. Nawet pomimo tego, że w przejściach śmierdziało moczem i można tam było spotkać tak zwany element. I wiało.

Przyszędł sierpień. Mariusz zaprosił ją do siebie. Sabina szykowała się kilka godzin. Kreska kajalem na powiece, tusz, perfumy. Golenie nóg. Wiadomo, do czego dojdzie — trzeba się odszykować. Wyobrażała sobie elegancką kawalerkę, jeden przestronny pokój, minimum mebli. Żadnych dywanów w perskie zawijasy. Kotar, stor, zasłonek z maszynowo haftowanego, taniego tiulu. Widziała w nim nowoczesny sprzęt. Telewizor, porządny i duży. Koniecznie toster. Srebrny i błyszczący. Wodne łóżko.

Mieszkanie Mariusza było ciasne, ciemne i nudne. Zawalone sprzętami

zebranych od znajomych i rodziny. Wyszczególnione tysiącami pośladek fotele. Stoły z zagłębieniami od kilkuset par łokci. I te cholerne zasłony o barwie cienkiej zupy pomidorowej. Kurz.

— Witam cię w moich progach! — powitał ją Mariusz, gdy przyszła do niego na Astrów pierwszy raz. — Zapraszam! — skłonił się niczym lokaj. Nie chciała go rozczarować. Weszła. Została.

Mieszkanie Mariusza miało jeden plus. Posiadało spory przedsionek, w którym idealnie mieścił się wózek Bartka. Do pokoju i kuchni prowadziły z niego pełne drzwi, bez szyby. Sabina zostawiała Bartka w tym przedpokoju. Zazwyczaj spał, a jak nie spał, siedział cicho. Podawała mu trochę neospasminy czy luminalu. Troszeczkę.

Wchodziła do pokoju. Starannie zamykała drzwi. Witała się uśmiechem. Drżącym i niepotrzebnym. Niezgrabnym kiwnięciem ręki.

Padła na wiecznie rozłożoną kanapę, w skołtunioną pościel. Mariusz już czekał. Nagi i młody. Gotowy i chętny. Twardy i namiętny. Sabina dyszała pod nim godzinami, marząc o tym, aby nigdy tego pokoju nie opuszczać. Zapominając o znienawidzonych zasłonach. Filtrowane przez nie światło barwiło jej skórę na czerwono.

Była zakochana. Oszalała. Jej oczy pałały. Jej włosy błyszcząły. Piersi sterczały. Czuła się niesamowicie. Czasem łapała spojrzenia Janusza dociekające, o co chodzi. Stary dureń z pewnością coś podejrzewa! Sabina miała to gdzieś.

Zaczęła wymykać się do Mariusza nawet wieczorami. Porzucała na moment rodzinę, wymawiając się śmieciami, które same wyłażą z kosza. Gnała zasikanymi przejściami, kurwując na meneli, i pędziła na Astrów. Rzucała się na Mariusza w progu, szybki numerek, niemalże w drzwiach i do domu.

Kiedy przybiegła pewnego dnia, nie otworzył. Widziała światło z dołu. Czerwone jak zupa pomidorowa. Z pewnością u niego. Ale nie otwierał. Potem znalazła na wieszaku w przedpokoju Mariusza sweter. Właśnie wychodziła. Wkładała buty, wyprostowała się i zobaczyła sweter. Damski. Obcy. Nie jej. Był niewielkich rozmiarów. Nowocześnie postrzępiony. Różowy.

— Co to jest? — zapytała lodowatym tonem. Wyćwiczyła go na Januszu.

— Sweter — odpowiedział Mariusz z pokoju. Sabina widziała jego wypięte pośladki. Zakładał właśnie majtki. Penis dyndał groteskowo między udami. Niecelegancko.

— Czyj? — Sabina oparła się o framugę. Mariusz rzucił spodnie na krzesło i odwrócił się do niej zdecydowany zakończyć rozmowę w samej bieliźnie. Sabinę to wkurzyło. Co za gnój!

— Niczyj. Moja sprawa.

— Twojej dziwki? — Sabina słyszała, jak zgrzytają jej zęby.

— Powiedziałem ci, że to nie twoja sprawa.

— Moja. Jesteś ze mną. Mam prawo wiedzieć. Odpowiadaj. Czyj?

Mariusz powoli podszedł i ujął jej podbródek. Zbliżył swoją twarz do twarzy Sabiny.

Zupełnie jak w filmie! Będą namiętne przeprosiny! Omdlewające słowa miłości! Tak! Jeżeli on to powie, ona odejdzie do niego, zostawi Januszowi mieszkanie, dzieci, niech spieprza, odejdzie do Mariusza, jakoś to będzie! Drżała na całym ciele.

— Kochanie, odwal się! — wyszeptał Mariusz prosto w jej usta. — Nic ci do tego. Nie masz na mnie wyłączności. Robię, co chcę. Nic ci nie obiecywałem. Jak ci się to nie podoba, droga wolna. Nikt cię tu nie trzyma, poza twoją cipką, która najwyraźniej jest niewyżyta. — Pchnął Sabinę na drzwi wejściowe. — Won i nie wkurwiał mnie — warknął i otworzył z

rozmachem drzwi. — Won!

Dwa dni później przeprosił. Przyszedł do niej do mieszkania. Przyniósł wódkę, kwiaty. Nawet dosyć świeże. Wypili. Potem seks w salonie. Udany. Pogodzili się.

HANKA. Niebieski balonik

Hanka była zadowolona. Nie musiała całymi popołudniami wozić dzieciaka w tę i we w tę. Znosić ubranych w plisowane spódniczki koleżanek, liżących lody calypso i świergoczących niczym sikorki. Podchodziły czasem do niej, zerkwały na brata i śmiały się. I z Hanki, i z niego. „Nochal” — tak mówiły. Odchodziły, kołysząc falbankami. Nogi miały pogryzione przez komary. Dobrze im tak! Tylko Agata pomagała jej kursować z jednego końca „Tysiąclecia” na drugi. Co za nuda!

Nagle przyszła upragniona wolność. Matka zajmowała się Bartkiem. Matka była spokojniejsza. Matka była nawet miła! Nie, przesada. Nie była upierdliwa. Nie pytała natarczywie o szkolne zadania tylko po to, żeby spuścić córce lanie za krzywe literki czy nieładny rysunek na pierwszej stronie zeszytu. Nie wymierzała kopniaków za pozostawienie kurzu na szafie. Właściwie Sabina praktycznie już nie biła. Może, czasem, jakaś szczypawka czy szturchaniec. Luksus. Mniej piła.

W tej błogości, bez uprzedzenia, przyszedł kruk. Dawno Hanki nie odwiedzał. Sądziła, że odszedł na dobre. Tymczasem, jak gdyby nigdy nic, wskoczył na wezglowie łóżka i zaglądał jej do uszu w poszukiwaniu brudu. Zabrał ją na plażę. Pustą i wypraną z kolorów. Nie było na niej pasiastych parawanów ani parasoli w rybki. Hanka widziała takie na pocztówce. Sama nad morzem nigdy nie była.

— Zobacz. — Kruk machnął dziobem w prawo. — Zobacz tam.

Hanka popatrzyła. W oddali dostrzegła spore stado mew. Ptaki unosiły

się nad wodą. Od czasu do czasu niektóre nurkowały, potem przysiadły na plaży, aby ponownie wzbić się w powietrze po chwili odpoczynku. Ciągły ruch.

— Co tam jest? — zapytała kruka i ruszyła powoli w kierunku mewiej chmary.

— Zobacz — zachęcił kruk.

Hanka przyspieszyła. Piasek był mokry i zbity, szła więc bardzo szybko. Ptaki były coraz lepiej widoczne. Można było rozpoznać ich łapki, skrzydła, głowy. Nie były już tylko fruującymi punktami. Po kilku kolejnych krokach Hanka zobaczyła, że mewy czymś się bawią. Pośród latającej czeredy unosił się balon. Człękokształtny. O ludzkiej barwie. Gdy dziewczynka jeszcze bardziej się zbliżyła, zauważyła, że jest to Bartek. Bezwładny, cichy.

Mewy podrzucały go w górę. Chwytały dziobami za rączki, za brzuch i ciskały jednym, mocnym ruchem głowy wyżej. Hop! Łepek w tył! Bartek leci! Gdy tylko zbyt mocno opadał, któryś z ptaków pikował w jego kierunku i ponownie podbijał dziecko do góry. Mewy chyba się tym męczyły. Bartek opadał coraz częściej niebezpiecznie blisko morskiej toni. Ta burzyła się, gotowała. Pasma piany morskiej przypominały kudłate węże sunące po poszarzałej ściółce.

Coraz więcej ptaków przysiadało na plaży. Nie miały sił walczyć z balonowym Bartkiem. Kilka pozostałych, które jeszcze latały, szarpało się z ciężkim dzieckiem. Bartek dotknął wody raz, potem drugi.

Nagle spośród fal wyskoczył potwór. Pędrak, o kobiecej twarzy. Bydlę rozwarło usta. Wielkie i uszmińkowane na czerwono. Aż lśniły. Gęba wypełniona była dwoma rzędami zębów. Gdy Bartek znowu opadł, straszidło uderzyło ogonem, wyskoczyło wysoko ponad powierzchnię i pożarło dziecko. Mewy uciekły.

— Jak się nie umie latać, to się spada — skwitował wydarzenie kruk i sen

się skończył.

SABINA. Pożegnanie z kochankiem

— Co ty tak wyglądasz, jak z krzyża zdjęta? — zapytał Mariusz, wpuszczając Sabinę do mieszkania. Od kilku tygodni miał coraz więcej zastrzeżeń do kochanki. Sierpniowe gorące bicie serc minęło bezpowrotnie. Na scenę wkroczył późny październik: peleryny, tarmoszone wicherą parasole i poczucie beznadziei. I chociaż Sabina zakładała pod stary płaszcz lepszą bieliznę, „z pieprzykiem”, Mariusz nieodmiennie grymasił jak przejezdony czekoladą przedszkolak.

— No, mów. Co jest? — ponaglił, a ona nagle poczuła, że ma ochotę mu przywalić.

— Źle sypiam — ucięła i zaczęła rozpinać płaszcz. Rzuciła okiem na Bartka. Leżał z półprzymkniętymi powiekami. Oddychał z przerwami, podczas których zastygał nieruchomo niczym trup. Kobieta wzdrygnęła się. A potem zdecydowanym krokiem weszła do pokoju i starannie zamknęła za sobą drzwi.

— Mąż ci spać nie daje? — zakpił Mariusz i odpalił papierosa.

— Nie, mam koszmary.

— Zaraz na to coś poradzimy. — Mariusz spuścił spodnie. Jak zwykle gotowy. Sabina westchnęła.

Zaciągnęła zasłony. Nie do końca. Zdjęła majtki. W mieszkaniu było zimno. Nie chciała się rozbierać do rosołu. Zamarzłaby chyba. Zresztą Mariuszowi to wystarczy. Oparła dłonie o parapet. Chłopak podszedł do niej od tyłu. Poczowała jego lodowate dłonie. Szarpnięcie za spódnice. Chłodny przeciąg na udach. Mariusz wszedł w nią bez uprzedzenia. Ostatnio taki miał zwyczaj. Wcześniej nie było o tym mowy. Teraz. Przedtem. Idealne przeciwieństwa.

Sabina pochyliła się mocniej, aby ułatwić kochankowi zadanie. Przez

szparę w zasłonach obserwowała mknących przez osiedle ludzi, uciekających przed siekącym deszczem. Skądś przyfrunęła potargana reklamówka, uniosła się w górę, opadła. Zniknęła za krzakiem. W oddali migwały samochody sunące w kierunku centrum.

Sabina kołysała się w takt pompowania. Jej włosy naelektryzowały się, trąc o zasłony. Mariusz charczał jak wiszący na suce pies. Czuć było zapach potu, męczył się i męczył. Aby poszło szybciej, wbił palce w miękkie pośladki Sabiny. Pociągnął ją do siebie. Zabolało. Krzyknęła. Ten krzyk wyraźnie go rozjuszył. Pompowanie przyspieszyło. Sabina telepała się, jakby siedziała na wirującej prędko pralce.

— Kurwa! — ryknął w końcu kochanek, a kobieta poczuła tryskającą w nią lepkość. W końcu.

Sabina siedziała w poczekalni. Z Bartkiem. Z nudów obserwowała czekające obok niej osoby. Każda z nich ubrana była niemalże zgrzebnie. Każda patrzyła w podłogę. Oczekujący czasem poprawiali się na krzesłach, ostrożnie, aby nie hałasować. Odkasływali w rękawy. „CISZA!” nakazywała tabliczka powieszona nad drzwiami jedyne w korytarzu gabinetu.

Z pomieszczenia co jakiś czas wychodzili pacjenci. Niektórzy zadowoleni rzucali prędkie „Do widzenia”. Pędzili z tupotem, znikali za zakrętem. Inni szli, powłócząc nogami, zdruzgotani tym, co wydarzyło się za zamkniętymi drzwiami. W końcu przyszła na nią kolej.

— Sabina Borowska! — wrzasnął ktoś schowany w gabinecie.

Sabina wstała, poprawiła spódnicę i weszła. Za biurkiem siedział kruk. Właściwie stał, wczepiony w oparcie krzesła. Nakłuwana jego pazurami biała farba popękała. Pod nią widać było blade drewno. Ptak przesuwał się z jednego końca oparcia na drugi. „Co jest?” pomyślała Sabina i stanęła w progu.

— Nie stawać, wchodzić! — wrzasnął kruk. — Nie mam czasu na jakieś tam powitania w progu!

— Przepraszam — wyszeptała kobieta i weszła.

— Drzwi! Zamknąć!

— Przepraszam. — Sabina zamknęła drzwi.

— Co się dzieje? — zapytał ptak i przeskoczył na wózek Bartka. — O, poważna sprawa jak widzę.

— Nie rozumiem.

— Chory. Trzeba leczyć. Pilnie. Nazwisko?

— Borowski — odpowiedziała Sabina.

— Imię?

— Bartłomiej.

— Wiek?

— Niecałe pół roku.

— Objawy? Poza tym, co widzę sam?

— Sama nie wiem. Apatia? Senność? — Kruk zerknął na nią z politowaniem i jakby ze wstrętem. Chyba znowu się wygłupiła.

— Dziecko wyjąć z wózka, rozebrać. Na kozetkę dać — zarządził ptak i przefrunął na biurko. Zaczął grzebać w jakichś papierach. Zbadał Bartka dokładnie. Poglądał, obmacał. Sabina czekała, wstrzymując oddech. Ptak pokręcił głową, zerkając na dziecko raz lewym, raz prawym okiem.

— Ubrać! Albo nie! — zmienił zdanie i zasępił się.

Sabina wetknęła śpiochy i sweterek do wózka, a na nich położyła nagiego Bartka. Chłopiec miał otwarte oczy. Źrenice pływały niczym oka w rosole. Chowały się w kącikach. Spał! Na pewno to tylko sen!

— Idziemy do zabiegówki! — zarządził ptak i wskoczył za znajdującą się w rogu zasłonkę. — No, szybciej! — ponaglił i dziobnął kobietę w kostkę.

Sabina poszła za nim. Za zielonym przepierzeniem znajdował się jeszcze jeden pokój. Niewielki. Na środku stała pełna mętnej, białawej wody wanna.

— Rozbieramy dziecko. Wsadzamy do wanny. Moczymy dwadzieścia minut. Nie wyciągamy. Pod żadnym pozorem! — poinstruował ją kruk i przycupnął na parapecie.

Sabina zrobiła, co rozkazał. Zanurzyła chłopca w wodzie. Kąpiel była bardzo ciepła. Niemalże gorąca. Jakaś taka kleista, oleista. To nie była woda, a jakaś zawiesina. Gdy tylko Bartek dotknął cieczy nóżkami, spojrzał przytomnie na matkę.

— Mamo, nie, proszę! — powiedział piskliwie. Sabina puściła wątle ciało. Z wrażenia. Bartek poszedł pod wodę.

— Wyciągaj go, kretyńko, zanim się utopi! — zakrakało ptaszysko, łopocąc skrzydłami.

— Przepraszam! — załkała kobieta i zaczęła szukać niemowlęcia w mętnej kąpieli. Gdzie on jest? Gdzie?

Znalazła. Złapała za śliskie ramię. Wyciągnęła. Ciało syna pokrywały jakieś wypryski. Białe, przypominające duże pryszczki. Podbiegały surowicą. Bartek odkaszlnął. A potem zaczął krzyczeć. Potwornie, głośno krzyczeć.

— Co się dzieje? — zapytała Sabina. Trzęsła się. Bała się, że znowu puści niemowlę. I już go nie znajdzie w tej żurowatej wodzie.

— Poczekaj, wyjdą z niego robale. To one go zatruwają — uspokoił ją kruk.

— Ale on krzyczy, trzeba go wyjąć!

— Nie wolno! Nie wolno! — rozdarł się kruk. — Czekaj, idiotko! Nie wolno! — powtarzał jak papuga, kiwając się w przód i w tył, a dziecko zanosilo się wrzaskiem.

Po chwili wypryski wybrzuszyły się i zaczęły kolejno pękać. Ze środka wychodziły pędraki. Nie spadały jednak do wody, ale trzymały się

haczykowanymi nogami skóry.

— Odrywaj je! — zakomenderował kruk.

Sabina zaczęła obierać Bartka z robactwa. Oskubywała go jak pokryty kulkami sweter. Jednak pędraków wciąż przybywało. Gdy tylko oderwała jednego, już za nim czekał kolejny. Nowe i nowe. Sabina pociła się nad ciepłą kąpielą. Spieszyła się jak mogła. Pot spływał jej z czoła. Syn wrzeszczał. Zachrypnięty.

— Nie, mamó, nie, mamó, proszę, zabierz mnie stąd, mamó, nie!

Rwała robale tak szybko, jak potrafiła. Ale Bartek wciąż krzyczał! Ten krzyk przeszkadzał jej w pracy, spowalniał ruchy. Zamknij się! Cicho! Staram się! Robale wyłaziły setkami. Sabina szlochała z obrzydzenia. Męczarnię przerwał niespodziewanie kruk.

— Zarobaczony na amen, to nic nie da — stwierdził. — Wyjmuj go! Trzeba nam czegoś lepszego! Wróć jutro.

Kolejnego dnia zaprowadził Sabinę do następnego pokoju. Znajdowało się w nim wyposażone w pasy wysokie krzesło i stół. Na stole stał słoik z żółtym płynem. Na wierzchu mikstury pływał kozuch, przypominający ten, który tworzy się w słojach z ogórkami. W naczyniu tkwiła łyżka.

— Posadź dziecko i przypnij dobrze. — Kruk wskazał dziobem krzesło. — A potem nakarm tym. — Tak samo jak dnia poprzedniego Bartek zaczął prosić o litość. Ale kruk był nieubłagany. — Musi zeżreć, to lek! — uparł się.

Sabina złapała syna za policzki. Ścisnęła jak szczeniaka, któremu trzeba wyjąć z pyska kłęb trawy. Dziecko otwarło usta. Matka wcisnęła mu pierwszą łyżkę płynu. Chłopiec zachłysnął się. Zamachał rączkami i wierzgnął.

— Dobrze, dobrze — ucieszył się kruk. — Zaraz się zaczniesz!

Nagle z ust Bartka zaczęły wypęłzać pędraki. Te same, które Sabina widziała dzień wcześniej, białe i tłuste. Ohyda!

— Wygarniaj je łyżką i karm dalej! Trzeba wytruć świństwo! — rozkazał kruk.

Sabina robiła wszystko, co kazał. Ale to nic nie dało. Robaki mnożyły się jak opętane. Te, które wylazły z ust, wracały z powrotem nosem. Albo spadały na kolana dziecka, by wgryźć się w ciało i wpełznąć do środka przez skórę. Bartek dławił się i krztusił. Sabina pakowała w niego lek. Kruk skakał i krakał podniecony.

W końcu w słoju pojawiło się dno. Robaki pokrywały całą podłogę. Bartek zwisał nieprzytomny na pasach. Kruk usiadł mu na głowie. Zajrzał w mętne oczy dziecka.

— Do dupy — oświadczył. — Do dupy. One są w jego mózgu. Wróc jutro.

Sabina zabrała Bartka na zabiegi jeszcze cztery razy. Tak było trzeba. Dla zdrowia. Leczenie prądem. Leczenie ogniem. Przepuszczanie przez wyżymaczkę rąk i nóg, aby zgnieść robactwo. Wszystko na nic. Pędraki nie chciały opuścić ciała chłopca.

Siódmego dnia przyszła do kruka wcześniej rano. Jak zwykle rozebrała Bartka i położyła go na kozetce. Ptak ledwie rzucił na niego okiem. Siedział na oparciu, nastroszony jak zmokła kura. Jego czarne oczy były mętne. Sabinie wydał się jakiś smutny.

— I co, doktorze? — zapytała.

— Nic...

— Nic?

— Pacjent jest beznadziejny. Moglibyśmy zaryzykować, ale chyba nie przetrwa kolejnej kuracji. Nie warto go katować. Szanse powodzenia? Może dziesięć procent. Nie. To nie ma sensu.

— Ale...

— Dość! — Kruk przeskoczył na biurko i uderzył kilka razy dziobem w blat. Poleciały drobne drzazgi. Rozciągnął skrzydła. Rozłożyły się z trzaskiem, jak wachlarze. Popatrzył na Sabinę jednym okiem i zaczął deklamować.

*Narodziny, znój i chrzciny
Radość durna jest rodziny
Życie kruche niczym lód
Więc daremny jest nasz trud
Gdy pisana szybka śmierć
Nic nie ugrasz, nie łudź się
Gdy okrutna męka czeka
Lepsza śmierć jest dla człowieka
Lepsze to, niż szargać nerwy
Kiedy wynik gry niepewny
Byle śmierć niedługa była
By dzieci nie męczyła
Żeby oczy zgasły prędko
Żeby serce nagle pękło*

Skończywszy recytację kruk wskoczył Sabinie na ramię, otarł się o nią, jakby w geście pocieszenia, i zniknął.

JANUSZ. Czasem jestem ojcem

Janusz pochylił się i zajrzał do skrzynki pocztowej. Ich przegródka umieszczona była na samym dole. Coś strzyknęło mu w krzyżu, pewnie od tego ciągłego siedzenia nad papierami bolały go korzonki. Mężczyzna przyłożył dłoń do pleców i przekręcił głowę. Przez małe dziurki widać było,

że w środku jest jakieś pismo.

Wyważył drzwiczki za pomocą breloczka. Zamek w skrzynce od dawna był popsuty. Poczta nie spieszyła się z jej wymianą. Wszędzie bylejactwo. Sięgnął do środka i wyjął kartkę z przychodni. „Wezwanie powtórne” odczytał. Dotyczyło Bartka. Sabina nie zgłosiła się do szczepienia. Ani trzy miesiące temu, ani miesiąc temu. Teraz przychodnia groziła policją. Karami. Cholerna idiotka, znowu coś olała!

Zapominając o korzonkach, Janusz wbiegł na pierwsze piętro, dysząc ze złości. Wpadł do mieszkania i natychmiast, nie zdejmując butów, pognał do kuchni. Sabina siedziała jak zwykle przy oknie. Z nieodłącznym papierosem. Hanki nie było, Bartek spał. A ona, jak to ona, odpoczywała nie wiadomo od czego!

— Co to jest? — zapytał Janusz, rzucając wezwanie na stół. Przefrunęło i spadło na podłogę. Schylił się — znowu strzyknięcie w plecach — podniósł papierek i przycisnął go dłonią do blatu.

— Nie wiem — fuknęła kobieta.

— To czytaj.

— No dobrze, nie muszę czytać. To z przychodni. O szczepieniu.

— Skąd wiesz?

— Widziałam to rano. Wrzuciłam z powrotem do skrzynki.

— Co? — Janusz usiadł ciężko na stołku. Nie miał siły do żony. Po prostu nie miał do niej sił!

— Wrzuciłam z powrotem! Może pomyślą, że nie dotarło albo że czy nas nie ma w domu.

— Sabina! To nie jest metoda! — ryknął Janusz. Tak głośno, że obudził Bartka. Dziecko zaczęło płakać. W tym samym momencie do mieszkania weszła Hanka.

— No, widzisz? Widzisz? Przez ciebie płacze! — zirytowała się Sabina.

— Hanka, idź coś zrób z bratem! — rozkazała. Hanka rzuciła tornister w przedpokoju i poszła do Bartka. Janusz patrzył za nią zasmucony.

— Hanka nie jest od zajmowania się małym — stwierdził spokojnie, czując, że przełyk pali go jak po zjedzeniu ostrej papryki. Im bardziej starał się zachować zimną krew, podejść konstruktywnie, rozmawiać bez wrzasków, tym mocniej paliło go w gardle. „Spokojnie, spokojnie” powtarzał sobie.

— Ja nie daję rady, sama ze wszystkim, nie daję rady! — odparowała Sabina.

— A co ty masz do roboty? Poza domem, dziećmi? — zapytał Janusz. Nie chciał jej prowokować, tylko po prostu się dowiedzieć. Czemu ona taka jest? Wyszło inaczej.

Sabina zerwała się z krzesła i uderzyła w martyrologiczny ton.

— Wszystko! Wszystko jest na mojej głowie! W niczym mi nie pomagasz! — krzyczała i krążyła po kuchni niczym obłąkana mucha. — Ty tylko się awanturować umiesz! Ale żeby pomóc? Nie, nie! Dupny pan!

— Sabina, przestań! Pracuję na dwa etaty, biorę robotę do domu. Staram się! — Janusz się rozzłościł. Dość! Tyra na tę sukę, a ona? Pali, pije i ma wszystko gdzieś! Nie mógł jednak kontynuować wywodu, ponieważ do kuchni weszła Hanka. Z Bartkiem na rękę.

— Muszę zrobić mleko, on jest głodny — wyszeptała. Janusz zauważył od razu, jak bardzo dziewczynka boi się matki. Biedne dziecko! Podniósł się, aby pomóc córce. Nie zdążył jednak sięgnąć po paczkę z mlekiem w proszku.

— Won! — krzyknęła Sabina głosem tak strasznym, że Janusz aż podskoczył.

Zerwała ze stopy klapek i z całej siły uderzyła Hanke w głowę. Dziewczynka aż przymknęła oczy. Matka ponownie uniosła dłoń, zamierzając się na Bartka.

— Zostaw! — Janusz pchnął furiatkę z całej siły. Sabina poleciała w tył, aż do przedpokoju. Uderzyła w szafę. Zagrzechotały politurowane drzwi, w środku zadzwoniły wieszaki. Janusz poczuł dziwną radość. — Zostaw! — powtórzył, wyciągając palec w stronę żony. — Ani mi się waż!

Przez chwilę obawiał się, że Sabina zaatakuje ponownie. Jednak żona upuściła kłapek. Odgarnęła włosy z czoła. Usiadła na podłodze i zaczęła płakać. Janusza mało to obeszło. „Dobrze ci tak!” pomyślał i wrócił do dzieci. Obejrzał głowę Hanki. Nakarmił małego. Dopiero wtedy podszedł do Sabiny.

— Jutro pójdziesz do przychodni albo ci tak wpierdolę, że pożałujesz! — obiecał, w pełni świadomy, że swoją groźbę spełni. Za dzieci! Za siebie! Naprawdę miał Sabiny serdecznie dosyć.

SABINA. Ostatnia droga

Sabina była piękną kobietą. Cudowną dziewczyną o włosach niczym końska grzywa, pośladkach jak koński zad, bujną i gorącokrwistą narowistą kłaczą. Lubiła tak o sobie myśleć, rozczesując godzinami loki i posyłając rodzicom zdawkowe uśmiechy. Uwielbiała zachwyt, z jakim patrzyli na nią, gdy tak siedziała i się czesała. Dumni z jej urody. Sabina dostawała to, co chciała.

— Mam wszystko! — powtarzała dumnie, jakby to jej zasługą były wszystkie te zbytkowne przedmioty, które znosili jej w hołdzie rodzice.

Ojciec był górnikiem. Zarabiał krocie. Jego bracia pracowali w Niemczech. Również zarabiali krocie. Sabina korzystała. Sukienki, kredki, czekolada. Lalki, gumki do włosów, zeszyty. Lekarstwa, witaminy, pomarańcze. Sznurówki do butów, kapelusiki. Wszystko przychodziło w paczkach zza granicy. Nikt, kogo znała, nie miał tyle, co ona.

— To już przesada! — mawiała czasem matka Sabiny, dumna Ślązaczka,

pani domu o niewyczerpanych zasobach energii. Ale ojciec Sabiny się z tego śmiał. A matka obrażała się, zaganiała córkę do roboty, aby za kilka dni zapomnieć i dać jej spokój na widok smutnych oczu i pokancerowanych od szorowania podłóg dłoni.

Z czasem Sabinie przestały wystarczać kolorowe żurnale, pluszaki i siedzenie na sofie w towarzystwie lusterka. Zapragnęła uwielbienia tłumów. Osiedle okazało się wodami zbyt płytkimi jak na jej urodę. Wypłynęła więc w miasto.

Katowice wchłonęły ją z radością. Sabina szalała na dyskotekach, prywatkach i ogniskach. Strzelała oczami na boki, wabiła. Całowała się po krzakach. Piła czerwone wino i paliła. W końcu rodzice nie wytrzymali. Doszło do awantury, potem do kolejnej. Ojciec użył pasa. Raz, drugi. Na nic.

— Smakowało, jeszcze chciało! — komentowała Sabina kolejne razy, a ojcu opadały ręce. Potem nastąpiło przeproszenie, kajanie się. Prośby.

— Sabinko, zostań w domu, proszę! — błagała matka.

— Córeczko, nie wychodź! — prosił ojciec ze łzami w oczach.

Na nic. Wszystko na nic. Sabina była stracona. Gdy miała szesnaście lat, nie wróciła po jednej z imprez do domu. Zniknęła. Rodzice szaleli. Biegali od okna do okna, gdy nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Pocwałowali, przepychając się w korytarzu.

— Sabinka! — otworzyli z wołaniem.

Za drzwiami stał mężczyzna. Mniej więcej w ich wieku.

— Państwo Neiman? — zapytał.

— Tak — matka Sabiny wbiła palce w ścianę. Zostały ślady na tapecie. „Co z Sabina? Co z Sabina?” kołatało jej w głowie.

— Jan Panek — przedstawił się gość. — Mogę wejść?

Wszedł. Herbata. Szybko. Ciastko. Rodzice siedli przy stole w salonie.

— O co chodzi? — zapytali.

— Chodzi mi o Sabinę, jak pewnie się państwo domyślają — zaczął mężczyzna. Matka Sabiny zemdląła.

Sabina poszła w tango. Upiła się do nieprzytomności i jakimś cudem dotarła daleko za Katowice, do jakiejś zapadłej miejsciny. Nikt nie wiedział, co tam robiła. Ona sama też. Jan Panek znalazł ją w rowie. Usłyszał jakieś jęki, gdy wracał z wieczornego spaceru z psem. Gdzieś około północy. Zazwyczaj późno kładł się spać. Sabina leżała wśród łopianów. Sukienkę miała podwiniętą aż na plecy. Była bez majtek.

Mężczyzna zaprowadził ją do siebie. Razem z żoną jakoś dziewczuchę obmyli i położyli spać. Nie wiedzieli, kim jest. Zamknęli na klucz w pokoiku na górcie. A nuż złodziejka? Zanim ją zamknęli, zabrali jej dowód. Stąd Jan Panek miał adres. Przyjechał.

— Sami mamy dzieci w tym wieku. To jak rodzic rodzicowi pomóc chciałem... — zakończył swoją relację. Ojciec Sabiny zbladł.

— Jedziemy — oświadczył i pognął do malucha. Gość ledwo za nim nadążał.

Skończyło się laniem. Porządnym. Kablem od żelazka. Sabina miała pręgi na całym ciele. Ojciec powyrywał jej włosy. Podarł na niej ubranie. Matka stała i nie interweniowała. Tak było trzeba.

Potem Sabina była sprytniejsza. Zwiała daleko, na dłużej. Zakochana nieprzytomnie. Facet jednak znudził się po kilku miesiącach. Odstawił ją do rodziców, a sam pojechał na Zachód. Potem był kolejny „narzeczony”. I jeszcze jeden, i następny. Odchodzili. Dlaczego? Sabina nie miała pojęcia. Czy żałowała? Tęskniła? Płakała? Zawsze.

W końcu trafił się Janusz. Starszy od niej, stateczny, na stanowisku. Może nie jakiś krezus, ale z perspektywami. Sierota. Rodzice zmarli, gdy miał dwanaście lat. Dusza człowiek! Sabinie był raczej obojętny, po prostu

go polubiła, bo tak staromodnie ją adorował. Miał być odskocznią pomiędzy kolejnymi romansami.

Rodzice prędko zorganizowali ślub. Pewnie Janusz nie byłby taki chętny do żeniaczki, gdyby nie ich nacisk. Sabina zawsze podejrzewała, że widząc niezłego kandydata, matka jakoś go docisnęła. Ojciec pewnie ochoczo dopomógł. Chcieli się jej pozbyć, zdjęć z ramion ciężar opieki. „Oddam córkę w dobre ręce”. Sabina nie miała im tego za złe. Rozumiała.

Młodzi zostali mężem i żoną w urzędzie. Potem skromna uroczystość w mieszkaniu. Zamieszkali razem z rodzicami. Sabina liczyła, że jakoś się ułoży. Było ciasno, ale miło. Janusz nudny, ale solidny. Narodziny Hanki. Nic specjalnego.

Często się Sabinie śnili. Taki dyżurny, wyciskający łzy z oczu sen. O mamie idącej w jej stronę po polu rzepaku. Nigdy nie były tam razem, ale Sabina wiedziała, że sen nie kłamie. Mama dokładnie tak by stąpała! Na miedzy stał ojciec objuczony paczkami.

— Proszę, kochanie, to wszystko dla ciebie — uśmiechał się do Sabiny.

Ten sen... Przyśnił się także tej nocy, kiedy położyła się wkurzona na Janusza za tę chryję ze szczepieniem. Obudziła się w momencie, gdy rozrywała kolorowy papier. Szeleścił obiecująco, skrzył się. Nagle zniknął. Obok chrapał Janusz. Kobieta westchnęła i spojrzała na zegar. Pierwsza dwanaście. Do rana już nie zaśnie.

Wstała i poszła do kuchni. Usiadła z westchnieniem. Po ciemku, wystarczy jarzenie się żaru na końcu papierosa. Sięgnęła po reszkę herbaty. Na wódkę jakoś nie miała ochoty.

Rodzice Sabiny nie żyli — zginęli w wypadku niedługo przed narodzinami Hanki. Gdyby nie to, pewnie wszystko potoczyłoby się inaczej. Sabina miałaby do kogo iść. Miałaby z kim pogadać. Mama przypomniałaby jej, jak lepić kluski śląskie. Jak nastawić zakwas na barszcz. Pomogłaby przy

dzieciach, Sabina miałyby czas dla siebie. Tato pewnie nie skąpiłby grosza na fryzjera czy kosmetyki. Ani na wnuki. Był srogi, ale zawsze mogła na niego liczyć. Może dołożyłby się do używanego auta? Sabina mogłaby wszystko naprawić albo po prostu zacząć od nowa. Wszystko potoczyło się nie tak.

Następnego dnia Sabina postanowiła pójść do cholerniej przychodni. Zaraz z rana. Dla świętego spokoju. Nie chodziło o to, że bała się Janusza. Po prostu chciała, żeby się odczepił. Zajął się sobą. Odwalił się. Nie robił scen!

— Ubieraj się. Zaprowadzę cię do szkoły, a potem pójdę z Bartkiem do lekarza — rzuciła Hance i zajęła się pakowaniem małego w kombinezon. Był listopad. Zimny, czasem niemal mroźny. Chciał nie chciał, trzeba dzieciaka trochę ubrać.

Sabina zniosła wózek na dół i pchnęła lodowate drzwi klatki. Miała wrażenie, że gdyby dotknęła ich metalowej powierzchni językiem, ten przymarzłby do niej na amen. Na zewnątrz czuć było zimę. Oddech parował. Pewnie niedługo spadnie śnieg.

Hanka dołączyła do matki. Założyła kurtkę, której Sabina nie pamiętała. Pewnie kupił ją Janusz. Ona nie miała do tego głowy. Ruszyły w milczeniu przez osiedle. Sabina nie miała pojęcia, o czym mogłaby rozmawiać z córką. O lalkach? Czy już o chłopakach? Czy to źle, że nie wie?

— Jakie masz dziś lekcje? — zapytała w końcu, a spłoszona Hanka odskoczyła w bok.

— Takie jak zwykle — odpowiedziała, patrząc w ziemię. Sabina nie kontynuowała tematu.

Szły wolno, mijając łyse żywopłoty. Na drzewach wisiały jeszcze pojedyncze liście. Trzymały się desperacko, jakby nie chciały ulec temu, co nieuniknione. Sabina pomyślała, że są głupie. Poprawiła szalik i schowała w nim nos. Doszły do skrzyżowania. Na wprost widać było budynek szkoły. W prawo prowadziła droga do przychodni.

— No, tu się pożegnamy — stwierdziła Sabina, zatrzymując się.

— Na razie — mruknęła Hanka, nie zatrzymując się nawet na moment.

— Poczekaj! — poprosiła Sabina. Czuła, że coś jest córce jeszcze winna. Coś trzeba zrobić. Koniecznie!

— Tak? — zapytała zdziwiona Hanka.

— Uważaj na siebie — wyszeptała Sabina, zapinając jej kurtkę pod szyją. Pochyliła się i mocno ucałowała Hanke. Przytuliła ją na moment. Dziecko było sztywne, zaskoczone.

— Uważaj na siebie! — powtórzyła Sabina. — Pa! — Obróciła się i prędko ruszyła w swoją stronę. Nie oglądała się.

Przeszła czterdzieści cztery kroki. Liczyła. Weszła na przerzuconą nad jezdnią kładkę. Trzydzieści osiem stopni. Pod mostem robotnicy łatali dziurawą drogę. Kiepska pora na taką pracę. Zaraz wszystko rozwali mróz. Drogowcy niezrażeni sypali na jezdnię żwir. W łomoczącej obok maszynie topił się asfalt. Robotnicy skakali wokół niej niczym diabły wokół piekielnego ognia. Czarni na twarzach. Znad osmolonego kotła unosiły się gryzące opary. Otulały kładkę gęstym kłębem. Sabina nie widziała jej drugiego końca. Zniknął pośród śmierzących obłoków. Mimo obaw, że za oparem ziele w moście dziura, Sabina ruszyła na drugą stronę. Gdy weszła w dym, na moment oślepla. Ogłuchła, zmęczona stukaniem maszyny. Po chwili wyszła na czyste powietrze. Świat powrócił. Szkoda...

W przychodni było pełno. Pełno i duszno. Pełno, duszno i gorąco. Pełno, duszno, gorąco i cuchnęło chorobą. Przed gabinetem pediatrycznym chmara dzieciaków okupowała jedyny dostępny stolik, na którym leżało kilka kartek i obgryziona kredka. Prawie wszystkie dzieci były zakatarzone. Niektóre kaszlały. Większość wyła.

Z gabinetu zabiegowego, w którym szczepiono, raz po raz wyglądała pielęgniarka, wpuszczając na zasmrodzony korytarz opary spirytusu. Wabił

on spragnionych rozmowy dziadków, którzy krążyli przed gabinetem internisty, żądni zdrowia i rozrywki. Sabina modliła się, aby jej nie zaczepiali. Po pewnym czasie wyczytano jej nazwisko.

— Proszę zerknąć na wózek — poprosiła jedną z oczekujących kobiet, wzięła Bartka na ręce i weszła do środka. Przyjmował młody doktor. Niewysoki i śniady. Przystojniak. Sabina zauważyła, a jakże. Ale nie była w nastroju do flirtowania.

— Dzień dobry — rzuciła i zaczęła rozbierać Bartka.

— Pani po co? — zapytał lekarz. Krótko. Nie miał czasu na uprzejmości.

— Szczepienie.

— Które? Wie pani?

— Nie, ale jest w karcie.

Doktor przerzucił jakieś formularze. Zapisał jakieś pierdoły. Rozpoczął wywiad. Kupki? Siuśki? Ile śpi? Co je? Ile je? Czy siada? Czy główkę podnosi? Sabina odpowiadała na odczepnego, że kupy są dobre. Syn sporo śpi, dobrze je. Wszystko, co trzeba, potrafi. Lekarz chyba zorientował się, że kłamie. Uśmiechnął się z przekąsem.

— Proszę odejść — zakomenderował, widząc, że Bartek jest przygotowany do badania. — Zbadam dziecko, przed szczepieniem muszę być pewien, że jest zdrowe. Gdy tylko rzucił okiem na małego, skrzywił się.

— Od razu widzę, że jest za chudy — zaznaczył. — I skórę ma przesuszoną, popękaną miejscami. Czy pani go w ogóle kąpie? — mrucał.

Przyłożył stetoskop do przypominającej kurzy korpus klatki piersiowej Bartka. Zamilkł. Usta zmieniły się w skupioną kreskę. Coś znalazł! Sabina zacisnęła dłonie na brzegu bluzki. A lekarz badał i badał. W końcu zdjął słuchawki. Tym gestem, szarpniętym, lekarskim. Sabina jako mała dziewczynka często go ćwiczyła. Chciała zostać lekarką. Dla stetoskopu i zdejmowania go specjalnym ruchem.

— Proszę pani, syn ma ciężkie zapalenie płuc — oznajmił pediatra. Zawiesił głos. Czekał, aby Sabina jakoś się usprawiedliwiła. — Stan jest poważny — kontynuował doktor. — Nie wiem, jak pani to przeoczyła. Mówi pani, że do szczepienia?! Przecież dziecko ma gorączkę! — Doktor pokręcił głową. „Kolejna idiotka” mówiły jego oczy.

— I co teraz? — zapytała Sabina bez skruchy. Przecież to nie jej wina, że nie zauważyła. Bartek był po prostu spokojny. Skąd mogła wiedzieć, że choruje? Bez jaj! Wezwali ją, przyszła.

— Szpital — zarządził doktor i rzucił się pisać skierowanie. — Rokowania są takie sobie. Natychmiast musi trafić do szpitala, aby miał jakieś szanse. Rozumie to pani?

— Tak.

— Proszę, skierowanie. Stąd idzie pani prosto na Wolską, do pediatrycznego. Dziecko dobrze ubrać, okryć. Karetki pani nie zawołam, bo i tak nie przyjedzie. Do szpitala, zrozumiała pani?

— Tak — potwierdziła Sabina.

— Mówię poważnie. On może umrzeć. Będzie miał szczęście, jak wyjdzie z tego cało. I pani będzie miała szczęście. Bo jeżeli nie wyjdzie, zgłoszę to do opieki. Nie żartuję, proszę pani. — Lekarz wstał rozjuszony obojętnym tonem kobiety.

— Dobrze, dobrze, idziemy do szpitala — obiecała Sabina i wyszła.

— Następny proszę — usłyszała jeszcze, gdy przymykała drzwi.

Szła do szpitala tą samą drogą, którą dotarła do przychodni. Prosto, prosto. Do mostu. Na górę. Z mozołem pchając wózek. Jak Syzyf swój kamień. Zdyszana przystanąła u szczytu schodów. Przeszła jeszcze kilka kroków i postanowiła odpocząć.

Stała niemal idealnie na środku mostku, w miejscu, w którym wyginał się on pod własnym ciężarem, tworząc wklęsły menisk. Dołem śmigały

samochody. Spod kół buchał wodno-błotny pył. Wyjęła dziecko z wózka. Chłopczyk otworzył na moment oczy, zaciekawiony zmianą. Sabina posadziła go na barierce.

— Zobacz, autka jadą — powiedziała cicho, ale Bartka to nie obchodziło. Znowu zapadł w ciężki sen. Jego główka opadła do tyłu, na ramię matki.

Sabina zerknęła w dół. Ruch samochodowy na moment zamarł. Na kładce było pusto. Ktoś biegł chodnikiem w stronę przystanku. Rozluźniła uchwyt. Bartek siedział sam. Odsunęła się od niego. Być może delikatnie pchnęła śpiące dziecko? Samo się zachwiało?

Poleciało. Tak po prostu. Kombinezon lekko się wydał. Plasnęło o asfalt. Niegłośno. Bez krzyku. Sabina wychyliła się. Bartek leżał na jezdni, płaski niczym rozjechana żaba. Spod pasiastej czapki wyciekała krew. Ciemna mieszała się ze stojącą w koleinie wodą.

Spod wiaty przystanku wychylili się ludzie. Podnieśli twarze do góry. Zobaczyli ją. Potem martwe dziecko. Coś zakrzyczeli, zamachali rękami. Ktoś wpadł na ulicę. Podbiegł do Bartka. Zaszlochał. Zwymiotował na własne buty. Sabina ruszyła do domu.

JANUSZ. Obiadu nie będzie

Janusz odebrał telefon po siódmym dzwonku. Właśnie przygotowywał miesięczne zestawienie kosztów dla szefa. Nie chciał się rozpraszać. Ale telefon dzwonił uparcie. Mężczyzna w końcu podniósł słuchawkę. Wypadła mu. Przeklął pod nosem. Ponownie podniósł.

— Słucham — rzucił dobrze wyćwiczonym tonem, sugerującym zajętość, doprawioną poczuciem władzy.

— Janusz, to ja — odezwała się Sabina.

— Czego chcesz?

— Janusz, przyjedź do domu.

— Coś się stało? — mężczyzna się zaniepokoił. Ton Sabiny był dziwnie

rozpaczliwy. Brzmiała jak zgubiona w lesie dziewczynka. Bez zapalek. Janusz zaczął rozglądać się za swoimi rzeczami. Saszetką, kurtką.

— Nic się nie stało — wydukała po dłuższym milczeniu żona. — Ale przyjeźdź.

— Sabina, powiedz coś! O co chodzi?

— Przyjeźdź.

Sygnał zakończenia połączenia. Janusz wybiegł z pracy, prosząc kolegę z sąsiedniego pokoju, aby jakoś wyjaśnił wszystko szefowi.

— Idź, ja się wszystkim zajmę — obiecał Waldek.

Pognał na przystanek. Szlag! Autobus dopiero za czterdzieści pięć minut! W środku dnia jeżdżą co godzinę. Ścierwa leniwe, to całe MZK! Piechotą będzie szybciej! Puścił się biegiem w kierunku „Tysiąclecia”.

Zdyszany po półgodzinnym biegu wpadł na Okólną. Przed oczami przepływały mu świetliste plamy. W głowie łomotało. Prawie nie mógł złapać oddechu. Serce wykonywało dzikie salta. Przed blokiem stała policyjna suka. Migwały granatowo-czerwone światła. Wokół furgonetki kręcili się funkcjonariusze. Sztwywni i groźni. Dwóch z nich pakowało kogoś do tyłu wozu. Sabina! Skuta i pochylona! To jej płaszcz, taki zmechacony!

— Sabina! — krzyknął Janusz. Skoczył w kierunku pojazdu. Policjanci wystąpili naprzód i zagrodzili mu drogę. Ich ręce powędrowały do wiszących u boków pałek.

— Kim pan jest? — zapytali ostro. Janusz zatrzymał się, skulił niczym zbesztany pies.

— Mężem! Sabina! Sabina! — powtarzał.

— Przykro mi, nie może pan z nią porozmawiać. Jest aresztowana.

— Ale dlaczego?

— Najpierw prokurator musi wyrazić zgodę na rozmowę. Nie wiadomo,

czy nie było zmowy. Nie możecie rozmawiać.

— Ale jakiej zmowy? Czemu ją zabieracie?

— Zabójstwo. Syna. Zrzuciła go z kładki nad Grunwaldzką.

Janusz milczał. Jakby miał już milczeć na zawsze.

— Dziecko zabiła. Mamy świadków. Dzwonili do nas. Potem ona zadzwoniła. Podała adres. Przyznała się — policjant złagodniał.

— Kiedy będę mógł z nią porozmawiać?

— Nie wiem. Proszę czekać — polecił oficer i wsiadł do suki. — Chłopca zabrała Concordia — dodał. — Wie pan, pogrzebowi — zasalutował i zamknął drzwi.

Janusz powlókł się na górę. Nie był w stanie dyskutować. Dochodzić prawdy. Wyklócać się. Działać. Musiał pomyśleć. Co dalej? Co z Hanką? W ustach czuł suchość, jakby nałykał się piasku. Kuchnia. Na stole stała butelka wody. Sięgnął po nią. Pił łąpczywie. Jego wzrok spoczął na zlewie. Wewnątrz stało sitko pełne poszatowanej kapusty. Zalanej krwią.

Janusz zakrztusił się. Butelka wypadła mu z dłoni. Co ta Sabina robiła? Kapuśniak? Na stypę po Bartku? Zacięła się pewnie do kości! Usłyszał trzaśnięcie drzwiami. Hanka. Przetarł twarz dłonią. „Spokój” rozkazał sobie w duchu. Hanka stanęła w progu.

— Tato, co się stało? Czemu jesteś w domu? Gdzie mama? — zapytała wyraźnie zdenerwowana.

— Mamy nie ma.

— A dokąd poszła? Kiedy wróci? — Hanka nie chciała ustąpić. Przyglądała mu się badawczo. Mężczyzna spuścił wzrok. Pomyślał, że najwyraźniej nawet złej matki może dziecku brakować. Westchnął.

— Nie wróci.

— Czemu?

— Kochanie... Był wypadek. Bartek nie żyje. Mamę zabrała policja. — Janusz nawet nie patrzył na córkę. Nie zniósłby.

— Ale...

— Haniu, muszę wyjść. Jechać na policję. Potem będzie proces. Wszystko się wyjaśni. Ale mama na razie nie wróci. — Minął Hanke i poszedł do przedpokoju. Ona za nim.

— Kiedy ty wrócisz? — zapytała. Nie chciał słyszeć tego pytania.

— Nie wiem — odpowiedział. — Czekać w domu. Powiem mamie Agaty, żeby do ciebie zajrzała — obiecał i uciekł.

SABINA. Zamknięcie

Pięć lat więzienia. Taki zapadł wyrok. Sabina go nie kwestionowała. Nie symulowała niepoczytalności ani innych psychicznych odpałów. Nie próbowała wyjaśniać motywów. Nie rzucała głupa. Przecież to zrobiła. Bartek. Kłódka. Wszystko jasne. Winna? Jak najbardziej.

Powieziono ją policyjnym bussem do zakładu karnego w Lublińcu. W tym samym mieście znajdował się szpital dla psychicznych. Zamknięty. Poważny. Z wysokim ogrodzeniem. „Pewnie sądzą, że w końcu tam trafię” pomyślała Sabina. Zagapiła się na mijane pola.

— Jeszcze trochę i będziemy — odezwała się towarzysząca jej funkcjonariuszka. Była młoda i rumiana. Ciasno zaplecione warkocze objęły się o jej ramiona przy każdym podskoku furgonetki.

— Aha. — Sabina zerknęła na nią i spuściła głowę. Szkoda słów.

— Proszę pani, ja wiem, co pani zrobiła — nie dawała za wygraną dziewczucha. — I ja pani nie potępiam. — „Świetnie, a teraz się zamknij” pomyślała Sabina i ścisnęła palcami nos. — Proszę pani, ja się nie zgadzam z wyrokiem. Ale niech tego pani nie powtarza — dziewczyna zaczerwieniła się i zaczęła przypominać bajkową Pyzę.

— Aha.

— Wie pani, ja się zajmuję badaniami, psychologicznymi. Piszę pracę podyplomową. Dotyczącą — zawahała się — dzieciobójstwa. — Sabina oparła głowę o ścianę pojazdu i zaczęła wpatrywać się w rozmówczynię. — Motywy nie zawsze są takie, jak się wydaje. Moim zdaniem powinna pani trafić do zakładu psychiatrycznego. Ale proszę się nie martwić, w Lublińcu jest oddział psychiatryczny, w samym więzieniu. Bardzo dobry. I szpital, osobno, poza zakładem. Też renomowany.

— Cieszę się. — Sabina nie wiedziała, co mogłaby odpowiedzieć. „Chętnie skorzystam?”

— Mam jedną radę — ciągnęła Pyza. — W Polsce karę za dzieciobójstwo w więzieniu odsiaduje tylko kilka kobiet. Reszta w zakładach. Szpitalach psychiatrycznych.

— Tak?

— Niech pani się nie przyznaje, za co panią skazano. Bo panią koleżanki spod celi wykończą. Mówię poważnie! — strażniczka spojrzała, trochę surowo, trochę z żalem, i zakończyła rozmowę.

Zakład karny przypominał z zewnątrz luksusowy hotel, dla komfortu gości otoczony solidnym murem. Sabina widywała zdjęcia takich ośrodków w katalogach biur podróży. Na Dominikanie czy w Egipcie wszystko było ogrodzone. Białe i kanciaste. Zupełnie jak tutaj.

Otworzyła się metalowa brama. Samochód powoli wtoczył się na więzienny dziedziniec i stanął. Sabina wyjrzała przez okno. „Nie ma mowy, żaden hotel” uśmiechnęła się do siebie i wysiadła. Pyza beznamyślnie przekazała ją funkcjonariuszce więzienia. Na odchodnym nawet na Sabinę nie spojrzała. Nie pożegnała się. Służbistka. Majtnęła warkoczami i tyle ją widzieli.

— Proszę za mną! — rozkazała Sabinie strażniczka i ruszyła do drzwi.

Powędrowały wąskim korytarzem. Kobieta w mundurze nawet się za siebie nie oglądała. Była znacznie starsza niż ta z furgonetki, ważyła dobre dwadzieścia kilo za dużo i wyglądała na kawał twardej suki. Sabina przyspieszyła kroku, aby jej nie podpaść. Jeszcze zarobi tą szarą pałą przez łeb. Albo będzie karcer. Widziała takie w filmach. W końcu dotarły do „izby przyjęć” — jak to określiła strażniczka.

— Proszę siadać — rzuciła i opadła na plastikowe krzesło, które jęknęło pod jej ciężarem. Wyciągnęła przed siebie nogi. Spodnie podjechały do góry. Sabina zobaczyła wżęte w ciało gumki podkolanówek kobiety. Po chwili pojawiła się inna strażniczka.

— Administracja! — przestawiła się. — Proszę odpowiadać, ja piszę! — porwała z metalowego koszyka długopis.

Rzucała kolejne pytania i wściekle notowała odpowiedzi. Wiek. Waga. Nazwisko. Imię. Choroby. Uczulenia. Długopis wypisał się w połowie formularza. Kobieta krótkim ruchem odrzuciła go na bok, capnęła ołówek i kontynuowała przesłuchanie. Skończywszy, uśmiechnęła się półgębkiem.

— Rozbieramy się za parawanem, rzeczy do tego kosza — wyjęła z szafki kosz. — Ubieramy się w mundurek i cichobiegi. — Wyjęła z szafki więzienny uniform i tenisówki. — Bieliznę można zostawić, gumkę do włosów też, reszta trafia do mnie.

Sabina weszła za przepierzenie. Zdjęła buty. Potem rajstopy. Tę jedną część garderoby miała nową. Dostała rajtuzy w areszcie. Pozostałe ciuchy były tymi samymi, które miała na sobie wtedy. Na kładce. Spódnica w szkocką kratę. Rozwleczony półgolf. Płaszcz. Czółenka. Powędrowały do skrzynki. Może za pięć lat, jak wyjdzie, będą jeszcze na nią pasować?

Usiadła na metalowym stołku, tak zimnym, że dostała gęsiej skórki. Wciągnęła dół szarego dresu z jakiegoś sztywnego płótna. Potem górę. Tenisówki na gołe stopy. Była gotowa.

— Kosmetyczka! — administratorka wręczyła Sabinie w zamian za jej ubrania małą torebkę z mydłem, szczoteczką i pastą.

— To wszystko?

— Wszystko. Zapraszam złotko za pięć lat! — zaśmiała się przyjmująca Sabinę do więzienia kobieta, a wraz z nią gruba strażniczka.

Trzasnęła krata. Administratorka zamknęła metalowe drzwi. Sabina znalazła się w prowadzącym na oddział korytarzu. Już z oddali słychać było głosy osadzonych. Jazgot jak na kurzej fermie. Sabina żałowała, że nie jest głucha. Każdy krok przybliżał ją do piszczącej masy. Szła coraz wolniej, aż w końcu strażniczka odwróciła się i ponagliła ją gestem.

— Chodźże, głupia — mruknęła i zakołysała biodrami.

Wkroczyły w przejście pomiędzy celami. Zza krat wyglądały na nieciekawskie więźniarki. Ich twarze wciskały się pomiędzy pręty.

— Nowa, nowa! — wołały. Niektóre przeklinały i gwizdały. W stronę Sabiny od czasu do czasu wyciągały się czyjeś ręce. Ciągnęły za dres, za włosy. Strażniczka odpychała je pałką. Dotarły do celi.

— Wchodź — zakomenderowała grubaska i wepchnęła Sabinę do środka. Tak mocno, że kobieta aż zatoczyła się na ścianę.

— Ej, Ewa, okres masz, czy co? — rzuciła funkcjonariuszce siedząca na dolnej pryczy więźniarka. Jej postać schowana była pod górnym łóżkiem niczym w norze. — Daj na luz, dziewczyna dopiero co się zameldowała. — Gruba Ewa prychnęła i rąbnęła z całej siły drzwiami.

— Nie pyskuj, Ilona, bo cię przeniosę do kurew! — syknęła. Szczęknięt klucz. Odeszła.

— Hej! — Koleżanka z celi wychyliła się spod łóżka. Miała rzadkie, mysie włosy, uczesane w coś na kształt koka. Brakowało jej z przodu dwóch zębów. Uśmiechała się jednak tak, jakby dopiero co opuściła prestiżowy gabinet dentystyczny, wyposażona w komplet lśniących licówek. — Ilona

jestem! — Kobieta wyciągnęła przed siebie pomarszczoną dłoń.

— Sabina — odpowiedziała, przytulając do siebie kurczowo kosmetyczkę.

— No, weźże się przywitaj! — Ilona nadal wyciągała rękę. — Nie upieprzę cię!

Sabina ostrożnie odłożyła kosmetyki. Podała dłoń z obawą, jakby miała dotknąć grzechotnika. Ilona uścisnęła ją serdecznie.

— Witaj w moim domku! — zarechotała. Sabina w końcu się uśmiechnęła. — Ty śpisz na górze, ja na dole. — Ilona klepnęła odpowiednie materace. — Pozwól, że cię oprowadzę. Tu masz umywalkę, sedes. Pytania?

— Nie.

— Za co siedzisz?

Sabina nie odpowiedziała.

— Za zabójstwo? — zgađła Ilona.

— Aha.

— Tego się wszystkie wstydzą. Że zabiły. Ale nie martw się, nie ty jedna. Stary?

Sabina znowu milczała.

— Ja też męża zaciukałam. — Ilona najwyraźniej założyła, że milczenie Sabiny oznacza potwierdzenie. — Sukinkot był z niego, ale to długa historia. — Nowa znajoma zapaliła papierosa i wróciła na pryczę.

Sabina szybko przywykła do więziennej rutyny. Życia według ścisłego harmonogramu. Pobudka, śniadanie, praca, obiad, spacer, kolacja, czasem kąpiel, spanie. Uznała, że jakoś przetrwa. Pięć lat przeleci jak pędzący pociąg. Każdy dzień taki sam, niczym rozmazujące się przed oczami okna wagonów. Wyjdzie. Wróci. Jakoś wszystko się ułoży, wyjaśni. Czasu nie cofnie. Ale może odpokutuje przez te pięć lat. Miała nadzieję.

W ciągu kilku miesięcy poznała historie prawie wszystkich dziewczyn z sąsiednich cel. Same morderczynie. Ich ofiarami byli przeważnie mężowie. Przykładowo mąż Ilony. Pijak jakich mało. Lał ją okrutnie. Sprzedawał za wódkę. Kompani, chociaż zawiani, byli sprawni. Trzymali ją i gwałcili. Bywało, że wymiotowali wprost na nią, skończywszy swoje. Za pół litra dla Tadek. Tadek patrzył zniecierpliwiony.

— Kończcie, bo pić się chce — ponaglał.

Nie wytrzymała. Zabiła skurwiela. Tłuczkiem do mięsa. Jeden celny cios. Pamięta odgłos łamiących się kości czaszki. Jak odgłos pękającego balonu. Zabiła skurwiela. Za siebie. Za dzieci, które trzymała podczas libacji pod kluczem w kuchni, żeby ich też nie pogwałcili, zwyrodnialce.

— Żałujesz? — pytała Sabina.

— Nie — Ilona zaciągała się, mrużąc oczy. — Zabiłabym go jeszcze raz. Ale dzieci mi żal. Trafiły do bidula. Tęsknię za nimi. Jeszcze dwa lata i staram się o warunek. Bo dzieci mi, kurwa, brak. — Ilona zaczęła płakać.

Sabina też zaczęła tęsknić za Hanką. Nie potrafiła powiedzieć, czego jej brakowało. Po prostu, dziecka. Napisała kilka listów. Do Hanki. Do Janusza. Wszystkie wróciły. Nie chcieli jej znać. Kiedy wyjdzie, pójdzie do nich. Pogada. Nie poddawała się rozpaczy.

Minął rok. Sabina zmieniła fryzurę. Ogoliła połowę głowy, a włosy zaczesywała raz na jedną, raz na drugą stronę albo zbierała w nieporządny kok. Pracowała. Sporo czytała, czego wcześniej nigdy nie robiła. Nauczyła się grać w karty. Paliła papierosy bez filtra. Na pytania, za co została skazana, odpowiadała wymijająco. Więźniarki nie nalegały. Bo po co rozdrapywać?

Pewnego dnia doszło do awantury. Nie pierwszej, nie ostatniej. Kobiety akurat ustawiały się, aby wyjść na spacer, gdy Jagoda rzuciła się na starą

Wieśkę i zaczęła ją bezlitośnie okładać. Sabina stała najbliżej. Chwyła Jagodę za ręce i mocno wykręciła je do tyłu.

— Zostaw ją — syknęła i starała się obrócić tak, aby niczego nie zauważyła Ewa, która akurat miała służbę.

— Stara pizda, zabrała mi papierosy! — zawyła Jagoda.

— Ty zdziro! — Sabina złapała ją mocniej i próbowała zatuszować szarpaninę. — Zamknij ryj, potem pogadamy. — Ale Ewa już zmierzała w ich stronę. Nie pytała, kto zaczął. Wymierzyła pałkę w Sabinę.

— Ty! Puszczaj ją!

— Okej, okej — Sabina uniosła ręce do góry w geście poddania się.

— Za mną, do celi, za karę nie idziesz na spacer.

— Ale nie ja zaczęłam! — Sabina bardzo chciała wyjść. Poza tym do dobrego tonu należało dyskusowanie z personelem zakładu.

— Dziecko też nie ty zabiłaś, co?! — huknęła Ewa.

Oddział zamarł. Wszystkie oczy zwróciły się na Sabinę. Wszystkie bezwzględne oczy. Po powrocie ze spacerniaka Ilona nie zauważała Sabiny.

— Coś tu śmierdzi, jakby gówno — powiedziała tylko i poszła spać. Następnego ranka podczas śniadania Sabina siedziała sama. Koleżanki omijały ją i spluwały.

— Czekaj, jeszcze cię załatwimy — groziły szeptem. — Przy pierwszej okazji dostaniesz wpierdol, że popamiętasz.

Nie musiały długo czekać. Do najbliższego spaceru. Wykorzystały nieuwagę straży. Otoczyły Sabinę kołem. Dwie z nich chwyciły ją za ramiona. Przyparły do muru. Ilona wyciągnęła z niego luźną cegłę. Sabina o niej wiedziała. Cegłówka była przygotowana wcześniej na takie właśnie wypadki.

— Tu szmato! — mruknęła Ilona. Sepleniała z braku jedynek. Sabinie

wydało się to zabawne. Ilona uniosła dłoń. Machnęła, mocno, aż stęknęła. Cegła spadła na głowę Sabiny. Puknęło. Faktycznie, zupełnie jak pękający balon. Zachrząściło. Krew. Sabina straciła przytomność. Przewieziono ją do więziennego szpitala. Nieprzytomną. Zalaną do pasa własną krwią. Drżały jej stopy. Lekarze zajęli się więźniarką z ociąganiem. Przysięgali, więc ratowali. Bez entuzjazmu. Prześwietlili rozwalony łeb.

— Obrzęk mózgu na skutek uderzenia, kości całe, śpiączka. — Brzmiała diagnoza.

Co do rokowań nie wypowiedział się nikt. Pacjentkę umieszczono na oddziale intensywnej opieki. Na wszelki wypadek ogolono ją na zapałkę. Gdyby trzeba było otwierać czaszkę. Do czego nikt się nie palił.

Sabina obudziła się dwa tygodnie później. Gdy tylko otworzyła oczy, zaczęła się śmiać. Doskonale wiedziała, gdzie jest! A w każdym filmie pokazują, że pacjent nie ma pojęcia, dokąd go zabrano! Chichotała tak głośno, że z dyżurki przybiegły lastrykowanym korytarzem dwie pielęgniarki.

— Co się dzieje? Co się dzieje? — pytały na wyprzódki.

— Nic. — Sabina dostała czkawki.

— Czemu się pani śmieje?

— Bo wiem, gdzie jestem.

Siostry pokręciły się przez chwilę przy maszynach monitorujących stan pacjentki. Spojrzały po sobie znacząco. Mrugnęły.

— Idziemy po doktora — oświadczyły. — W drzwiach ta wyższa szepnęła do niższej, że Sabina ma „kuku na muniu”.

— Słyszałam! — wrzasnęła pacjentka i śmiała się dalej.

W szpitalu spędziła przeszło dziewięć miesięcy. Wskutek uderzenia miała problemy ze wzrokiem. Chodziło o światło. Światło oznaczało przeszywający ból głowy. Jedna z leżących z nią babć zaoferowała Sabinie plastikowe

czerwone okulary z Kaczorem Donaldem. Skąd babcia w więzieniu? Zabiła swojego kota czy papugę? Ale była tam. Dziwne. I podawała Sabinie przezroczyste pudełeczko.

— Od wnuczki, niech pani weźmie. — Staruszka potrząsnęła trzymanym przedmiotem. Sabina miała problem, żeby po niego sięgnąć. Nie szło jej z odległością. Albo zaciskała dłonie w powietrzu, albo za przedmiotem. Potrącała szklanki. Uderzała łyżką w stół, zamiast wkładać ją do zupy.

— Kurwa — przeklinała niewyraźnie. Słyszała, że bełkocze. Coś stało się z jej ustami i policzkami. Po lewej stronie. Były oporne. Skoncentrowała się. Musi mieć okulary! To słońce! Moje oczy! Wyciągnęła rękę. Macała. Schwyciła. Gdy tylko nasadziła okulary na nos, poczuła ulgę.

— Może się pani starać o zwolnienie warunkowe — powiedział Sabinie lekarz podczas jednej z wizyt. Nie patrzył jej w oczy.

— Jak? — zapytała Sabina.

— Proszę zapytać naszego radcy, dyżuruje we wtorki i czwartki od szesnastej do osiemnastej. Nic trudnego. W pani stanie... Powinna pani stąd wyjść. Tu nikt pani nie pomoże.

Sabina spotkała się z prawnikiem. Młodym idealistą. Poruszyła go jej historia. Młodziak! Nie potępiął.

— Każdemu należy się druga szansa! — oznajmił z uczuciem.

Napisał dla niej kilka pism. Powysyłał, gdzie trzeba. Podzwonił. Załatwił rozprawę. Był dobrej myśli.

— Mamy spore szanse, proszę mi wierzyć! — cieszył się. Młodziak. Oni zawsze cieszą się przedwcześnie.

Gdy tylko Sabina zobaczyła sędziego, wiedziała, że będą kłopoty. Mężczyzna wszedł na salę, tupiąc zaciekle. Huknął teczką o blat i usiadł na krześle niczym na tronie. Potoczył wokół złym wzrokiem.

— Sabina Borowska! — krzyknął.

— Dzień dobry — odpowiedziała Sabina.

— Akta! — rozkazał asystentce.

Ubrana w tani garnitur blondynka zbliżyła się do sędziego, jakby skradając się, i podała mu grubą teczkę. Mężczyzna położył ją przed sobą, chrząknął i powiódł wzrokiem po sali, zatrzymując spojrzenie na Sabinie. Zmrużył oczy. Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, odezwał się adwokat.

— Wysoki sędzie — zaczął. — Wnioskujemy o warunkowe zwolnienie z powodu stanu zdrowia osadzonej...

— Wiem! — Sędzia obcesowo przerwał adwokatowi. Sabinie zrobiło się żal młodzika. Taki miły, a obrywa. W jej sprawie.

— Osadzonej potrzebna jest fachowa pomoc lekarska...

— Cisza! — ryknął sędzia. — Nie będzie pomocy! Najpierw dziecko zrzuca z mostu, a potem nagle chora? Już ja was znam! Wszystkie! Co do jednej! Symulantki!

— Ale są dokumenty ze szpitala...

— Ja nie jestem lekarzem, żeby to czytać! Nie udzielam zwolnienia! Coraz was więcej, matek od siedmiu boleści! Rodzą, a potem porzucają. Mordują. Trzeba was karać! Surowo! Wybić innym z głowy, że to tak łatwo jest. Zabić dzieciaka, a potem wyjść, bo paluszek! Bo główka boli! Wynocha! — Sędzia wstał i wskazał Sabinie drzwi.

JANUSZ. Znikaj z mojego życia

Po zniknięciu Sabiny, nagłym jak pryśnięcie mydlanej bańki, Hanka bardzo płakała. Leżała na kanapie z głową okrytą kocem i płakała. Gdyby wyła, łatwiej byłoby ją przywołać do porządku. „Przestań wyć!”. „Cicho!”. Wystarczyłoby. Janusz nie potrafił jednak przerwać tej nieinwazyjnej rozpacz, cichego cierpienia pod kraciastym przykryciem. Kupił Hance nowego konika. Gumowego, w kolorze wściekłego błękitu, zachodniej

produkcji. „Made in England”.

— Grzywę można czesać! — zachęcała go sprzedawczyni.

Córka prawie nie zwróciła uwagi na prezent. Rozpakowała go. Pogładziła zwierzątko. Zacisnęła na nim dłoń. Wróciła na kanapę, by płakać w towarzystwie nowego pony, któremu nadała imię Ogórek. Stara Ramowa, przychodząca od czasu do czasu, aby zająć się dziewczynką, kręciła głową.

— Tyle cierpienia za malucha, to tylko źle wróży — mówiła. — Dziecko powinno być radosne. A tu tyle płaczu. Niedobrze, niedobrze.

Próbowała pocieszać Hankę kopytkami z cukrową posypką. Pieczonym jabłuszkiem. Budyniem.

Janusz zaś zajął się przygotowaniami do pogrzebu Bartka. Postanowił, że stypy nie będzie. Nie wywieszał klepsydr. Nie dzwonił po znajomych. Zamówił księdza. Wykupił miejsce na cmentarzu. Zorganizował spotkanie w zakładzie pogrzebowym, aby wszystko uzgodnić. „Omówić uroczystość”. Zgrabny eufemizm.

— Jaki jest wzrost dziecka? — zapytała siedząca za biurkiem kobieta. Ubrana na czarno i nobliwie uczesana. W klapę marynarki wpięła znaczek Concordia. Blade policzki pomalowała trochę zbyt mocno różem. W efekcie przypominała lalkę. Smutną lalkę. Pani było przykro. Ale taką miała pracę.

— Wzrost? — Janusz się zamyślił. — Około osiemdziesięciu centymetrów — odpowiedział. Zgadywał.

— Kolor? Okucia? — Pani pokazała próbnik tak nagle, że Janusz zbaraniał. W grubej księdze dostrzegł wzory kolorów drewna i metalowych okuć.

— No to co pana interesuje? — ponagliła kobieta.

„Co to, kurwa, za różnica?!” miał ochotę krzyknąć Janusz. „Co za kurewska różnica?!”

— Dąb — odpowiedział.

— Okucia?

— Najprostsze.

— Nagrobek?

Wybrali z katalogu. Niewielki. Janusza nie było stać na pomnik. Obejrzał klęczące anioły. „Bardzo odpowiednie dla dziecka” — twierdziła pani. Nie. Za drogo. Skończył na kwadratowym postumencie z inskrypcją.

— Zdjęcie? — Pani wyjęła spod biurka kolejny katalog. — Na wypalonych przez nas fotografiach na ceramice gwarantujemy piękny połysk szklista, czystą biel porcelany oraz wieloletnią trwałość obrazu i koloru w każdych warunkach pogodowych — zacytowała fragment sloganu.

Janusz nie chciał. Nie chciał patrzeć na Bartka odbitego na wypukłej porcelanie. Starzy ludzie wyglądają szacownie na takich fotografiach. Ale dziecko? Czy ta baba oszalała? Jak by wyglądały te niewinne oczy, o wyrazie szczęśliwego głuptasa, na tej zasranej ceramice?

— Nie, bez zdjęcia.

— Może w kolorze? Byłoby ładnie...

— Nie.

— Napis? Na nagrobek? — pani nie odpuszczała. Janusz cierpliwie brnął. Do końca. „Kiedy to się skończy”?

Na cmentarzu był sam. Jak na zamówienie padał lodowaty deszcz. Wytrwale, małymi kroplami. Wiał porywisty wiatr. Tak. Tak właśnie powinno być w dniu pogrzebu dziecka. Sam pomodlił się z księdzem w kaplicy. Poszli. Dwuosobowy kondukt. Więcej było grabarzy niż żałobników. Dziura w ziemi niewielka. Raz, dwa zasypali. Wbili krzyż.

— Niech ci będzie dobrze w niebie. — Ksiądz zaczął oficjalnie. Uniósł rękę do znaku krzyża. Zamarł. Nagle zapłakał. Z głębi trzewi. Taki potworny, męski szloch. Straszny u kapłana, który powinien wierzyć w wieczne życie. Ksiądz upadł na kolana w błoto. Modlił się żarliwie.

— Weź, panie, tę duszyczkę do siebie, bo spokoju nie zaznała na tym padole!

Wiatr targał stułę. Cisnął jej końce w błocko. Heretyk. Janusz stał przygarbiony. Czekał. Na Sabinę. We dwoje łatwiej byłoby to znieść. Gdyby wyjaśniła cokolwiek. Łatwiej byłoby to wytrzymać. „To był wypadek” — wystarczyłoby. Nie przyszła.

Janusz pomógł wiekowemu księdzu wstać. Wstąpił na plebanię. Na słodką herbatę. Kapłan płakał i płakał. Janusz nalał mu koniaku. Potem wyszedł. Wpadł do mieszkania.

— Dzień dobry — rzucił Ramowej i wparował do sypialni. Po chwili wynurzył się przebrany z czarnego garnituru w zwykłe spodnie dresowe i starą koszulę. Sąsiadka pożegnała się pospiesznie. Wyszła, tupiąc na schodach.

— Tato? — Hanka nie zauważyła tego, co zauważyła Ramowa. — Co się dzieje? — zapytała.

— Nic, będę sprzątać.

Wywlókł z bielizniarki poszwy na kołdry. Duże, nadadzą się. Worków na śmieci nie miał. Otworzył szarpnięciem szafkę na buty. Są! Jej sandały, kapcie, kozaki. Won! Jak obłąkany zaczął napełniać poszwy. Wtykał do nich buty, płaszcze, chusty, szaliki, bieliznę, kosmetyki, biżuterię. Jak popadnie! Won! Won! Hanka uderzyła w płacz.

— Nie, zostaw to, to mamy! — wyła. Szarpała worki. Próbowwała wygrzebywać ich zawartość.

— Nie! — ryknął Janusz. — Przestań! — Hanka zamarła. — Wyrzucam wszystko. Zostaw. Nie przeszkadzaj. Matka nie wróci. Pogódź się z tym. Teraz jestem ja. Jej nie ma. Przestań wyć! Jak nie chcesz mi pomóc, to przynajmniej mi nie dokuczaj!

Hanka patrzyła na niego wielkimi oczami. Odwrócił się i zaczął

wygrzebywać z misy jakieś Sabinowe bransoletki i koraliki. Zaśniedziało rupiecie. Nie mógł patrzeć na dziecko. Nie potrafił odpowiedzieć na nieme pytanie „Dlaczego?”. Grzebał w misce, dzwoniąc pojedynczymi guzikami i kluczami, których przeznaczenia nikt nie pamiętał. Po chwili Hanka przyłączyła się do niego.

Worki zawłókł do cuchnącego śmietnika. Ciągnął je po ziemi, ciężkie i pękate. Jeden kraciasty, drugi w kwiaty, trzeci w paski. Czwarty i piąty. Dużo Sabiny. Rzucił je obok kontenera, z którego wylewał się potok obierków i odpadków. Śmieciarze je zabiorą, jutro powinni przyjechać i zabrać te wszystkie... Wszystkie... Ten syf. Odpadki!

Janusz oparł się o ścianę pojemnika. Przyłożył do niej czoło. Nie zwracał uwagi na smród rozkładających się resztek. Powoli osunął się na chłodny asfalt. Usiadł w kałuży zgniłej wody. Siedział tak, aż zapaliły się latarnie.

Później Januszowi zrobiło się głupio. Po co tak krzyczał na Hankę? Przesadził. Córka unikała jego towarzystwa. Wiecznie przesiadywała u Agaty, a gdy już wróciła do domu, zamykała się w swoim pokoju.

— Haneczko, co zjesz na kolację? — pytał przez zamknięte drzwi. Milczenie. — Haneczko, może skoczmy do parku na lody? Kręczone. Podobno dzisiaj mają poziomkowe! — Cisza.

Postanowił wyremontować jej pokój. Hanka tylko wzruszyła ramionami. Ale i tak wziął wolne. Zaraz po szóstej rano zaczął wywlekać meble przed blok. Wszystkie poza tapczanem. W ciągu kwadransa zniknęły, wywiezione przez pomarszczonych śmietnikowych nurków.

Pojechał do budowlanego. Kupił farbę. Różową. Pędzle, szpachle, folie, takie tam. Kawałek fajnej tapety w motyle. Przeceniony skrawek. Pojechał do komisju. Mieli tani zestaw mebli dla dziewczynki. Zużyty, miejscami odrapany, ale różowy. Nada się.

Malował zamknięty w pokoju Hanka niemalże przez tydzień. Nie

wpuszczał jej do środka. Chciała podejrzeć, co ojciec szykuje. Udawała, że jej to nie obchodzi. Janusz gwizdał pod nosem. Gdy skończył, był dumny z efektu. Zaprosił Hankę. Początkowo stała i tępo się gapiła. A potem rzuciła mu się w ramiona. W końcu coś zrobił dobrze.

Po pokoju córki przyszła kolej na sypialnię. Janusz wywalił stare łoże małżeńskie. Zastąpił je ekstapczanem Hanki. Zdjął stare zasłony i firany. Upchnął je na dnie szafy. Powiesił żaluzje, które dostał od kolegi z pracy.

— Nie potrzebuję, bo robię rolety, ale tobie mogą się przydać — powiedział Tadek.

Faktycznie, do nowej sypialni pasowały świetnie. Na resztę mieszkania nie starczyło pieniędzy. Kuchnia, salon, przedpokój, łazienka. Zostały takie, jak za Sabiny. Janusz żałował. Chciałby się stąd wynieść w cholerę. Odjechać daleko od zasranego „Tysiąclecia”, od sąsiadów patrzących na niego z politowaniem. Od podszytego wścibstwem współczucia. Tylko za co? Za co miałyby to zrobić?

Pieprzone pieniądze. Z ich powodu musiał pozostać mężem Sabiny. Krwiopijcy prawnicy. Pewnie wzięliby parę stówek za napisanie pozwu. Potem więcej, za wywalczenie mieszkania. Koszty, koszty, koszty. Wolność kosztuje. Ech, życie...

HANKA. Pólsierota

Sabina zniknęła z życia Hanki tak po prostu, nagle, bez wyjaśnień, bez słowa. Do dziewczynki docierały niespójne fragmenty informacji, niepasujące puzzle. Sabina zabiła Bartka? Nie zabiła? Wypadek czy celowe działanie? W sumie Hance było to obojętne. Sabiny nie było. Nie było Sabiny!

Ojciec nawet jej nie powiedział, dokąd ją zabrano! Pojechałaby wtedy autobusem w odwiedzin. Miała prawie dziewięć lat! Potrafiła sama kupić

bilet, znaleźć odpowiednią linię, wsiąść. Skasować ulgowy, dojechać do celu. „Koniec języka za przewodnika”. Tak uczyła mama. Hanka znalazłaby ją. Zapytałaby. Jakoś by Sabinę wydobyła z zamknięcia.

Ale Janusz albo milczał, albo się złościł. Nie krzykliwie. Po prostu obrażał się na długie godziny. Hanka przestała więc pytać, gdzie jest mama. Tęskniła w ciszy, nie przyznając się nikomu, nawet Agacie.

— Z tej twojej mamy to niezłe ziółko — powiedziała kiedyś przyjaciółka. Hanka zrozumiała. Na osiedlu tak się właśnie o Sabinie mówi. Lepiej nie wspominać, jak bardzo jej brakuje mamy. Całe „Tysiąclecie” wiedziało, co się stało. Za powierzchownym współczuciem kryła się satysfakcja. „Dobrze jej tak!” myśleli ludzie o Sabinie, udając zatroskanych losem Hanki. Hanka to widziała. Nie była głupim dzidziusiem!

Po Sabinie została w mieszkaniu jakaś dziura. Janusz wyrzucił wszystkie jej ubrania. Zniknął zapach podrabianych perfum. Klapki o startych po wewnętrznej stronie podeszwach. Lokówki i kremy. Janusz wywalił nawet ulubiony chodnik Sabiny. Po co? Czemu? Bez niego było tak przeraźliwie głucho.

Sabina nie była wcale taka zła. Nie zasłużyła na pogrzeb za życia. Ale ojciec się uparł. Wszystko usuwał. Nawet fotografie. Z tego wszystkiego Hanka nie miała czasu rozmyślać o Bartku.

— Nie możesz iść na pogrzeb — powiedział Janusz i Hanka nie poszła. Trochę nie wierzyła, że Bartek nie żyje, chociaż rzeczy brata również zniknęły. Nawet nie wiedziała kiedy.

W pustym mieszkaniu Hanka nasłuchiwała. Kroków podobnych do kroków mamy. Kroków na schodach. Stuk, stuk. Czy to Sabina? Hanka biegła do drzwi. Otwierała je ostrożnie, żeby nie psuć sobie niespodzianki. Nie. To nie ona. To nie mama. Nie mama wraca z Bartkiem ze spaceru. To tylko Ramowa.

— Dzień dobry, Haneczko — mówiła sąsiadka, widząc dziewczynkę w drzwiach. Częstowała czekoladą czy krówką. Stawały Hance w gardle.

Pewnego razu kruk zabrał Hankę na wycieczkę. Wylądowali w parku. Trwał festyn z okazji Dnia Dziecka. Nad tłumem ludzi unosiły się pęki balonów. Syczały saturatory. Czuć było woń karmelizowanego cukru. Rżały kucyki. Akrobaci grali na piszczałkach.

— Idź — polecił kruk i usiadł na krzaku jałowca.

Hanka zobaczyła w tłumie Sabinę.

— Mamo! — krzyknęła, a Sabina natychmiast się odwróciła.

— Córeczko! — zawołała i wyciągnęła ku Hance ramiona. Niczym dwa promienie. Hanka popędziła i rzuciła się w nie bez namysłu. Kręciły się przez chwilę. Hanka czuła łaskotanie matczynych włosów na szyi.

Potem poszły, za rękę. Jadły watę cukrową. Rysowały rysunek na konkurs. Śpiewały razem na scenie. Dostały za to klocki! Kupiły sobie po pierścionku. Takim plastikowym. Sabina założyła go na serdeczny palec.

— Zawsze będzie mi o tobie przypominał — powiedziała Hance.

Kilka godzin minęło jak rozbłysk pioruna.

— Już czas — powiedział kruk, zjawiając się obok ławki, na której matka i córka siedziały przytulone, obserwując wschodzący księżyc. Hanka ucałowała matkę i odleciała.

— Ale to nie był sen! To zdarzyło się naprawdę! — powiedziała krukowi, unosząc się nad parkiem.

— Tak, tak. Tak, tak. To nie sen — odpowiedział ptak.

SABINA. Mój przyjaciel kruk

Po powrocie ze szpitala Sabina wdała się w kolejną awanturę. W zasadzie nie tyle „wdała się”, ile została porwana przez żądny jej głowy tłum i

zawleczona pod jedyne drzewo na spacerniaku. Tam koleżanki próbowały ją powiesić. Przy okazji złamały jej nos.

— Nie ma wyjścia, trzeba ją odizolować — zdecydował dyrektor zakładu.

Sabina trafiła do osobnej celi w budynku, w którym znajdowała się pralnia i inne pomieszczenia gospodarcze. Nie łączył się on z podwórkiem, salą widzeń, łazienkami czy jadalnią. Było tam cicho i spokojnie, zwłaszcza że jej pokój nie miał okna. Jedynym minusem był fakt, że Sabinę wypuszczano na powietrze może raz na trzy tygodnie. Ale ona nie narzekała. Najważniejsze, że mogła spać spokojnie, a nie jak zajęc z otwartymi oczami.

Po pewnym czasie Sabinie zaczęła dokuczać nuda. Całe dni spędzała w samotności, a jedyny kontakt z innymi ludźmi przypadał na pory wydawania posiłków. Próbowła zagadywać przynoszące jej obiady czy kolacje strażniczki.

— Co to dzisiaj mamy? — pytała. — Smacznie pachnie, co? A jaka pogoda na zewnątrz?

Funkcjonariuszki nigdy nie odpowiadały. Pewnie dlatego, że gdyby mogły, same dobrałyby się Sabinie do skóry. Na szczęście odwiedzał ją kruk. Kiedy siedziała w głównym bloku, nie pojawiał się. Wpadł tylko raz, na moment, aby ją pocieszyć.

— Trochę głupio zrobiłaś z Bartkiem, nic, było, minęło — powiedział i odfrunął.

Do izolatki przychodził co noc, żeby przynieść jej wiadomości ze świata. Przekazać, co u Hanki. Twierdził, że bywał na „Tysiącleciu”. Dyskutowali na temat możliwości przedterminowego zwolnienia. A raczej braku tej możliwości. Kiedy tematy na dobre się im wyczerpały, kruk zaproponował zabawę.

— Słuchaj, a co powiesz na grę w zagadki? — zapytał.

— Chętnie! — Sabina zapaliła się do pomysłu. — A jakie?

Kruk rozejrzył się po celi. Ze ścian obłaziła farba. Kapał kran.

— Dokądś się stąd wybierzemy, co? Strasznie cuchnie ten twój kibel — zaproponował zniesmaczony.

— Chętnie.

— Zabiorę cię gdzieś i pokażę ci coś. Jakby kalambur. Będzie mówił o przyszłości. Będzie zapowiadał jakieś wydarzenie.

— Aha.

— Jeżeli siedmiokrotnie zgadniesz, o co chodzi, wypuszczę cię z więzienia. Na odgadnięcie dam ci, powiedzmy, siedem dni.

— Siedem zagadek?! Chyba przesadzasz! — Sabina uznała warunki za zbyt restrykcyjne.

— No dobra, wystarczy, jeżeli zgadniesz cztery z siedmiu. Moje ostatnie słowo. Cztery razy trafisz, ja wypuszczam z więzienia — powtórzył kruk.

— Ciekawe jak! — zadrwiła Sabina.

— Mam sposoby — odparł kruk. — Siedem zagadek. Co jakiś czas przyjdę i zadam jedną. Potem masz siedem dni na odgadnięcie. Zgadniesz — będziesz wolna. Nie zgadniesz — będzie kara.

— Jaka kara?

— Krzywda — odparł po prostu ptak i Sabina zrozumiała. — Grasz czy nie?

— Gram.

Pustynia. Wielkie połacie pustej ziemi. Jak okiem sięgnąć beton, beton, beton. Sabina stała gdzieś pośród tej przestrzeni. Przed sobą widziała wielki budynek. Do środka wchodziłi ludzie. Ciągnęli setkami, niczym mrówki tropiące rozsypany cukier. Płynęli grubymi strugami, znikali w budowli.

Gdy cała ciżba znalazła się w budynku, drzwi zamknęły się z sykiem. Ze

środka dało się słyszeć muzykę. Jakieś bębny, piszczałki. Sabina chciała iść, zobaczyć, co się tam dzieje. Ale kruk nie pozwolił.

— Patrz — rozkazał.

Bach! Konstrukcja zapadła się z ogłuszającym rykiem. Bez uprzedzenia. Złożyła się jak niepotrzebny parasol. Pach! Buchnął pył. Trach! Runęły stropy. Bam! Spomiędzy padających ścian wyfrunęły białe gołębie. Uciekły, gruchając z przerażenia. Sabina rzuciła się na ratunek.

— Ludzie, ludzie! — wołała, biegnąc w stronę rumowiska.

Zauważyła przygniecione kawałkiem betonu ciało. Krwawiącą stopę. Chwyciła ją. Zaczęła ciągnąć. Jej właściciel jęczał. Spośród ruin zaczęło dobiegać coraz więcej jęków. Zagrzebani ludzie prosili o pomoc. Płakali i wyli. Nieznośny hałas! Czemu nikt nie słyszy? Czemu nie ma pogotowia?

— Zaraz wam pomogę! — wrzasnęła Sabina i dalej walczyła, próbując wydobyć pierwszą ofiarę. Ciężko! Otarła czoło wierzchem dłoni. Mokro. Krew!

Stuknęło. W jednej chwili wszystko zniknęło. Sabina na powrót znalazła się w celi. Ulga!

— Co to będzie? — zapytał kruk. — Co się stanie?

— Zawali się coś — odpowiedziała Sabina. Ptak kiwnął potakująco łepkiem.

— A co? — zapytał.

— Biurowiec?

— Nie! Myśl!

— Ludziom uda się uciec?

— Nie, myśl.

— Zawali się budynek. Gołębie. Chodzi o gniazda? Budynek mieszkalny?

— Nie, myśl! Gdzie? Kiedy? — chciał wiedzieć ptak.

— Nie wiem! Skąd mam wiedzieć?

— Patrz uważniej. Patrz! Myśl! Masz jeszcze kilka dni, kilka dni. Znajdź odpowiedź.

Sabina zamówiła sobie gazety. Była z tym niezła jazda. Strażniczka początkowo odmówiła.

— Siedź cicho i nie marudź! — ucięła. — Po cholere ci prasa? Ledwo czytać umiesz po tym, jak zarobiłaś w łeb.

Ale Sabina nie zamierzała się poddać. Napisała do dyrekcji. Zagroziła skargą do trybunałów i rzecznika praw człowieka. Dostała swoje gazety. Szukała w nich klucza. Co przepowiada sen? Hala. Gołębie. Pustkowie.

— Wiesz już? — dopytywał kruk.

— Nie wiem.

— Ostatni dzień. Jutro wracam w nocy. Nie wiesz — będzie źle.

Sabina nie zgadła. Kruk zadał karę. Kazał jej pociąć sobie uda. Kawałkiem zaostrojonej o ścianę łyżki. Bolało. Spodnie kleiły się potem do ran, obszarpując strupy. Otwierając od nowa rozcięcia.

Dopiero dużo, dużo później Sabina przeczytała, że zaważyła się hala wystawowa w Katowicach. Podczas wystawy gołębi pocztowych. Sześćdziesiąt pięć trupów. Przeszło stu rannych. Hekatomba. Powiedziała o tym krukowi. Spojrzał lekceważąco.

— Za późno.

Druga zagadka przyszła parę miesięcy później.

— Katastrofy nie zdarzają się ot, tak! — karmił Sabinę kruk, gdy pytała, kiedy będzie następny quiz.

Rany na udach nawet się wygoiły. A Sabina przygotowała się. Spisywała potencjalnie istotne informacje z gazet. Katalogowała je. Do każdej

próbowała dopisać symbole. Wypożyczyła z więziennej biblioteki księgę znaczeń snów. „Podstawy tarota” też pożyczyla. I „Wróżby i horoskopy”.

W końcu przyszła pora. Kruk zabrał Sabinę na łąkę. Pośrodku łąki stała studnia ze staromodnym kołowrotkiem. Nad nią drewniany daszek. Wokół kaczeńce. Idylla.

— Zajrzyj — powiedział kruk.

Sabina przechyliła się nad cembrowiną. Spodziewała się widoku czarnej wody ukrytej wewnątrz. Powiewu chłodnej wilgoci. To, co dostrzegła, sprawiło, że złapała się słupa wspierającego zadaszenie studni.

Na dnie buchał biały płomień. Po chropowatych ścianach wspinali się ludzie. W żółtych kaskach. Usmarowani sadzą. Jedni wchodzili na drugich, próbując się wydostać. „Uciekajmy, uciekajmy” — wrzeszczeli. Najślabsi spadali w ogień. Umierali w męczarniach, zwęglając się i rozpadając w popiół. Krzyk. Mocniejsi wdrapywali się dalej, wbijając paznokcie w szare kamienie. Krzyk. Sabina odwróciła wzrok.

— Tunel? Katastrofa kolejowa? — wydyszała.

— Nie.

— Górnicza?

— Bardzo dobrze! Myśl gdzie. Siedem dni.

Nie zgadła! Kurwa mać, nie zgadła! Chodziło o kopalnię, tu się nie myliła. W Rudzie Śląskiej. Wybuchł metan. Gruchnęło. Osmoliło. Dwadzieścia dwa trupy. Niepotrzebnie skoncentrowała się tylko na kopalniach w Katowicach. Przecież kopie się, do jasnej cholery, wszędzie na tym zasranym Śląsku. Choćby w Bytomiu. Czemu we śnie odwróciła wzrok? Przegapiła wskazówkę, to pewne! Jak mogła być tak tępa?

— Widziałaś gazety? — zapytał po tygodniu kruk.

— Tak.

— Wiesz, co ci umknęło?

— Tak.

— Metan jest zabójczy, nie sądzisz? — rzucił ptak tonem podobnym do tego, jakim rozmawia się o sposobach na wywabianie plam.

— Tak.

— No to, droga Sabino, kara... — Kazał jej obciąć sobie uszy.

— Oba?

— Pewnie, a co ty, van Gogh? Oba!

— Naraz nie dam rady!

— Dobra, to na raty! — kruk wyglądał na usatysfakcjonowanego.

Przychodził co noc. Sprawdzał postępy. Sabina zaostrzyła porządnie swoją łyżkę i zaczęła od lewej małżowiny. Nawet nie bolało. Potem obcięła prawą, z większym rozmachem. Nie bała się aż tak, jak przy pierwszym cięciu. Prawe ucho bardzo krwawiło. Miała kłopot, żeby jakoś to opanować. Trafiła do ambulatorium.

— Co pani wyprawia? — zezłościł się lekarz, opatrując jej rany.

— Przepraszam — wymamrotała Sabina.

— Żeby mi to było ostatni raz! — Doktor pogroził jej trzymanym w dłoni bandażem.

Ale to nie mógł być ostatni raz. Kruk nie ustępował.

— Tnij, tnij. Naruszasz zasady! — krakał, a Sabina cięła. Do czasu aż z uszu zostały tylko niewielkie kikuty, przypominające kielkujące tulipany. Zaczęły ropieć. Bolały. Sabina znowu trafiła do lekarza. Antybiotyki. Kolejne pogrożki.

— Musimy przerwać grę — oświadczyła ptakowi, udręczona gorączką.

— Nie, nie, kochana. Zgodziłaś się. Gramy do końca — roześmiał się kruk.

Sabina postanowiła go przechytryć. Przy okazji kolejnej kontroli

poprosiła lekarza o środki nasenne.

— Jak leżę, to mnie boli — uzasadniła.

Doktor nie dopytywał. Dał Imovane. Małe i różowe. Dwie naraz. Sabina spała po nich jak zabita, snem bez snów. Czarnym jak wygaszony ekran w kinie. „I co teraz, gnoju?” myślała sobie o kruku, który chyba nie był w stanie przebić się przez mgłę nasennej chemii.

Ale ptaszysko było sprytne. Pieprzony skrzydlaty szczur. Przyszło za dnia. Zaraz po obiedzie. Nawet nie spała! Wylazło zza kibla i stroszyło pióra.

— Hej, co ty tu robisz? — zapytała ostro Sabina.

— Jestem. Śpisz jak truposz, to przyszedłem teraz — odparł kruk.

— Ale ty jesteś ze snu, nie możesz przychodzić za dnia! — Sabina zaskomlała żałośnie.

— Mogę przychodzić, kiedy tylko zechcę — zaśmiał się ptak. — A teraz moja droga... Gramy!

Latawiec. Unosi się nad Sabiną. Jest zielony. Ma pasiasty ogon. Słysząc, jak furkocze na wietrze. Sabina trzyma go mocno. Nagle pęka sznurek. Szarpnięta podmuchem zabawka znika z pola widzenia, daleko w górze. Kiedy zdaje się, że już jest stracona, spada niczym kamień. Wali dziobem w ziemię. Rozpada się.

— To proste, katastrofa lotnicza.

— Kto? Gdzie? Kiedy?

Sabina znowu nie wiedziała.

— Jesteś tępa jak noga stołowa! — stwierdził ptak. Wpadł na pogaduszki, aby nieco Sabinę pognębić. Słuchała go piąte przez dziesiąte.

— Ano jestem! — odpowiedziała Sabina na odczepnego i wróciła do drapania ściany kciukiem.

— Wiesz co? Może przerwijmy tę grę. Ja już się nagrałem, a poza tym to

nie ma sensu — kruk pokręcił z rezygnacją głową.

Sabina zrobiła się czujna. O, tak! Koniec gry! Świetnie! Po trzecim śnie kruk zadał jej wyjątkowo wymyślną karę. Obcięcie nosa. Nie zgodziła się. W drodze wyjątku zamienił nos na łechtaczkę. Też się nie zgodziła. Skończyli negocjacje na palcach stopy. Sabina ucięła wszystkie, jeden po drugim. Strzelały jak łuskany groch. Znowu szpital. Nowe groźby.

— Odeślę panią do psychiatryka, jak Boga Kocham! — uniósł się lekarz.

Dość! Stanowczo czas kończyć grę. Do końca wyroku zostały cztery miesiące. Wytrzyma. Upierzony szczur chce końca gry? Bardzo chętnie!

— Wpadnę do ciebie za kilka dni — zapowiedział ptak. — Wtedy doprowadzimy rozgrywkę do końca..

— Będę czekać! — obiecała Sabina i położyła się na pryczy.

Był dzień kąpieli. Sobota. Sabinie przysługiwał prysznic tylko raz w tygodniu. Nie mogła korzystać z umywalni razem z innymi kobietami. Zatlukłyby ją. Myła się więc porządnie raz na siedem dni.

Do łazienki zabrała ją młoda strażniczka, jakaś nowa i bez doświadczenia. Odczekała, aż pozostałe kobiety wyjdą na spacer, zamknęła starannie drzwi i dopiero wyprowadziła Sabinę. Szły prędko pomalowanymi na szaro korytarzami. Stukały obcasy służbowych butów. Strażniczka została w korytarzu, a Sabina weszła do łazienki. Rozebrała się. Poskładała ubranie i położyła je na krześle w przebieralni. Z ręcznikiem w dłoni ruszyła pod prysznic. Puściła wodę i natychmiast wskoczyła pod jej strumień. Początkowo lodowaty, odebrał jej oddech. Po chwili stał się przyjemnie ciepły. Sabina rozplątywała mokre strąki włosów. Myła się pod pachami. Z błogością. Gdy sięgała po stojący na podłodze szampon, zauważyła kruka. Siedział w fałdzie zasłony prysznicowej. Raz po raz otrząsał pokryte kroplami pióra.

— Dobry! — przywitał ją serdecznie. Sabina odruchowo zakryła dłońmi

krocze i piersi.

— Dobry! — mruknęła i odwróciła się do niego tyłem.

— Dzisiaj kończymy grę — kontynuował rozmowę kruk, najwyraźniej niezrażony widokiem pośladków przyjaciółki. — Tylko zrób, o co proszę.

— Tak? — Sabina starała się nie dać po sobie poznać, jak bardzo się ucieszyła. Chciało jej się śpiewać. Koniec zasranych zgadywanek! Koniec kar! Zakręciła wodę i odwróciła się, gotowa spełnić ostatnie żądanie ptaszyska.

— Weź ręcznik. Oderwij z niego pas. Dwa pasy. Szerokie na pięć centymetrów — nakazał ptak.

— Zrobione — odpowiedziała po chwili Sabina. Nawet się nie ubrała. Nie spytała po co. Byle szybciej zrobić, co ptaszysko każe, i mieć to z głowy! Zresztą dyskusowanie z nim było bezcelowe. Uparty. Zawsze stawiał na swoim.

— Połącz je w długi sznur — wydał kolejne polecenie kruk.

— Zrobione.

— Przerzuć go przez dyszę prysznica.

— Po co?

— Nie gadaj, tylko rób. Chcesz zakończyć zagadki czy nie?

— Chcę.

— Rzucaj.

Sabina przerzuciła linę przez biegnącą prawie na wysokości sufitu rurkę. Przypadkiem zahaczyła kurek. Z prysznica znowu popłynęła woda.

— Zawiaż pętlę.

— Zrobione.

— Włóż głowę.

— Zrobione — woda zalała Sabinie twarz.

— Klękaj, byle prędko! — zakrakał kruk.

Sabina zamknęła oczy i gwałtownie podkuliła kolana. Trzasnęła rdzeń kręgowy. Jak palące się w ognisku drewno. Pięty zatańczyły na mokrej posadzce ostatnie tango.

JANUSZ. Ona czy nie ona

Dzwonek. Janusz gwałtownie otworzył oczy. Wyprostował się. Znowu zasnął na siedząco. Dzwonek. Otarł z okolic ust nitkę śliny. Popluł się jak niemowlak! Dzwonek. Co do cholery dzwoni? Goście? Nie, to telefon.

— Słucham — rzucił do słuchawki, starając się brzmieć przytomnie i dziarsko.

— Janusz Borowski?

— Tak, słucham.

— Pańska żona nie żyje

— Jak? — Janusz postanowił trzymać się rzeczowego tonu. Zacisnął palce na kablu telefonicznym.

— Samobójstwo.

Pojechał do kostnicy. Mieściła się zaraz przy zakładzie karnym. Pojechał tam, bo chciał ją zobaczyć. Ech, Sabina...

Wszedł do ponurego pawilonu. Na zewnątrz panował upał. W kostnicy było chłodno. I ciemnawo. Szyby w oknach potwornie wręcz brudne. Obklejone zaschniętymi trupami owadów. Powitał go portier przypominający żywą mumię. Szyję miał owiniętą kraciatym szalikiem.

— Angina — wychrypiał i podsunął Januszowi książkę gości.

Janusz byle jak wpisał swoje dane. Idiotyczny zwyczaj, mógł podać cokolwiek! Dziadek nawet by się nie zorientował.

— Dziękuję — mruknął, oddając staremu długopis.

— Prosto i ostatnie drzwi po lewej — powiedział stróż i zaczął kaszleć.

Janusz uciekł.

Szybko pokonał wyłożony kafelkami korytarz. Zapukał i nie czekając na odpowiedź, wszedł do wskazanego przez portiera pokoju. Wewnątrz, za biurkiem, siedział lekarz. Chyba. Miał na sobie biały fartuch. Brudny. Równie dobrze mógłby być rzeźnikiem.

— Janusz Borowski — przedstawił się Janusz.

— Aha — odpowiedział mężczyzna. Ugryzł kawałek kiszzonego ogórka, który trzymał w szufladzie, i powoli się podniósł. — Proszę za mną.

W chłodni było niemalże mroźnie. Jak pomiędzy lodówkami w sklepie spożywczym. Janusz objął się ramionami. Lekarzo-rzeźnik natomiast zdawał się nie odczuwać zimna. Sprawnie przemknął pomiędzy regałami. Odszukał odpowiedni. Otworzył. Szarpnął. Z lodówki wyjechało przykryte folią ciało.

— Proszę — huknął facet i odrzucił na bok płachtę. Uśmiechnął się niczym zadowolony z siebie rzeźbiarz na odsłonięciu pomnika swojego autorstwa. Janusz miał ochotę dać mu w ryj. Zacisnął pięści i zamknął na moment oczy. Policzył do dziesięciu.

— Dziękuję — wycedził.

— Jak pan skończy, pan przyjdzie, to ją schowam i pogadamy, co dalej. — Facet zasalutował idiotycznie i wyszedł.

Janusz został z Sabiną sam na sam. Zaczął oględziny od włosów. Kiedyś rude i gęste, teraz były krótko obcięte. Postrzępione i nierówne. Gdzieś widać było białe pasma. Starość? Starość dotknęła tak mocno Sabinę?

Twarz. Sine kręgi pod oczami. Usta też sine. Rzęsy kiedyś miękkie, delikatne brwi, wyłysiały. Zniknęły piegi. Nos był dłuższy, broda bardziej spiczasta. Zdeformowane uszy! Okropność!

Ciało. Wychudzone, nie szczupłe. Zapadnięta klatka piersiowa. Na łydkach gęste włoski. Kiedyś je goliła.

Palce poplamione tanim tytoniem. Zielonkawę opuszki. Na przedramieniu tatuaż. Kruk. Wydziabany niedbale, pewnie boleśnie. Sama to zrobiła? Czy ktoś jej pomógł?

Sabina. Kiedyś była taka piękna! Stał przy ołtarzu ubrany w za ciasny garnitur. Na szyi duszący fular. Za plecami szmer gości. Było ich niewielu, a kościół duży. Każde słowo niosło się pod sklepienie. Sabina wyszła z zakrystii. Biała suknia szeleściła jakby była z bibuły. Welon lśnił. Pod nim jej rude włosy, rude jak rydze. Uśmiech anioła. Wyglądała, jakby sfrunęła z witraża. Nic więcej nie pamiętał z tej ceremonii. Poza tym, że na szczupły palec wsunął jej obrączkę. Była trochę za duża. Sabina gdzieś ją potem zgubiła. Zawsze była roztrzepana! Spontaniczna. Bałaganiara.

Janusz pochylił się i ucałował martwą kobietę w czoło. Pogładził resztki włosów.

— Pa, dziecino — powiedział. Kiedyś zawsze tak do niej mówił. A ona śmiała się i klaskała w dłonie. W czasach gdy jeszcze ze sobą normalnie rozmawiali.

Wrócił do rzeźnika. Facet dojadał właśnie kanapkę.

— Skończyłem — powiedział. — Co teraz?

— Weźmie ją pan na pogrzeb czy mamy się nią zająć? — zapytał koroner.

— Wezmę — westchnął Janusz. — Wezmę i zajmę się nią.

HANKA. Pogrzeb

— Haneczko, pogadajmy — zaproponował pewnego dnia Janusz.

Hanka usiadła skwapliwie z kubkiem herbaty. Oczekiwała jakiejś historii o kieszonkowcach z autobusu linii pięćset dwanaście czy opowiadania o tym, jak ojciec był mały. A tu jak diabeł z pudełka wyskoczyła matka.

— Haneczko, mama nie żyje — oznajmił ojciec. „Haneczko, pada”,

„Haneczko, załóż sandały” brzmiało dokładnie tak samo. Jak gdyby nigdy nic. „Mama nie żyje”. Hanka poczuła, jak drętwieją jej usta. Twarz ściąga się jakby spalona słońcem. Ręce zaczęły jej drżeć.

— Ja to? — wykrztusiła. Może to jakaś pomyłka? Przesłyszała się? Tak, przesłyszała się!

— Zmarła w więzieniu. Kochanie, wiem. Też mi przykro. Ale...

Hanka spuściła głowę. Przez chwilę próbowała zatrzymać łzy. Ale one, uparte, trysnęły jej z oczu wbrew woli. Z gardła wydobył się skowyt. Hanka wyła jak stary pies za ukochanym panem. W końcu mogła wykrzyknąć tęsknotę. Krzyczała więc całe popołudnie, aż ochrypła.

Na pogrzeb dostała nową sukienkę. Czternastolatki wołał róż i czerwień. Hanka nie miała nic czarnego. Janusz dorzucił też czarne podkolanówki. Czarne trzewiki. Z wykrojonym z pasków skóry pomponem. Hance bardzo się podobały. Dopiero gdy wsunęła je na odziane w czarne skarpety stopy, uznała, że zachwyty nad żałobnym obuwiem jest niestosowny.

Cmentarz był niedaleko, więc poszli piechotą. Skierowali się do niewielkiej kaplicy. Uroczystość miała być skromna, dosłownie dla kilku osób. Lokalna kapliczka wystarczy.

Hanka ostrożnie weszła do środka. Skrzypnęły stare drzwi. Otoczył ją zapach kadzidła. Z okien padały na posadzkę pasy światła. Na środku kościoła, przed samym ołtarzem, stała trumna.

— Możesz podejść i się pożegnać, Haneczko. — Ojciec delikatnie pchnął dziewczynkę w jej kierunku. — Potem mamę zamkną i będzie msza.

Po chwili wahania Hanka podeszła. Oparła dłonie na brzegu trumny. Trochę po to, aby się przytrzymać. Ojciec dał jej jakąś herbatkę i tabletkę na uspokojenie, kręciło się po nich w głowie. Kazał zażyć po tym płakaniu. Obląkanym żałowaniem. Hanka zamrugła gwałtownie. Pochyliła się ku matce.

Sabina była mocno wymalowana. Szykowały ją pracownice zakładu pogrzebowego. Użyły sporo różu i niezbyt dobrze dobranej szminki. Matka byłaby zła. Do tego ubrały Sabinę w granatowy komplet. Garsonkę. Odpowiednią raczej dla staruszki, a nie młodej jeszcze kobiety. Matka sama by się w coś takiego nie ubrała. Nietwarzowe.

Lewy rękaw marynarki Sabiny był lekko podwinięty. Hanka przechyliła się przez krawędź trumny, aby go poprawić. Przypadkiem podciągnęła tkaninę jeszcze wyżej. Zobaczyła tatuaż. Odsunęła rękaw jeszcze trochę. „O, mój kruk!” — pomyślała, widząc cały rysunek.

Kościelny szarpnął sznurek dzwonka. Z zakrystii wyszedł ksiądz. Hanka odskoczyła od trumny i usiadła w pierwszej ławce.

HANKA. Cichy zabójca

Hanka wracała z pracy. Szła dobrze jej znaną Okólną. Pamiętała każdą dziurę w nigdy niereperowanym chodniku. Każdy zdradliwy krawężnik, wyslizgany stopień. Mieszkała tu już prawie ćwierć wieku. Na „Tysiącleciu” niewiele się w tym czasie zmieniło.

Zmieniła się ona. Ukończyła studium. Rachunkowość, jak ojciec. Janusz pomagał jej z zadaniami domowymi. Znalazła — przy jego niewielkim wsparciu, słówko tu, słówko tam — w miarę przyzwoitą pracę. Pomoc księgowej, na początek. Może z czasem uskłada na pełne studia i zrobi papiery na główną. Na razie tyle musi wystarczyć.

Zaczęła farbować włosy. Malować powieki. Czasem nawet paznokcie. Były raczej nieładne, pofałdowane, lakier tylko pogarszał sprawę. Spotykała się z mężczyznami. Niezobowiązująco. Chodziła do barów i dyskotek. Rzadko. Ojciec nie mógł spać, gdy była poza domem. Czekał, wyglądał zza zasłon.

— Nie martwię się, ale wolę wiedzieć, że wróciłaś — mawiał.

Hanka przekroczyła sporą psią kupę leżącą na samym środku deptaka. Norma na „Tysiącleciu”. Trzeba uważać. Zwłaszcza zimą, gdy właścicielom nie chce się daleko chodzić z pupilami. Janusz mówił jej kiedyś, że jak wdepnie się w kupę, to do człowieka przykleją się pieniądze. Może Hanka za bardzo uważała? Przelewać się jej nie przelewało. Kiedyś na próbę może wdepnie. Ale nie w nowych botkach.

Dotarła do swojego bloku. Był bardziej łaciaty — odpadał tynk. Kilka rzędów okien wymieniono na plastikowe. Poza tym nie zmienił się w ogóle. Nawet lokatorzy zostali ci sami. Naprzeciwko mieszkała jak przed laty Agata. Nadal się przyjaźniły. Agata wyszła za mąż, miała dwójkę dzieci. Na trzecim opuszczona przez dzieci Ramowa, o której przyjaciółka mówiła, że jest żywym trupem. Stara i pomarszczona, ale nadal dziarska. Na niektórych balkonach przybyło śmieci. Na innych pojawiły się talerze satelitarne.

Hanka weszła na górę. Nie pukała, chociaż ojciec z pewnością był w domu. Często drzemał po pracy. Nie chciała go budzić. Otworzyła drzwi, rzuciła na korytarzu buty i weszła.

— Dzień dobry, córeczko — powitał ją Janusz. Wołał z pokoju, przekrzykując telewizor. — Mecz jest! — poinformował.

Hanka zrozumiała. Odwinęła szalik, zdjęła kurtkę. Starannie powiesiła je na wieszaku. Botki postawiła na szmacie. Żeby nie ciekło na linoleum.

— Oglądaj, ja coś zjem — krzyknęła do ojca i poszła do siebie.

Położyła się na tapczanie. Na moment przymknęła oczy. Nie chciała spać. We śnie czasem pojawiał się kruk. Jej stary znajomek. Nie bała się go już. Przywykła? Uodporniła się? Dwadzieścia lat przyjaźni z ptakiem, niezbyt to normalne. Przychodził, coś gadał, gdzieś ją zabierał. Nie zwracała większej uwagi. Patrzyła rano na słońce, jak radził jej dawno temu Janusz, i zapominała.

Wieczorem zrobiło się mroźnie. Wiszące u balkonów sople zdawały się

świecić własnym światłem. Mróz poradził sobie nawet ze smogiem i widać było wszystkie gwiazdy. Od okien ciągnął lodowaty podmuch. Firanki wydymały się. Lekkie zazdroski w kuchni stawały niemalże poziomo.

— Zimno — narzekał ojciec.

Hanka pozatykała szpary we framugach starymi ręcznikami i kocami. Jej chłód nie przeszkadzał. Ale Janusz był już po prostu stary. Szkoda jego zdrowia. Zeszłej zimy przeszedł zapalenie płuc. Hanka bała się o niego. W końcu zagoniła ojca do sypialni.

— Idź spać, pod kołdrą będzie ci cieplej — powiedziała i podała mu mleko z czosnkiem. Wypił niechętnie. Uśmiechnął się i zagrzebał w pościeli. Zasnął niemal natychmiast. Hanka trochę mu tego zazdrościła.

Umyła się szybko. W łazience panował koszmarny ziąb. Nie miała ochoty na kąpiel. Może jutro. Poszła się położyć. Rano trzeba będzie wstać wcześniej, bo przy takim mrozie autobusy z pewnością pojedą poza rozkładem. O ile w ogóle wyjadą na trasy. Nie ma co, trzeba będzie iść do pracy piechotą.

U Agaty panował straszny hałas. Przez cienkie ściany słychać było każde słowo. Odgłos puszczanej do wanny wody. Szelest gazety. Hanka była przyzwyczajona do głosów dzieciaków i rodziców, do ryczącego telewizora i piszczących zabawek. Ale tego wieczoru Kropek — superrasowy dalmatyńczyk Agaty — pisał jak opętany, więc nie mogła zasnąć. „Durne zwierzę” pomyślała poirytowana. Wstała, narzuciła szlafrok i poszła do koleżanki.

— Co się u was dzieje? — zapytała, gdy tylko Agata otworzyła drzwi. Przyjaciółka zaczęła się śmiać.

— Kropek był u suki, na kryciu. Wejdz, to ci powiem. — Agata cofnęła się w głąb przedpokoju, aby przepuścić Hanke.

— I co, tęskni? — zapytała Hanka, której przeszła cała złość.

— Raczej żałuje. Zamiast korzystać, biegał u tych ludzi od suki po całym ogrodzie. A potem czas minął. Chodź, napijesz się czegoś, on się zaraz uspokoi.

Usiadły na moment w salonie. Agata nalała im kompotu. Gadały szeptem, bo jej mąż przysypiał w fotelu. Widać miał ciężki dzień. Pracował jako magazynier. Podobno miał jakąś dużą wysyłkę. Agata wstała i okryła go kocem. Dobra żona.

— Dzieci, kąpiel — zarządziła po chwili.

Hanka pomogła jej umyć i położyć dzieciaki. Miały pięć i trzy lata, fajne. Parka. Hance też się takich chciało. Ale z kim miałyby je mieć? Agata to szczęściara. Pogadały jeszcze chwilę, pośmiały się, ale Robert zaczął chrapać.

— Zbieram się — stwierdziła Hanka i wróciła do siebie.

Chociaż było już bardzo późno, uznała, że nie zaszkodzi ciepła herbata z sokiem. Wypiła ją niemal wrzącą, siorbiąc i cmokając. Założyła grube skarpety. Otworzyła okno. Nie potrafiła spać w duchocie. Położyła się i okutała kołdrą. Za oknem świeciły latarnie. Wierzby kołysały się leniwie niczym falujące w wodzie głony. Kropek w końcu się zamknął. Hanka zasnęła.

We śnie zobaczyła tunel. Wąski i ciemny. Miejscami oświetlały go kapiące świece. Wątle i migoczące. Hanka wiedziała, że musi nim iść. Chociaż nie chciała. Na końcu przejścia coś na nią czekało. Nie mogła zawieść i uciec.

Szła, opierając się dłońmi o czarne ściany. Korytarz prowadził w dół. Coraz niżej i niżej. Był coraz ciaśniejszy. Hanka od czasu do czasu popłakiwała. Miała nadzieję, że nie będzie musiała się czołgać. Nagle przejście się rozszerzyło. Hanka dotarła do niewielkiej jaskini. Tu było więcej świateł. Na środku groty stała klatka. W klatce jej kruk. Ale bez piór.

Bez mięśni. Samo truchło. Na widok HANKI szkielet podskoczył kilka razy i zaczął deklamować.

*Powietrze dusi jak koc
W grudniową zimną noc
Nie ma trucizna zapachu
Nie niesie bólu ni strachu
Czterech tam śpi rozumnych
I jeden przyjaciel człowieka
Choć bezrozumny nie mówi
On jeden wie, co ich czeka
Powietrze zabija we śnie
Więc obudź się, obudź się!*

Hanka obudziła się. Serce waliło jej jak oszalałe. Oddech rwał się jak po długim nurkowaniu. Jednak myśli miała zupełnie przejrzyste. Ostre. Wiedziała.

— Tato! — krzyknęła i wyskoczyła z łóżka. — Tato!

Wpadła do sypialni i niemalże siłą wywlekła ojca z pościeli.

— Tato, uciekamy!

— Ale... Co...?

— Tato, idziemy, nie pytaj! — narzuciła ojcu na plecy kołdrę. Sama wzięła kurtkę. Ze stolika porwała telefon komórkowy. Mieli go na wypadek nagłych wypadków. Zbiegli na dół. Hanka wyprowadziła Janusza przed klatkę.

— Stój, ja wracam po Agatę! — wcisnęła ojcu do ręki komórkę. — Dzwon po straż!

— Ale co mam im powiedzieć?

— Nie wiem, dzwoń, mają przyjechać!

Pognała do przyjaciółki. Waliała w drzwi z całej siły.

— Agata! Agata!

Nikt nie otwierał. Pobiegła do siebie. Wypadła na balkon. Balkon Agaty był dosłownie zaraz, bliźutko. Może pół metra? Może mniej? Hanka stanęła na swojej balustradzie. Ślisko. Skoczyła na balkon Agaty. Przewróciła się.

— Agata! Agata! — Teraz waliła w dźwięczącą jak struna gitary szybę. Nikt nie odpowiadał. Chwyliła leżącą na stercie śmieci starą doniczkę. „Po cebuli” przemknęło jej przez głowę. W oddali migotały już światła straży pożarnej. Zawodziła syrena. Hanka osłoniła oczy i cisnęła donicą w balkonowe drzwi. Trysnęła szyba. Hanka wskoczyła do środka. Podarła kurtkę o sterczący odłamek.

— Agata! — pognała do sypialni.

Na łóżku leżała przyjaciółka. I jej mąż, Robert. Na dywaniku obok pies. Hanka szarpnęła Agatę.

— Wstań, wstań! — wołała. Przyjaciółka nie odpowiadała. „Dzieci!”. Leżały nieruchomo w pokoju dziecięcym. Zamknięte powieki. Sztywne rączki. „Nie żyją”.

Straż parkowała pod blokiem. Nagle wokół Hanki zaroilo się od strażaków. Sanitariuszy. Lekarzy. Biegali po całym bloku.

— Proszę pani, niech pani stąd idzie — poprosili. Wyprowadzili ją na zewnątrz. Dopiero teraz zauważyła, że nie ma kapci. Stopy pokaleczone. Opatrzyli ją. Dali jakiś zastrzyk.

Sprawdzili cały budynek. Mierzyli stężenia. Czad i dwutlenek! Wysokie! Cmokali. Potem przyszli porozmawiać. Przesłuchać ją, jakby to ona była winna. Ustawili się szpalerem, ale i tak widziała. Widziała, jak ich wynoszą. Cztery worki: dwa duże, dwa małe.

— Czemu pani się obudziła? — pytali.

— Nie wiem.

— Czy miała pani otwarte okno?

— Tak.

— Miała pani sporo szczęścia. To panią uratowało.

— Tak.

— Co działo się wcześniej tego wieczoru? — pytali.

Mówiła, że była u Agaty, kąpała z nią dzieci. Znowu cmokali.

— Piecyk był już wtedy nieszczelny. Cholerne junkersy! Co roku kilkadziesiąt zacządzeń!

Mówiła, że pies wył. Zaciekawili się.

— Pies pierwszy wyczuł — powiedzieli. — Niby głupie zwierzę, ale ma instynkt. Czuł czad i chciał dać znać rodzinie. Pies to najlepszy przyjaciel! Biedny, zginął z nimi. Straszna historia. Wyrazy współczucia — ale Hanka już nie słuchała.

HANKA. Dziennik senny

Hanka wstała następnego dnia półprzytomna. Słońce świeciło mocno, jakby to był sierpień, a nie mroźna zima. Odbijało się od śniegu. Hanka z trudem uniosła powieki. Jak przez mgłę pamiętała, że połknęła coś na sen. Coś, co dali jej sanitariusze. Zasnęła w ufajdanych ciuchach, na kołdrze. Pomimo ostrzeżeń strażaków ona i Janusz zostali w mieszkaniu jako jedyni w bloku. Reszta lokatorów rozpierzchła się po Katowicach, niosąc innym osiedlom sensacyjną wiadomość. „Czad na »Tysiącleciu!«”.

Przez chwilę rozważała ponowne zaśnięcie. Zwlekła się w końcu tylko dlatego, że martwiła się o ojca. Niepotrzebnie. Siedział już w kuchni, popijając herbatę.

— Dzień dobry Haneczko — powitał ją cicho.

— Dzień dobry.

— Tak mi przykro...

Hanka uniosła dłoń. Nie. Nie teraz. Nie ma siły na wyrazy współczucia. Agata, jej mąż, jej dzieci, jej pies.

— Pogadamy potem — ucięła i zwała do łazienki.

Ciepła woda zmyła z niej swąd spalenizny. Czad niby jest bezwonny, ale Hanka go czuła. Wyszorowała się porządnie gąbką, mydłem. Spływająca po jej ciele woda wydawała się szarawa.

Kiedy w końcu z głową zakutaną w ręcznik wyszła z kąpieli, zadzwoniła do pracy.

— Nie przyjdę, sprawa losowa. Mieliśmy w nocy akcję ze strażą. Czad.

Usłyszała, jak szefowa wciąga z sykiem powietrze. Zawsze wygadana, teraz milczała. W końcu odezwała się piskliwym głosem.

— Jakież ofiary?

— Tak. Cztery osoby. I pies — odpowiedziała Hanka.

Milczenie. Dobra minuta ciszy. Dla uczczenia pamięci zmarłych. Westchnienie.

— Kiedy się to skończy z tymi nieszczelnymi piecykami? — zapytała retorycznie przełożona Hanki. Pociągała nosem. Chyba płakała. — Nie dalej jak tydzień temu zmarła młoda dziewczucha, jakaś licealistka. Kąpała się. Zasnęła w wannie. Straszne!

Hanka przyznała jej rację. Straszne. Obiecała wrócić do biura za kilka dni. Kiedy tylko porobi badania i tak dalej.

— Spokojnie, załatw swoje sprawy, zadbaj o ojca, a potem wracaj. Czekaamy na ciebie.

Na stojąco zjadła kawałek suchej kajzerki i popiła kawą. Pogadała z ojcem, dręczona wyrzutami sumienia. Niepotrzebnie tak brutalnie go odepchnęła.

— Przepraszam — powiedziała, a Janusz wybaczył jej bez dyskusji. Też był przybity.

— Masz dzisiaj wolne? — zapytał.

— Tak. Wybieram się do przychodni. A ty?

— Mam jeden dzień urlopu. Jutro planuję normalnie iść do pracy. Mamy kontrolę ze skarbówki. Nie mogę zostać w domu.

— Aha. Ale do lekarza pójdziesz?

— Nie chce mi się łązić do tych konowałów. Znowu coś mi nawymyślają z sercem! — Janusz zirytował się. Nie znosił przychodni. Nienawidził się leczyć. Nie cierpiał lekarzy, uważając ich za darmozjadów, którzy swoimi strajkami dobijają górnictwo.

— Spokojnie, tato — Hanka pogładziła dłoń ojca spoczywającą na gazecie.

— Jakie „spokojnie“?! — Janusz zaczął się rozkręcać. — Pijawki jedne! Byle co chcesz, płąć, płąć, płąć. W przychodni same głąby! Nie dość, że głąby, to chamy!

Hanka nie przerywała tyrady. Niech się ojciec wygada. Niech wykrzyczy złość, nieważne jakimi słowami. Byleby odreagował tę zasraną noc. Serce ma słabe, chociaż udaje chojraka...

Koło jedenastej ubrała się w byle jaki dres i poszła do przychodni. Kolejka była niewielka, jak to w środku zimy. Dopiero na przednówku pojawiają się tłumy matek z chorymi przedszkolakami i wykończeni mrozem staruszkowie.

Zwolnienie dostała bez problemu, na dziesięć dni. Plus skierowanie na morfologię, której nie miała zamiaru robić. Lekarz coś marudził o odległych konsekwencjach zaszczepienia, o stratach tkanki płucnej, o komorach hiperbarycznych. Hanka grzecznie wszystkiego wysłuchała. Skinęła głową.

— Dziękuję, panie doktorze, do zobaczenia! — Wyszła, ściskając w dłoni

zielony druk „L4”.

Prosto od lekarza poszła do sklepu papierniczego. Znajdował się zaraz obok. Hanka bardzo go lubiła. Właściciele od lat nie zmieniali wystroju ani nie porządkowali wystaw. Przez pomazane sprejem szyby widać było sterty zeszytów, pudełka kredek i kolorowe segregatory. Spiętrzone celem zachęcenia kupujących. Zakurzone.

Wiekowa sprzedawczyni trzęsącymi się dłońmi spakowała jej dwa grube notesy i długopis, w którym można było zmieniać kolory. Czerwony, zielony, granatowy i czarny. Hanka zawsze o takim marzyła.

Wracając do mieszkania, zahaczyła o pocztę. Dla świętego spokoju przefaksowała zwolnienie do pracy. Współczucie szefowej miało to do siebie, że łatwo się ulatniało. Podobnie jak jej łaskawy nastrój. Lepiej nie ryzykować.

W mieszkaniu zajrzała do szafy. Głęboko z tyłu widziała kiedyś stare zasłony. Te z sypialni. Te same, które pamiętnego dnia zamierzała powiesić Sabina. Zielone i gęste jak woda w jeziorze. Sabina, mama, powiesiła wtedy tylko firany... Potem odeszły jej wody. Po co o tym myśleć? Zasłony w miarę pasowały do okna w pokoju Hanki. Były nieco za szerokie, więc można je było porządnie zmarszczyć. Przez fałdy nie przedrze się ani jeden promień słońca. Dobrze!

Notesy spoczęły na szafce nocnej. Na nich długopis. Hanka sprawdziła na jednej z ostatnich stron brulionu, czy dobrze pisze. Działał bez zarzutu. Dobrze. Bardzo dobrze. Świetnie.

Teraz mogła spokojnie iść spać. Na początku tylko zapisywała sny. Nie wszystkie, tylko te, w których występował kruk. Ptak czasem się pojawiał, a czasem nie. Czasem dokądś Hankę zabierał, a czasem serwował dziewczynie niezbyt składny monolog. Jak to kruk. Bywało, że gadali o pogodzie. Niezależnie od treści Hanka wszystko skrzętnie notowała. Wszystko jak leci,

starając się zapamiętywać każde słowo, każde miejsce, każdy przedmiot.

Co zapisała, przeglądała. Grupowała sny według pojawiających się w nich obrazów. Sny z kotem. Sny o lataniu. Sny z masakrami. Potem analizowała zapiski, każdego dnia coś korygowała, dopisywała, wykreślała bzdurne uwagi.

Codziennie przeglądała wszystkie gazety. I regionalne, i krajowe. Czytała je w drodze do pracy, podczas drugiego śniadania, wieczorami przed snem. Wycinała wybrane informacje. Wypadek. Tragedia. Pożar. Dwunastu zmarło. Siedmiu rannych. „Teraz tylko to połączyć” myślała. Niestety nic się nie kleiło. Do snu czasem pasowało kilka wydarzeń, a czasem żadne nie miało z nim związku.

Pewnej nocy na przykład kruk zabrał ją do parku, starego i gęsto zarośniętego. Nadnaturalnie wysokie drzewa zasłaniały niebo. Pośród nich było niemalże zupełnie ciemno, cieniście ciemno. I cicho. Hance się to spodobało. Zwłaszcza że między drzewami latały zielone i granatowe chrząszcze. Grzechotały skrzydełkami jak kastanietami.

— Chodź! — poprosił ją kruk i delikatnie pociągnął za nogawkę piżamy. Dziewczyna ruszyła za nim, zaciekawiona i podniecona. Szli niedługo. Po chwili spomiędzy drzew wyłonił się budynek. Był krwście czerwony. Jakby zachodzące już słońce odbijało się w jego ścianach niczym w lustrze. Tak, to musiało być słońce. Nikt przecież nie stawia szkarłatnych budynków. Po ścianach wędrowały żuki. Pewnie zmęczone lataniem przysiadły, aby odpocząć. Błyszczały.

— To tutaj — powiedział kruk.

— Wiem. — Hanka na moment przystanęła. Chociaż niezwykle ozdobny, dom napełniał ją obawą. Ten kolor. Te dziwaczne cherubiny nad wejściem. Niby przytulające się do siebie, faktycznie chyba robiły sobie jakieś wstrętne rzeczy. Dżgające i obleśne. Wijące się kamienne bluszcze zdawały się

wyciągać po nią swoje wąsy. Chrząszcze też przestały się jej podobać. Były za duże. Hanka zaczęła się cofać.

— Ej, nie do tyłu! — Kruk dziobnął ją w kostkę. Delikatnie. Na początek. Hanka natychmiast ruszyła we właściwą stronę. Weszła po czterech schodkach, powoli jak tylko mogła. Drzwi otworzyły się automatycznie. Tego Hanka się nie spodziewała. Syknęły zapraszająco. Hanka przekroczyła próg.

Znalazła się w korytarzu. Był dosyć wąski i sięgał dalej niżby wskazywały na to zewnętrzne rozmiary budynku. Oświetlony rozwieszonymi co kilkanaście metrów lampami zdawał się nawet przytulny, pomimo kamiennej podłogi. Co kawałek widać było drzwi.

Hanka nawet nie zdążyła dobrze się zastanowić nad ich przeznaczeniem, gdy z jednego z pomieszczeń wyszedł na korytarz lekarz. Miał na sobie poplamiony kitel. Przez moment miotał się od ściany do ściany, a stetoskop dyndał mu niczym trąba u słonia. Hanka się zaśmiała.

— Hanna Borowska? Która to? — zapytał nagle lekarz karcącym tonem.

— To ja! — przyznała się Hanka z ociąganiem.

— Proszę za mną! — rozkazał doktor i ruszył korytarzem.

Hanka pognąła za nim. Lekarz niemalże biegł. Jego przepisowe doktorskie chodaki trzaskały niczym petardy.

— Szybciej, szybciej! — poganiał Hanke. — Nie ma czasu! To ostatnia chwila.

Wpadli na salę. Pod sufitem wisiała jasna niczym słońce lampa. Taka, jaką Hanka widziała w telewizji, przykładowo w „Oстрым dyżурze”. Okrągła i świecąca. W jej chromowanej oprawie odbijał się stojący pośrodku pomieszczenia stół operacyjny. Na nim leżała pacjentka. Ręce miała rozrzucone na boki, przypięte do krzyżokształtnego stołu za pomocą rurek i igieł. Twarz skrywała zielona zasłona, narzucona niczym całun. Spod niej

dochodził udręczony głos.

— Proszę, proszę! — powtarzała kobieta, próbując się uwolnić. Jednak więzy trzymały mocno. Wokół niej tłoczyli się lekarze i lekarki. Gdy operowana wyrywała się zbyt gorliwie, podnosili zasłonę.

— Zamknij ryj! — syczeli i przykładali jej do twarzy jakąś maskę. Spod niej sączyła się gęsta para. O zapachu mięty. Gdy kobieta w końcu zamarła, jeden z odzianych w kitel i maskę mężczyzn podniósł z tacki piłę. Zwykłą, taką jak do metalu. Hanka miała kiedyś podobną. Przecięła nią cegłę na pół. Taka piła to ostra sprawa.

— Można ciąć? — zapytał chirurg, a reszta zespołu skinęła głowami. Wszyscy zbliżyli się do stołu, pochylając się jak ciekawskie dzieci nad rozjechaną żabą. Pacjentka zniknęła zasłonięta ich ciałami.

Hanka usłyszała odgłos rozdzieranej skóry i rozbierania mięsa. Mlaskanie. O Boże! Oparła się o ścianę, aby nie zemdleć. To ohydne ciamkanie! I smród! Obłeśne! Nie do wytrzymania! Zamknęła oczy i starała się oddychać przez nos. „Nie krzycz, nie krzycz” powtarzała sobie.

— Do dupy z taką robotą — oświadczył nagle lekarz i z plaśnięciem zerwał z siebie zakrwawione rękawiczki. Wszyscy asystujący przy operacji podnieśli głowy — Następna! — Rzucił piłę na tackę i odwrócił się do Hanki. — Na drugi raz się nie spóźniaj! — nakazał. — Masz mi podawać narzędzia!

Hanka robiła to przez kolejnych kilkanaście operacji. Podawała noże, nożyce, młotki. Ręce jej drżały. Patrzyła jak lekarz grzebie we wnętrznościach kobiet gołymi rękami. Wsadzał je tak głęboko, że do włosów na jego przedramionach kleiła się gęsta krew. Grzebał i ugniatał, jakby miesił ciasto. Hanka szlochała, ale nie opuszczała posterunku. Pacjentki niezmiennie umierały.

— Do dupy z tym! — przeklinał lekarz.

A potem nagle pojawił się kruk. Sfrunął z lampy. Hanka kompletnie o nim zapomniała.

— My już idziemy, doktorze — oświadczył. — Dość się napatrzyła.

Sen urwał się tak nagle, jak nagle pęka zbyt napompowany balon. Hanka zapisała go od razu. Uznała, że chodzi o jakąś plagę. Żuki, to one jej to zasugerowały. Żuki to klęski żywiołowe. Najpewniej pociągające za sobą ofiary w ludziach — to te umierające pacjentki. Może fakt, że były to same kobiety, coś znaczy? Hanka zgadywała. Huraganowe wiatry? Powódź? Pożar? Kompletnie zignorowała wątek doktora, sądząc, że to wynik paskudnego poczucia estetyki kruka. Albo zasłona dymna.

W końcu przeczytała gdzieś o lekarzu, który zabił trzy pacjentki. Kompletnie zalany. We krwi miał ponad dwa promile. Operował całą noc, systematycznie podlewając się w dyżurce. Stracił uprawnienia do wykonywania zawodu. I co z tego? Hanka załapała za późno. Znowu za późno. Znowu!

— Gdzie jest próbny bilans za marzec? — zapytała pewnego dnia szefowa Hanka.

— Próbnny bilans? — Hanka spojrzała na nią nieprzytomnym wzrokiem. Właśnie przeglądała w internecie ulubione forum ezoteryczne, na którym często pisała. Wróżki i czarodzieje pomagali jej zmierzyć się z interpretacją snów. Bardzo się z nimi zaprzyjaźniła.

— Próbnny bilans! — powtórzyła z naciskiem Bożena. — Kazałam ci go przygotować już tydzień temu.

— Aha... — Dziewczyna rozpaczliwie próbowała zasłonić ekran własnym ciałem. Na próżno.

— Co ty tam masz? — warknęła przełożona.

— Nic, tylko tak sprawdzałam kursy walut. — Hance plątał się język.

— Hanka, nie kłam! Przecież widzę! Zabroniłam ci siedzenia na tych

kretyńskich stronach!

— Mhm...

— Pozwól, że wyliczę ci, co spieprzyłaś w ostatnim miesiącu. Co spieprzyłaś, bo siedziałaś z łbem w jakichś wróżbach. — Szefowa położyła lewą dłoń na biodrze, a prawą wyciągnęła przed siebie, aby pokazywać kolejne palce. Jak przedszkolakowi. — Raz — wyprostowała wskazujący. — Zestawienie przeterminowanych należności. Kompletnie wysrane z palca. Dwa — palec środkowy. — Próbnny bilans, przy którym miałaś pomóc Sylwii. Nic nie zrobiłaś, a Sylwia się spóźniła. Nie myśl sobie, że cię kryła. Trzy. Połowa księgowości była do poprawienia, bo wpisywałaś bez głowy gdzie popadnie...

— Przepraszam — wymamrotała Hanka.

— „Przepraszam” nie wystarczy! Takich jak ty na to stanowisko ja mam na pęczki! Chcesz dalej pracować? Przyłóż się. I jeszcze raz zobaczę to zasrane forum, to wywalę cię dyscyplinarnie!

JANUSZ. Goście, goście

Pewnego dnia przyszedł list. Nie zwykły, ale taki specjalny, w kopercie o granatowo-czerwonym brzegu oznaczającym pocztę lotniczą. Nadany w Kanadzie. Na znaczku widniał indiański totem i podpis „First Nations”.

Janusz otworzył kopertę jednym ruchem, a drugim wygarnął ze środka kartki. Spory plik! Przerzucił je, aby przeczytać podpis. „Mieczysław i Ada”. Mietek! Nie widzieli się chyba ze sto lat!

— Hania, Hania! — zawołał córkę. — Chodź, zobacz, kto pisze!

Mietek był dalekim kuzynem. Mieszkał wraz z rodzicami naprzeciwko starawej ciotki, która zajęła się Januszem po śmierci jego rodziców. Chłopcy z miejsca się zaprzyjaźnili. Pogodny z natury Mietek pomógł Januszowi pozbierać się po stracie rodziny. Przynosił mu szklane kulki, gumki do procy

i skradzione sąsiadowi gruszki, słodkie i soczyste. Prawdziwy przyjaciel. Razem pili pierwsze tanie wino. Palili sporty, tak sobie, na złość. Potem kuzyn wyjechał na studia inżynierskie do Warszawy. Janusz został w Katowicach. Pisywał do Mietka, Mietek do niego. Widywali się na święta.

Ostatni raz spotkali się na rozdaniu dyplomów inżynierskich na Politechnice Warszawskiej. Mietek zaprosił go na tę uroczystość, dumny ze zdobycia dyplomu. Janusz pracował już wtedy w kopalni, ale znalazł czas, aby pojechać i uczcić sukces kuzyna.

— Januszkule, dziękuję, że przyjechałeś. Możemy się pożegnać — powiedział wtedy Mietek.

— Pożegnać? — Janusz nie zrozumiał.

— Januszkule, wyjeżdżam jutro do Kanady. Tylko cicho sza. Wiesz, jak jest. Kochany bracie, odezwę się do ciebie, obiecuję!

To był ostatni raz, kiedy Janusz widział Mietka. W rzadko dochodzących listach wyczytał, że kuzyn się ożenił. „Krystyna i Mietek”, tak podpisał piękną fotografię ślubną. Przesłał zdjęcie małej Ady. Potem straszną informację, że Krysia umiera na raka i nawet amerykańscy doktorzy nie są w stanie jej pomóc. Później pisywał z rzadka. Janusz też, raz na pięć lat kartka na Boże Narodzenie. A tu taka niespodzianka! Co on pisze? Że będzie w Katowicach za dwa tygodnie! Jezu, Boże kochany, będzie w domu!

— Hania! Hania! — zawołał znowu Janusz. — Chodź, zobacz, kto przyjedzie!

Hanka w końcu przyszła. Ostatnio była jakaś niemrawa. Janusza trochę to denerwowało, a trochę niepokoiło. Do tego cały pokój wytapetowała jakimiś wycinkami z gazet. Specjalnie kupiła korkowe tablice, coś tam przypinała, mruzczała. „Pewnie to nowe hobby młodych” tłumaczył sobie Janusz. Ale czemu ona wieszka na tych tablicach same teksty? Zamiast zdjęć młodych, opalonych aktorów...

— O co chodzi tato? — zapytała córka, stając w progu.

— Goście! Mietek i Ada!

Hanka nie wyglądała na zachwyconą.

— Przyjadą?

— Tak, za dwa tygodnie!

— Ojej... — Hanka przewróciła oczami.

— Haniu, tu jest ich e-mail. Nie wybałuszaj gał, tylko napisz. Kiedy ich mamy odebrać? O której godzinie? Zaproś ich do nas na nocleg. No! Dość tego wykrzywiania się! Goście jadą!

Przyjechali. Janusz i Hanka czekali na lotnisku, wyposażeni w wózek do bagażu i parasole, bo padało. Stali spięci i podskakiwali na dźwięk lotniskowych zapowiedzi. Ding, dong.

— Są! — zawołał w końcu Janusz, zauważywszy gości. A potem zrobiło mu się wstyd, że tak wrzeszczy i skacze. I że jest sobą.

Mietek wyglądał tak młodo. Elegancko ubrany, niepomięty po długim locie. W jednej dłoni skórzany neseser. W drugiej walizka, też ze skóry... Pod ramię trzymał jasnowłosą córkę. Piękną jak jej matka. Z perłami na szyi. A on? Wieśniak z Europy Wschodniej, w butach na grubej podeszwie, starym palcie... Wsiok ze Śląska! Do tego gołodupiec. Janusz cofnął się za Hanke.

— Januszkule! — usłyszał wołanie. — Januszkule!

Mietek rzucił się do niego biegiem. Zostawił walizkę, bagaż podręczny. Biegł. Zupełnie jak na amerykańskich filmach.

— Janusz, Janusz — wołał i płakał jak bóbr.

Zamknął Janusza w swoich ramionach. Silny i opiekuńczy. „Jak mi tego brakowało!” pomyślał Janusz.

— Witaj w domu — szeptał, raz po raz klepiąc plecy kuzyna.

Mietek nie zmienił się nic a nic. Jak zwykle uśmiechnięty, przemiły,

wylewny. Przytaszczył ze sobą mnóstwo prezentów. Dla Hanki, dla Janusza. Słodczyce, jakieś ubrania z napisami „Toronto”, śmieszne ciemne okulary. Trochę alkoholu, porządnej whisky. Syrop klonowy.

O ile na lotnisku Janusz sądził, że jego bieda będzie kłuć kuzyna w równiutkie, białe zęby, o tyle na „Tysiącleciu” obawy te zupełnie zniknęły.

— Ale tu ładnie! No, jak w domu! — ryknął z zadowoleniem Mietek, wysiadając z taksówki. — Katowice!

Ada też była fantastyczna. Bezpośrednia i otwarta, wprosiła się od razu do pokoju Hanki. Dziewczyny zamknęły się tam i tylko od czasu do czasu wychodziły po jakieś jedzenie czy picie. Zza drzwi słychać było śmiechy. „Jezu, dziękuję Ci!” myślał Janusz. Brakowało mu tego śmiechu. Ucichł po śmierci Agaty.

On i Mietek zasiedli w salonie. Hanka naszykowała wcześniej bigos, bitki, kluski, roladę na zimno. Zajęło jej to prawie dwa dni, ale warto było czekać.

— Pyszności! — chwalił kuzyn.

Puknęła otwierana wódeczka. Wypili. Pojedli. Janusz przyniósł ciasto.

— Makowiec — mruknął Mietek z rozmarzeniem i ukroił sobie gruby kawałek.

Otworzyli whisky. Smakowała beczką i drewnem, wybornie. Janusz nigdy takiej nie pił. Zrobiło mu się błogo.

— I co u ciebie, Januszku? — zagadnął Mietek. — Gdzie twoja żona?

Janusz wiedział, że prędzej czy później padnie to niewygodne pytanie. Przez moment zastanawiał się, co odpowiedzieć. Skłamać? Zerknął na Mietka. Kuzyn patrzył na niego szeroko otwartymi oczami, niebiesko naiwnymi.

Opowiedział wszystko. O Sabinie, o Bartku. Pierwszy raz od jej śmierci, pierwszy od śmierci syna. Sądził, że będzie mu ciężiej, ale słowa wypływały

bez trudu. Coraz szybciej i szybciej. Mietek nie przerywał.

— Biedaku... — powiedział na koniec. A Janusz rozplakał się, tak porządnie, na głos. Tego mu było trzeba. Tej rozmowy, tego przyjaciela.

HANKA. Nowa przyjaciółka

— Ale fajnie! — wykrzyknęła z entuzjazmem Ada, wchodząc do pokoju Hanki. Podskoczyła i rzuciła się na tapczan.

Gospodyni usiadła przy biurku i zaczęła skubać notes. Spode łba obserwowała Adę, która po chwili podniosła się i zaczęła wyjmować rzeczy z walizki. Rzucała je gdzie popadnie, tu bluzkę, tam szampon, mrużąc pod nosem.

— Jest! — ucieszyła się w końcu. — Dla ciebie! — podała Hance prezent.

Prezent! Hanka rozerwała opakowanie jednym ruchem. W środku znalazła komplet bielizny. Ale jakiej bielizny! Koszulka nocna i stringi w biało-żółtą kratkę, ozdobione różowymi koroneczkami i wstążeczkami. Do tego pończochy, kabaretki... O, rany... Piękne! Skąd ona знаła rozmiar?

— Zgadłam — odpowiedziała kuzynka i zaśmiała się. — Jakby co, kupiłam coś rozciągliwego.

— Dziękuję — wydukała Hanka i zwiesiła głowę. — Ja niestety nic dla ciebie nie mam... Ale wiesz, zabiorę cię gdzieś, to poszukamy czegoś, co ci się spodoba.

— Daj spokój! — Ada wróciła na tapczan. — Wolę pogadać, niż łązić po sklepach.

Hanka odetchnęła z ulgą. Też nie przepadała za zakupami.

— Hej! A co to jest? — Ada wskazała obklejoną wycinkami z gazet ścianę.

— A, takie, tam... — Hanka nie mogła się zebrać w sobie i pościagać tych świstków przed przyjazdem gości.

— Z gazet?

— No...

— Coś analizujesz? — Ada stanęła na kanapie i przyglądała się z bliska tablicy.

— No...

— Wiesz, widziałam film. „Piękny umysł”. O genialnym matematyku. Też wycinał coś z gazet i przeglądał. Szukał wzorców czy coś takiego. A potem dostał Nobla.

— Nash.

— Tak. Nash!

— Ale on miał schizofrenię.

— A tam. Ale Nobla dostał. Więc też masz szansę, bo macie identyczne zainteresowania! Ale! Koniec pierdół. Dokąd dziś idziemy?

Tego wieczoru wybrały się do „Grzeszników”.

— Że jak? — zapytała Ada, słysząc nazwę.

— No, dyskoteka nazywa się „Grzesznicy w niebie”... — Hanka zaczerwieniła się. Nazwa była idiotyczna, ale sam klub podobno najlepszy w mieście. Tak przynajmniej mówili znajomi.

— Cool! — ucieszyła się Ada i zamknęła się w łazience.

Wyszła godzinę później, wyczesana i wymalowana.

— A ty co? — zapytała, taksując Hankę wzrokiem. — Stara ciotka? Zaraz to poprawimy!

Wyciągnęła kuzynce koszulę z dzinsów i zawiązała ją w zgrabny węzeł nad pępkiem. Pogrzebała w jednej z Hankowych szuflad i wyciągnęła pasek w gepardzie cętki.

— Ekstra! — oceniła znalezisko.

Ze swojego kuferka z kosmetykami wygrzebała odblaskowe różowe kolczyki w kształcie kół.

— Weź! A teraz makijaż!

W „Grzesznikach” nie mogły się opędzić od facetów. Ada flirtowała z nimi na całego, piła kolejne drinki i tańczyła do upadłego. Wróciły do mieszkania bladym świtem, zdrowo wstawione. Szły bosy, bo wysokie obcasy nieźle dały im w kość.

— Wiesz co? — wymamrotała Hanka niewyraźnie.

— Aha? — Ada była ochrypnięta od przekrzykiwania głośnej muzyki.

— Chciałabym być taka jak ty.

JANUSZ. Szczęśliwej drogi, już czas

Dwutygodniowa wizyta Kanadyjczyków — tak mówiło na gości Janusza całe osiedle — minęła jak z bicza strzelił. Nagle znowu byli na lotnisku, Mietek i Ada nieco spolszczeni, mówiący z tym zaraźliwym śląskim akcentem. Mężczyźni uściskali się. Dziewczyny chlifały, jak to dziewczyny.

— Rozważ przyjazd — przypomniał na pożegnanie Mietek i ścisnął kuzyna za ramiona.

Od czasu rozmowy o Sabinie w kółko powtarzał, że Janusz powinien wyjechać. Oderwać się od tego przesiąkniętego tragedią miejsca.

— Ja wiem, że to dom, ale chłopie, zwariujesz — mówił.

Obiecał, że pomoże Januszowi wystartować za oceanem. Znajdzie mu robotę, w której nie wymagają biegłego angielskiego. Hanka, młoda i kumata, nie będzie miała problemów z pracą.

— Takich jak ona to tam szukają! — zaklinał się Mietek.

Janusz miał wątpliwości. Starego psa ciężko nauczyć nowych sztuczek. Ale z drugiej strony... Na co miał czekać w tym gównianym kraju? Pracował już ponad ćwierć wieku, a wszystkim, czego się dorobił, było niewielkie mieszkanie. Wykupił je w końcu od spółdzielni na własność. Na to było go stać. Samochód? Nie ma mowy. Nowy telewizor? Na raty. I do tego Hanka.

Córka była niegłupia, coś liznęła angielskiego. Miałaby w Kanadzie

lepiej. Tutaj? Żadna przyszłość, nudna praca, aż do śmierci. Tam? Asystentka czy sekretarka, eleganckie biuro, cisza, spokój. Robota przyjemna, pieniądze dobre. Osłony socjalne. Emerytura. On sam zatrudniłby się jako stróż czy inny cieć. Wszystko jedno. Też miałyby lepiej.

— Pogadam z Hanką — obiecał Mietkowi. Szczerze.

— Pasażerowie lotu LO361 z Katowic do Warszawy proszeni są o zgłoszenie się do odprawy paszportowej — rozległo się nagle.

— Musimy iść! — zarządził Mietek.

— Idźcie.

— Będziemy w kontakcie?

— Będziemy! — Tego Janusz był pewien.

Wraz z Hanką odprowadził gości tak daleko, jak ich przepuszczono. Mietek i Ada pokiwali im ostatni raz i zniknęli za drzwiami. Gdy tylko samolot wystartował, Janusz i Hanka ruszyli do domu. Autobusem. Wyjazd Kanadyjców oznaczał rezygnację z kosztownych taksówek. Wsiedli do trzysta dwunastki i w milczeniu zajęli miejsca z samego tyłu. Janusz nie patrzył nawet na córkę, która zapłakana gapiała się w okno.

Ale przywiązanie do kuzynki to jedno, a wyjazd za granicę to drugie. Janusz obawiał się, jak Hanka zareaguje na tę propozycję. Milczał i zastanawiał się, jak zacząć rozmowę. Na szczęście córka przysłała mu z pomocą.

— Gadałam z Adą o wyjeździe do Kanady — powiedziała przez zatkany nos.

— Tak?

— Chciałabym wyjechać, jeżeli ty pojedziesz ze mną.

— Serio?

— Tak. Powiedz tylko słowo. Sprawdzę, co musimy pozałatwiać, wiesz,

zaproszenia, wizy, zezwolenia na pracę, wszystko zorganizuję. Jedźmy!

— Mówisz?

— Tak, tato. Jedźmy. Zaczniemy od nowa!

HANKA. Cyrk

Hanka wyszperała wszystko w internecie. Spisała ojcu, co trzeba załatwić. Zamierzali starać się od razu o zezwolenie na stały pobyt i pracę. Czy to będzie trudne? Mietek napisał, że nie. Zorganizuje im poświadczenie o zamiarze zatrudnienia czy co tam trzeba. W przypadkach łączenia rodzin wizy na pobyt stały wydawano chętnie. Zero problemów. Poza jednym.

— Trzeba będzie pojechać do Warszawy — martwiła się Hanka.

Ale Janusz postanowił wziąć wycieczkę do stolicy na siebie.

— Wypiszesz mi upoważnienie, pojedę, posłucham, co mają do powiedzenia, złożę wnioski. Nie martw się, dam sobie radę. Szkoda, żebyśmy obydwójce brali wolne i jeździli.

Super! Hanka zaraz następnego dnia napisała do Ady, że składają papiery. Co ma wpisać w ostatniej sekcji jednego z wniosków? Nie rozumiała zawilej angielskojęzycznej instrukcji, więc Ada szybko jej ją przetłumaczyła. Poza tym wszystko szło jak z płatka. Kanada to przyjazny ludziom kraj! Hanka kupiła sukienkę, w której zamierzała lecieć, i rozglądała się za walizkami. Jak tylko zakończą się formalności, zamierzała spakować najpotrzebniejsze rzeczy i wyjechać. Bez mebli, bez garnków, bez żadnych innych ciężkich rupieci.

— Wszystko wam damy na start, a potem się urządzicie — zapewniała Ada w mailach.

— Nie mogę się doczekać! — piszczała Hanka przez Skype'a, dzwoniąc do Ady ukradkiem z pracy.

I wtedy, nagle, nie wiadomo skąd, przyszedł sen. Cholerny sen. Hanka

siedziała wygodnie w przestronnej cyrkowej łoży, zaraz w pierwszym rzędzie. Na krześle obok przycupnął kruk. Jadł popcorn i nie odzywał się.

Cyrk był ogromny. Kopuła granatowego namiotu znajdowała się tak wysoko, że znikwała w mroku. Arena natomiast była rzęście oświetlona. Na samym jej środku stał klaun. Miał tradycyjny makijaż. Duże, czerwono-białe usta. Błękitne powieki, pokryte farbą aż po łuki brwiowe. Zielony nos. Pasiasta marynarka z okazałym słonecznikiem w butonierce. Kapelusz z gumką. Klaun jak klaun.

Huknęła skoczna muzyka. Trąbki, puzony. Ale klaun, zamiast sadzić susami wokół areny, klaszcząc nad głową w dłonie, stał. Ręce zwisały zrezygnowane wzdłuż tułowia. Hanka była zde gustowana. Takie przedstawienie to nie przedstawienie!

Muzyka ucichła nagle, zakończona efektownym werblem. Wyszyta cekinami kotara w głębi odsunęła się z szelestem i na scenę wkroczył mężczyzna we fraku. Na głowie miał wysoki i lśniący cylinder. W dłoni trzymał bat. Szedł tanecznym krokiem, a bicz włókł się po wysypanej piachem arenie i wił, jakby był żywy. Dyrektor! Teraz dopiero się zacznie! Hanka poprawiła się na siedzeniu.

— Panie i panowie! — zaczął dyrektor tubalnym głosem i trzasnął batem. — Czas na nasz popisowy numer!

Orkiestra zagrała tusz. Na arenę wbiegł czarny koń. Zadudnił kopytami. Zatrzymał się, parskając, i stanął dęba. Tylne kopyta niemal po pęciny zapadły się w piach. Wielki ogier! Rozwiana grzywa przypominała popołudniowy smog. Klaun zaczął szlochać. Hanka przestała bić brawo. Co się dzieje? Na co się zanosi?

— Wsiadaj na konia! — rozkazał klaunowi dyrektor i strzelił z bicza.

Klaun posłusznie spełnił polecenie. Dyrektor zdjął cylinder i ze środka wyjął sznur. Opasał nim klauna i porządnie przywiązał do siodła.

Skończywszy, klepnął konia w zad. Ogier ruszył wokół areny, zagrała muzyka.

— Pierwszy numer! — zawołał dyrektor i strzelił z bata.

Szuru buru, ence pence

Odpadają stare ręce!

Klaunowi odpadły ręce. Nie leciała krew. Po prostu zostały czarne dziury. Publiczność klaskała jak opętana.

— Drugi! — strzelił bat.

Hokus pokus ogi mogi

Odpadają krzywe nogi!

Jeźdźcowi odpadły nogi. Widzowie wstali z miejsc i gwizdali z zachwytem. Hanka skuliła się na krześle.

— A na koniec najlepsze! — Dyrektor wspiął się na palce. Śmignął bicz.

Czary mary owa bowa

Odlatuje głupia głowa

Trzask i prask i ryms i łup

I zostaje zimny trup

Klaunowi odpadła głowa. Oglądający przedstawienie zwariowali. Tupali, klaskali, wyli jak opętani. „Jeszcze raz, jeszcze raz” — skandowali, żądni wrażeń. Hanka zasłoniła uszy dłońmi.

Nikt nie zwracał uwagi na głowę, która potoczyła się kawałek i zatrzymała oparta na kikucie szyi. Cały czas płakała. Makijaż spływał. Wsiąkał w pył areny. Spod niego wyłoniła się znana Hance twarz. Tata!

— Muszę się obudzić! — wrzasnęła Hanka. — Muszę się obudzić!

Sen trwał uparcie. Publiczność przeskoczyła przez bandę, wdarła się na arenę. Ludzie rzucili się na resztki klauna. Wydzierali sobie części ciała, walczyli o strzępy ubrania.

— Nie, nie! — zawołała Hanka, a potem zemdląła.

JANUSZ. Podróż życia

Janusz planował jechać do Warszawy pociągiem. Ruszyłby we wtorek, tym szósta dwanaście. Dojechałby akurat na otwarcie wydziału wizowego, złożył wnioski, a o dwunastej wysłuchał wykładu urzędnika imigracyjnego. Potem miałby jeszcze chwilę na spacer po stolicy, którą dosyć lubił. Po południu ruszyłby do domu.

— Brzmi dobrze! — ucieszyła się Hanka i posłała mu całusa znad obieranych ziemniaków. Janusz uśmiechnął się. Odkąd podjęli decyzję o wyjeździe, Hanka była radosna jak skowronek. On zresztą też miał dobry nastrój.

W sobotę przed wyjazdem do Janusza wpadli goście. Stach i Anka, małżeństwo, które znał od dawna. Stach pracował kiedyś razem z nim w kopalni, ale odszedł na swoje. Otworzył małe biuro rachunkowe, zatrudnił w nim żonę, która co nieco znała się na papierach. Pracowali solidnie, nawet trochę się dorobili. Od czasu do czasu odwiedzali Janusza, aby pokazać zdjęcia z Egiptu czy Turcji. Mężczyzna im zazdrościł, jednak konsekwentnie odmawiał, gdy Stach proponował, by u nich pracował.

— Wspólna praca to koniec przyjaźni — ucinał.

Tym razem Stach i Anka chcieli pochwalić się planami na najbliższy urlop.

— Od wtorku robimy sobie wolne i jedziemy do Warszawy. Na cały tydzień — zakomunikowali.

— O, dobrze się składa, bo ja też jadę! — ucieszył się Janusz.

— Zabierzemy cię, jedziemy samochodem. — Stach klasnął w dłonie.

— Świetnie! O której mam być gotów?

— Siódma rano?

— Dobrze.

W tym momencie weszła Hanka. Postawiła na stoliku tacę i rozstawiła pozamawiane przez gości kawy. Rozłożyła talerzyki, a na środku obrusa umieściła kawałek babki drożdżowej.

— Sama piekłaś? — zapytała Anka.

— Nie, kupna — odpowiedziała Hanka. — Ale smaczna.

— Nie przejmuj się, my niewybredni! — Anka pogłaskała dziewczynę po plecach. Janusz był jej za ten gest wdzięczny. Sam czasem czuł się niezręcznie, całując Hankę. Córka była już dorosła. Czy całuje się dorosłe dzieci na dobranoc? Otrząsnął się z tych dziwnych myśli. Uśmiechnął. Wygładził spodnie.

— Słyszałaś, Haniu? — rzucił. — Anka i Stach zabierają mnie do Warszawy. Nie będę się tłukł pociągiem.

— Tak? — Hanka przysiadła na fotelu. — A po co wybieracie się do Warszawy?

— Na festiwal sztuki cyrkowej! Czujecie? — Stach podskoczył z podekscytowania. Zachichotał jak małe dziecko. — Pokazy linoskoczków, akrobatów — ciągnął. — Sztuczne ognie, teatr światła! Cały tydzień! Na koniec pokaz ujeżdżania. Podobno mają przywieźć konie aż z Madrytu czy z Wiednia. Występy odbywają się w Cyrku Zalewski...

— Przepraszam na moment — przerwała mu dosyć niegrzecznie Hanka. Wstała. Potrąciła stolik. Rozlała się kawa. Janusz patrzył na nią zdziwiony.

— Co się stało? — zapytał.

— Nic, nic, tato. Zaraz tu posprzątam. Przepraszam — mruknęła Hanka i

uciekła do kuchni.

— Haneczko, co się stało? — zapytał Janusz, kiedy goście już poszli.

— Z czym?

— Haneczko, dobrze wiesz. Wtedy w pokoju. Coś cię zasmuciło?

— Nie, tato, nic się nie stało. — Hance latały ręce.

— Haneczko! Proszę cię, przecież widzę.

— Źle się poczułam — odpowiedziała w końcu Hanka. Odwróciła się do zlewu i zaczęła zmywać. Jej ruchy były nerwowe i szarpane.

— Zostaw, ja to zrobię. — Janusz odsunął córkę i sam wziął się za filiżanki. — Usiądź. Napij się wody. Już ci lepiej? — rzucił przez ramię.

— Tak. Tato?

— No?

— Czy mógłbyś jednak pojechać do Warszawy pociągiem?

Janusz zakręcił wodę i wytarł ręce.

— Dlaczego? — zapytał spokojnie.

— Mam jakieś złe przeczucia.

— Przeczucia?

— Wiesz, tyle jest teraz wypadków samochodowych. Pociąg będzie bezpieczniejszy. Jakoś boję się puścić cię ze Stachem i Anką. On jest taki narwany! Zacznie szarżować, ścigać się...

Było w tym trochę racji. Ruszając spod bloku Stach nieźle dał po garach. Miał granatowe audi. Używane, ale żwawe. Ciężko jak żyłeta!

— Tato? — Hanka spojrzała Januszowi w oczy. — Zgódź się!

— Z powodu przeczucia?

— Nie, z mojego powodu. Będę się lepiej czuła, wiedząc, że wybrałeś pociąg.

Janusz pokręcił głową. Hanka nadal potrafiła go urobić. Wystarczyło

jedno spojrzenie, jeden blady uśmiech, błagalny, ale też grożący wybuchem hysterii. Taki jak ten, którym częstowała go jako sześciolatka, prosząc o lizaka. Stuprocentowo skuteczny.

— Dobrze — odpowiedział w końcu. — Zadzwoń do Stacha, coś wymyślę, że mi nie pasuje, i pojedę tym twoim pociągiem. — Ucałował Hankę w czubek głowy i wrócił do mycia naczyń.

HANKA. A nie mówiłam!

Janusz zadzwonił po południu. Hanka wróciła właśnie z pracy i rozpakowywała zakupy. Dzwonek telefonu zaskoczył ją podczas układania jabłek w elegancki stos. Potrąciła je łokciem, obracając się w poszukiwaniu komórki. Poleciały na podłogę, wydając stukająco-plaszczące dźwięki.

— Halo! — rzuciła Hanka, nie patrząc na wyświetlacz.

— Cześć córeczko — odezwał się Janusz. — Załatwiłem wszystko. Jestem na dworcu. Pociąg wyjeżdża z Warszawy zgodnie z rozkładem — powiedział. W tle słychać było niewyraźne mamrotanie dworcowej zapowiadaczki.

— O której będziesz? — zapytała Hanka. Weszła na czworakach pod kuchenny stół i wyciągała jabłka spod kaloryfera.

— Planowo na dziewiętnastą siedem. Ale sama wiesz, jak to jest — ojciec zaśmiał się krótko.

— To nie będę po ciebie wychodzić. Za późno, wieczorem kręci się na dworcu dużo elementu. Poczekam w domu.

— Dobrze.

— Naszykuję kolację.

— Dobrze, Haneczko, ale odpocznij też trochę.

— Okej. Pa, tato!

— Pa!

Zaraz po tej rozmowie Hanka zabrała się za szykowanie kolacji. Gotowanie zawsze zabierało jej mnóstwo czasu. W kuchni jakoś traciła głowę. Odkładała paprykę wysoko na kredens, ciskała patelnie na taborety, bywało, że wrzucała obrane ziemniaki do szuflady. Na niewielkiej przestrzeni potrafiła zgubić dosłownie wszystko.

Tego dnia miała w planie tatara. Zanim zaczęła, wszystko sobie przygotowała. Ułożyła w równym rzędzie na blacie. Mięso i maszynka do mielenia. Dwa jaja. Jedna cebula. Pieprz i sól. Miska. Nóż. Deska do krojenia.

Sprawdziwszy, czy wszystko ma, poszła do pokoju, aby nakryć do stołu. Wyjęła z komody obrus w tulipany. Rozłożyła, przejechała dłonią, aby wygładzić zmarszczki. Obrus miał na środku małą dziurkę wypaloną jakąś świecą. Hanka postanowiła postawić na niej koszyk z chlebem.

Wróciła do kuchni, założyła fartuch i zajęła się mięsem. Za pomocą ostrego jak brzytwa noża pokroiła je w kostkę, wrzuciła do maszynki i włączyła ją. Urządzenie zaczęło pracować, a Hanka zerknęła na jego wylot. Powoli zaczęły się w nim pojawiać mięsne nitki. Ale zamiast być suche i jędrne, wychodziły nieapetyczne.

Hanka podstawiała rękę, aby dotknąć zmielonego mięsa. Na dłoń opadł jej kawałek miazgi. Ścisnęła go. Pocięła wodnista krew. Lodowata. Dziewczyna otrząsnęła się. W tym samym momencie zadzwonił telefon. Hanka z rozmachem cisnęła mięso do miski. Wcisnęła odbieranie. Nieco mazi przykleiło się do ekranu.

— Tak, tato? — zamierzała rzucić. Zamiast tego milczała, oszołomiona dochodzącymi z drugiej strony dźwiękami.

W słuchawce słychać było wrzaski. Jakieś głucho dudnienie. Od czasu do czasu podmuch wiatru. Dalekie jęki.

— Tato — szepnęła Hanka.

— Haneczko, jestem! — odezwał się Janusz.

— Tato, gdzie?

— Była katastrofa. Pociąg się wykoleił. Jestem w wagonie. Przewróconym. Jezu, ludzie, ludzie, ile rannych!

— Tato! Mów dalej!

— Jestem w przedziale. Widzę rozbite okno.

— Wychodź!

— Widzę przejście, może się przecisnę.

— Tato, uciekaj!

— Ale jeszcze ludzie, zabiorę ludzi!

— Tato, nie oglądaj się na nich, uciekaj!

Połączenie się urwało. Hanka pognęła do telewizora. Walnęła pięścią we włącznik. Rozbłysnął. Dziennikarskie sępy już zwietrzyły padlinę. Na pierwszym z kanałów pokazywano zdjęcia z lotu ptaka. Leżące na bokach wagony. Pogiętą lokomotywę. Płonące wokół nich pola. Czarny dym. Na dole ekranu napis: „katastrofa kolejowa — Baby”.

Hanka podniosła do oczu telefon. Wciąż zaciskała na nim dłoń. Wykręciła do Janusza. Nie odebrał. Znowu. Nie odebrał. Przeniosła wzrok na telewizor.

— Nie wiadomo, co było przyczyną wykolejenia się pociągu relacji Warszawa — Katowice — mówiła prezenterka. Za nią widać było biegnących do wagonów miejscowych. Gnali gołymi rękami drzeć blachę i ratować. — Prawdopodobnie zawinił zły stan techniczny torów. Służby ratownicze są już na miejscu. Na uwagę zasługuje fakt, że pojawiły się w rekordowym czasie. Na miejsce jedzie już minister zdrowia.

Faktycznie. Nad pobojowiskiem niczym ogromne szerszenie unosiły się helikoptery. Miedzami gnały w obłokach pyłu karetki i wozy strażackie.

Wiele stało nieopodal miejsca zdarzenia, migając światłami. Wokół pociągu roilo się od odzianych na czerwono ratowników. Migaly żolte helmy strażaków, którzy skakali po kupie złomu, szukając dojścia do uwięzionych wewnątrz ofiar.

— Szukajcie go! — ponaglała ich Hanka.

Ratownicy powoli wyciągali z wagonów kolejne osoby. Pomagali im dojść do karetek. Ofiary kulały. Ofiary krwawiły. Czasem unosiły wzrok do góry, żegnały się. Gdzieniegdzie leżały czarne worki. Trupy...

Kamera znowu pokazała obraz z góry. Wokół pociągu kręciły się setki ludzi. Obleźli przewróconą lokomotywę niczym mrówki zdechlą dżdżownicę. Szukali, biegali. Prezenterka fachowo komentowała.

— Jest to największa kraksa od lat siedemdziesiątych. Wtedy zginęło ponad trzydzieści osób. Na razie nie znamy liczby ofiar w Babach, ale ratownicy szacują ją na przeszło piętnaście osób. Dziesiątki ludzi odniosło rany. Najbardziej poszkodowani przewożeni są do szpitali specjalistycznych na Śląsku. — Nad „Tysiącleciem” przewalił się z rykiem helikopter. Leciał pewnie z Bab. Pomknął w kierunku Jastrzębia. — Podajemy numer telefonu, pod którym można dowiadywać się o losy najbliższych podróżujących pociągiem. Dwa, dwa, siedem, osiem jeden, czterdzieści, trzynaście.

Hanka dodzwoniła się do informacji niemalże od razu.

— Hanna Borowska. Janusz Borowski. To mój ojciec. Był w pociągu.

— Proszę o cierpliwość.

Zaszeleściły kartki. Słuchać było, że operatorka zakrywa dłonią słuchawkę. Coś mówi.

— Przepraszam — odezwała się w końcu. — Musiałam coś sprawdzić. Pan Borowski nie żyje.

— Jak to?

— Mam go na liście.

— Ale dzwonił do mnie po zderzeniu, z pociągu!

Operatorka znowu zakryła słuchawkę.

— Halo? — zagadała po chwili. — Faktycznie. Mógł dzwonić.

— No i dzwonił. Jak zmarł? Jak mi to pani wyjaśni!?

— Proszę pani, pani ojciec... miał... odciętą głowę... Próbował... wyjść przez okno... Spadła szyba. Resztką. Ostra. Jak ostrze gilotyny. Zmarł. Przykro mi — zakończyła szybko kobieta i rozłączyła się.

HANKA. Martwa cisza

Hanka odłożyła słuchawkę, po czym podniosła ją ponownie z zamiarem wykręcenia numeru Ady i Mietka. Zawahała się na moment i w myślach przeliczyła czas. Stwierdziwszy, że w Kanadzie jest wczesne popołudnie, wystukała numer.

— Cześć, Ada — przywitała się.

— Hania! — Ada najwyraźniej ucieszyła się, słysząc głos kuzynki. — Ale masz szczęście! Dzisiaj wróciłam wcześniej do domu! Zaraz jedziemy z tatą po nowy zlew, bo stary jest kompletnie porysowany. Fajnie, że dzwonicz!

— Tak. Faktycznie dobrze, że cię zastałam. — Hanka recytowała sztywno, dzieląc słowa na sylaby jak tandetna zabawka.

Ada przez chwilę milczała. Słyszać było tylko jakieś ciche trzaski. W końcu zapytała, czy wszystko w porządku. Bo głos Hanki brzmi tak jakoś dziwnie, jakby Hanka znajdowała się w innej galaktyce. A może to po prostu kiepskie połączenie?

— Ada — Hanka nadal mówiła obojętnym tonem. — Tato nie żyje. Zginął w wypadku na kolei. Przed chwilą się o tym dowiedziałam. Nie wiem, kiedy będzie pogrzeb, ale to nie ma sensu, żebyście przylatywali. Załatwię wszystko i przyjadę zgodnie z planem.

— Co? — Ada zaczęła płakać. Gdzieś w tle dało się słyszeć Mietka. Chyba właśnie wszedł i dopytywał, co się stało.

— Załatwię wszystko, wypowiem pracę, sprzedam mieszkanie i przyjadę — nadal ten sam równy głos, bez emocji, bez drżenia. — Ada, słyszysz?

— Tak, słyszę. Hanka, wszystko w porządku? Ty jesteś chyba w szoku... Idź do lekarza, Hania! Wszystko w porządku?

— Tak, jest dobrze. Dam sobie radę. Żaden szok. Tak po prostu bywa. Na

razie — Hanka pożegnała się stanowczo i odłożyła słuchawkę.

Usiadła i od ręki sporządziła dokładny plan. Nie zamierzała biegać pięć razy do zakładu pogrzebowego ani tracić czasu w urzędach. Wykaz zadań powiesiła na lodówce. Jedząc następnego ranka śniadanie, jeszcze raz go przeczytała.

— Czyli najpierw telefon do biura i wolne, a potem załatwić pogrzeb i stypę — mruknęła, siorbiąc kawę.

Wzięła dwa dni urlopu. Zamówiła księdza, załatwiła miejsce na cmentarzu, uzgodniła wszystko w zakładzie pogrzebowym.

— Czy dysponują państwo grobem rodzinnym? — padło pytanie.

— Nie. — Hanka nie zamierzała chować ojca razem z Sabiną.

Dowiedziała się, gdzie można tanio ugościć żałobników. „Patria”. Poszła tam. Mieli miejsca. Ustaliła jadłospis, z obowiązkowym rosołem i schabowym, podała liczbę gości, wręczyła zaliczkę.

W drodze powrotnej zahaczyła o sklep specjalizujący się w strojach pogrzebowych. Kupiła jeden dla Janusza, tak jak prosili w zakładzie. Drugi dla siebie. Przez moment myślała o butach, które ojciec kupił jej na pogrzeb matki, ale natychmiast skarciła siebie za te niepotrzebne wspominki. Nie czas teraz na takie rozważania, trzeba zakasać rękawy i działać, bo wyjazd lada moment! Nie wolno żałować! Zakaz płakania!

Ojca pochowała z należytych szacunkiem. Sztywno siedziała w pierwszej ławce, odziana w czarną garsonkę bez jednej fałdki. Stąpała ostrożnie zaraz za trumną, jako pierwsza rzuciła na wieko garść ziemi. Z godnością wysłuchiwała pogrzebowych mów i kondolencji. Przesiedziała stypę, niewiele jedząc, ale dbając, aby innym niczego nie zabrakło.

Wróciwszy do mieszkania wykreśliła pierwsze dwa punkty z listy, napiła się herbaty i poszła spać. Żeby nie myśleć niepotrzebnie o tym, co się stało. Następną do załatwienia była sprawa pracy. Proste. Hanka złożyła rezygnację

zaraz po pogrzebie.

— Wyjeżdżam do rodziny za granicę, chciałabym krótszy termin wypowiedzenia — poprosiła, a w zasadzie zażądała.

Szefowa nie robiła jej trudności.

— Gdybyś potrzebowała parę dni wolnego, żeby coś załatwić, spakować, daj znać. Jakoś się to zorganizuje — zaoferowała hojnie.

Hanka przez chwilę miała ochotę powiedzieć jej, że przecież i tak ma zaległy urlop, więc wolne to żadna łaska. Albo wolne, albo ekwiwalent pieniężny za niewykorzystane dni. W końcu machnęła ręką. Lepiej, żeby babsko żyło w przeświadczeniu własnej dobroci. Mniej będzie doskwierać.

Trzydzieści dni później Hanka pojawiła się w biurze po raz ostatni. Przez ten czas załatwiła praktycznie wszystkie zaplanowane sprawy. Była spakowana. Miała paszport, wizę, za kilka dni zamierzała kupić bilet na samolot. Czekwała na jakąś promocję obiecaną przez biuro podróży. Nie udało jej się co prawda sprzedać mieszkania, ale uzgodniła z Ramową, że lokal wynajmie się jakiejś kuzynce starej sąsiadki. Czynnysz będzie odsyłany raz na kilka miesięcy do Kanady.

— Przypilnuję, żeby nic się nie zniszczyło, jakbyś kiedyś chciała wrócić — obiecała Ramowa.

— Nie wrócę — odparła Hanka, pakując do kolejnego pudła stare ubrania.

— A co z tym będzie? — Ramowa zainteresowała się zawartością. Chętnie pomagała w porządkowaniu mieszkania w zamian za sterty przedmiotów, których Hanka już nie potrzebowała.

— Nie wiem. Wyrzucić? — Hance było obojętne.

— Zostaw, ja się tym zajmę, jak pojedziesz.

W ostatni wtorek w pracy Hanka pożegnała się z kolegami i koleżankami.

Dostała na pamiątkę wieczne pióro i jakiś notes. Je również zamierzała zostawić sąsiadce. Żadnych pamiątek. Żadnych!

— Do widzenia! — rzuciła wszystkim na odchodnym i wyszła z biura zaraz po osiemnastej. Szefowa zatrzymała ją tak długo, aby zakończyć wszystkie otwarte sprawy. Nie szkodzi. Byleby niczego więcej nie chciała. Byleby zamknięcie za sobą przeszkłonych drzwi oznaczało definitywny koniec pracy w tym miejscu.

Wsiadła do pierwszego nadjeżdżającego autobusu. Wlókł się niemilosiernie, zasapany i znużony, a Hanka wyglądała przez okno, za którym przesuwał się szary, przemysłowy krajobraz, bez drzew, bez krzewów, bez trawników. Co za różnica, którą linią jedzie się przez Katowice? Wszędzie jest tak samo. Beton, beton, beton.

Wyskoczyła na przystanku w dolnej części osiedla i ruszyła pustawym już „Tysiącleciem”. Gdy wyszła zza rogu, zerknęła odruchowo w swoje okna, oczekując w nich różowego światła — klosz w kuchni miał barwę wścieklej landryny. Dziś okno było czarne. Nikt nie świecił na różowo, odgrzewając późny obiad.

Podobnie nikt nie czekał przy drzwiach ani nie wołał sprzed telewizora, że w dzienniku skandale. Hanka powoli zdjęła buty i usiadła na podłodze w przedpokoju. Powieszona na hakach płaszcz zdawały się falować jak w tanim filmie o duchach. Z kuchni wpadało do przedsionka światło latarni. Penetrowało załomy ścian, macało je, rozszczepiając się na kilku starych pajęczynach. Zadzwoił telefon. Jeden, drugi sygnał. Hanka przeczekała. Nie chciało się jej wstać. Zamilkł. Podniosła się i ruszyła do pokoju.

Gdzieś w głębi sekretarzyka znalazła pół litra i niedokończoną whisky. Dobrze. Nieważne co, ważne, żeby sponiewierało. Z kuchni przyniosła andruty i jakieś pikle. Wódkę trzeba czymś przytrzymać w żołądku. Usiadła z sapnięciem na kanapie i nalała sobie od serca. Piła jak należy, w tempie, od

czasu do czasu zakąszając kwaszonym ogórkiem albo octowym patisonem. Padła jak ścięta.

Gdy tylko zasnęła, pojawił się kruk. Przyszedł po raz pierwszy od czasu śmierci Janusza. Najwyraźniej był nieco skruszony, ponieważ schował łepkę pod skrzydło i siedział bez ruchu na stoliku.

— A kysz! — wybełkotała, widząc go Hanka. Uniosła się na łokciu i zamachnęła, aby zrzucić kruka z ławy. Straciła przy tym równowagę i spadła na podłogę. Ptaszysko zerknęło na nią i zdecydowało się odezwać.

— Chcę cię jakoś pocieszyć! — zadeklarowało.

— Nie jest mi smutno. Spierdalaj! — rzuciła Hanka, gramoląc się na kanapę. — Mogłeś mi powiedzieć dokładniej, co stanie się z tatą!

— Ale to jest zagadka! Taka gra! — bronił się kruk.

— Gra?!

— To jest gra, gra, w której nie zdradza się wszystkiego! Musisz myśleć!
— Kruk tłumaczył to Hance jak tępemu dziecku ułamki.

— Pierdolę twoją grę, wynoś się!

— Gdybyś uważała, odgadłabyś bez trudu, co się stanie! — rozdarł się ptak.

— Idź sobie! Zaraz wyjeżdżam i nie mam czasu na twoje zabawy.

— Jeżeli pójdę, stracisz szansę uratowania Ady i Mietka! — zagroził kruk.

— Co?! — Hanka w jednej chwili wytrzeźwiała.

— Zginą. A przynajmniej mają duże szanse. Możesz ich uratować. Chcesz — zabieram cię na wycieczkę. Miej oczy otwarte, a zgadniesz. Nie chcesz — do widzenia. Idę sobie i nie przyjdę więcej! — Najwyraźniej przyjaciel Hanki był lekko obrażony, bo odwrócił się do niej tyłem. Hanka przycisnęła pięść do ust. Przez minutę siedziała bez ruchu.

— Dobra, lecimy — powiedziała w końcu i skoncentrowała się.

Zobaczyła Adę i Mietka wchodzących do restauracji. Nad osłaniającą wejście do knajpy markizą wisiał szyld przedstawiający czarnoskórego mężczyznę. Jego splecione w dredy włosy opasywała żółta chusta. Prawa dłoń postaci obrócona była wewnątrz do patrzących, jakby błogosławiła wchodzącym do bistro gościom. „U Szamana” głosił ogromny napis utrzymany w bijącej po oczach kolorystyce.

Gdy za kuzynką i wujem zamknęły się drzwi, Hanka automatycznie przeniosła się do wnętrza restauracji. Było kompletnie puste, co ją zaskoczyło — o tej porze spodziewałaby się większego ruchu, a w restauracji nie było ani jednego gościa.

Ada i Mietek zasiedli do stolika, a zgięty wpół kelner podał im karty. Zamówili bez zbędnego zastanawiania się, jakby często tam jadali. Obsługujący ich mężczyzna w mgnieniu oka podał wino, a chwilę później z kuchni wyszedł sam szef, niosąc na tacy ich dania. Hanka zauważyła, że do złudzenia przypomina postać na szyldzie.

— Smacznego! — życzył gościom, a potem wraz z kelnerem zniknęli na zapleczu.

Ada i Mietek rzucili się na swoje talerze. Jedli szybko, jakby potrawa niesamowicie im smakowała. Przypominające gulasz danie zniknęło w jednej chwili, a oni oparli się wygodnie i kontemplowali posiłek.

— I to wszystko? — zdziwiła się Hanka.

Gdy tylko to powiedziała, Ada i Mietek chwycili się za brzuchy.

— Ratunku! — krzyknęli jednocześnie i runęli na podłogę, zwijając się jak trącone patykami stonogi. Mięśnie na ich twarzach drżały.

— Ratunku! — wołali raz po raz, wierzgając i próbując złapać się stołu, by wstać, ale nikt nie przychodził im z pomocą. W końcu Mietkowi udało się jakoś obrócić na brzuch. Wuj klęknął na kolanach.

— Niedobrze mi! — wybełkotał i zwymiotował. Zwracał własną krew.

— Tato! — Ada próbowała doczołgać się do niego.

Mietek upadł znowu. Jego ręce i nogi zeszywniały niczym sparaliżowane, a ciało lśniło od potu. Nagle dostał drgawek. Przez chwilę tłukł głową o drewnianą podłogę, a potem znieruchomiał.

— Tato! — zawołała jeszcze raz Ada, a potem i ona tak samo umarła.

— I jak, wiesz, o co chodzi? — zapytał kruk, gdy wrócili z wyprawy.

— Nie wiem. Musisz mi pokazać więcej! — Hanka postanowiła być stanowcza.

— Pokazałem ci bardzo dużo!

— Potrzebuję więcej informacji!

— Lepiej nie marudź, tylko bierz się do roboty. Niczego więcej ci nie powiem. Tracisz czas! — kruk zamachał skrzydłami i zniknął.

Zaraz po przebudzeniu Hanka rzuciła się notować sen. Ręce dygotały jej z powodu kaca i przerażenia. Koślawe litery ciężko było odczytać, ale bała się, że po chwili zapomni. Zapisała dwanaście stron. Przeczytała je raz, potem drugi.

— Oni umrą z powodu zatrucia? — zastanawiała się. Jej zdaniem byłoby to zbyt proste. Kruk nie gustował w tak czytelnych snach.

Na wszelki wypadek Hanka zadzwoniła do Kanady. Jeden raz, potem drugi i dziesiąty. Głucho. Może dokądś wyjechali? Albo wyszli? Może po prostu popsuł się im telefon? Tak, z pewnością to awaria!

Dla spokoju postanowiła wysłać wiadomość. Narzuciła dres, zebrała włosy w nieporządną kok i powędrowała do kafejki internetowej. Ada z pewnością na bieżąco sprawdza pocztę w pracy. Wysłała krótki tekst. „Proszę, odezwij się, telefon u was nie działa”. Wcisnęła przycisk „Wyślij” i

czekała. Przy okazji szukała w sieci strony restauracji, w której Ada i Mietek mogliby jeść. Jakiegokolwiek lokalu w Toronto, kojarzącego się nawet w daleki sposób z szamanem, o podobnym jak we śnie szyldzie, o takich samych markizach. Pudło. Nie znalazła nic.

— To nie o to mu chodzi, to nie o to! — mamrotała, przeglądając kolejne witryny. Siedziała w kafejce aż do jej zamknięcia. Odpowiedź nie nadeszła. Nie pojawiła się też kolejnego dnia. Ani dwa dni później. Hanka dzwoniła do Kanady co pół godziny. Głucho.

Przeglądała wszystkie możliwe senniki. Poszła do jednej i drugiej wróżki. Przeanalizowała horoskopy. Kupiła talię tarota i próbowała coś z niej wyczytać. Raz po raz analizowała swoje notatki. Zadzwoiła nawet do telewizji ezoterycznej z prośbą o pomoc. Nic. Nic. I jeszcze raz nic. Nie potrafiła rozszyfrować zagadki.

Następnego dnia była umówiona w biurze podróży, w którym miała kupić bilet na samolot. Nie zamierzała tego odkładać, poleci niezależnie od tego, czy Ada się odezwie, czy nie.

Rano próbowała zjeść śniadanie, ale nic nie chciało jej przejść przez gardło. W końcu zrezygnowana narzuciła na siebie byle co i poszła do miasta piechotą, licząc, że spacer pomoże jej trochę się uspokoić.

Kupiła bilet za całkiem niezłą cenę. Wracała niespiesznie, jak zwykle obserwując płyty chodnikowe, obojętna na innych przechodniów, trąbienie samochodów i zgrzyt tramwajów. Przechodziła właśnie obok sklepu ze sprzętem elektronicznym, gdy jej uwagę przykuła efektowna wystawa. Stał na niej srebrny telewizor, nowoczesny i błyszczący. Był włączony. Hanka stanęła i przysunęła się maksymalnie do szyby, aby dokładnie obejrzeć program.

— Nie — wyszeptała. Szarpnęła drzwi i wbiegła do środka.

Wpadła do chłodzonego klimatyzacją pomieszczenia pomiędzy rzędy

ogromnych, płaskich telewizorów. Czują jakby urządzenia ją osaczały. Każde pokazywało kanał z wiadomościami. Na ekranach migał niewyraźny obraz, a na dole jarzył się napis. „Tragedia na premierze filmowej w Toronto. Czternastu zabitych, trzydziestu rannych. Szaleniec strzelał z broni maszynowej”. Obraz na ekranach zmienił się. „Wczoraj na premierze filmu „Kuchnia doktora Voo Doo” doszło do tragedii. Uzbrojony napastnik wtargnął do kina i śmiertelnie ranił z broni maszynowej czternaście osób. Trzydziestu rannych walczy o życie...”

Hanka nie słuchała dalszego ciągu, bo na środku największego ekranu pojawił się promujący film plakat. Czarnoskóry mężczyzna, dredy, żółta opaska. Uniesiona jak do błogosławieństwa dłoń o różowym wnętrzu i brązowym wierzchu.

Nie pamiętała, którądy i jak wracała do domu. Otrzeźwił ją zgrzyt klucza w zamku. Spojrzała na swoją dłoń zaciśniętą na klamce. Przez moment nie wiedziała, do kogo należy. Która jest godzina? Potem przyszło otrzeźwienie. Ada. Mietek. Co z nimi?

— Myśl, kretynko! — wrzasnęła sama na siebie.

Zamknęła drzwi z powrotem. Kafajka internetowa! Wyszukała informacje o tym, do którego szpitala przewieziono ofiary zamachu. Poczta! Kupiła dziesięć kart telefonicznych. Wykręciła do Toronto General Hospital i łamaną angielszczyzną próbowała wypytywać o krewnych.

— Nie mogę pani w niczym pomóc. Nie udzielamy informacji telefonicznie — odpowiedziała jakaś kobieta, gdy Hance udało się w końcu wyjaśnić, w jakiej sprawie dzwoni.

— Cholerny świat, chyba nie wytrzymam z tymi Kanadyjcami! — zakląła Hanka w ojczystym języku, słysząc obojętny ton recepcjonistki szpitala. Chciała się z rozmachem rozłączyć, ale rozmówczyni nagle odezwała się po polsku. Zaskoczona Hanka spojrzała ze zdziwieniem na

słuchawkę.

— Proszę pani — powiedziała. — Ja też jestem Polką! Przyjechałam tu jakiś czas temu i jestem pielęgniarką. No, prawie pielęgniarką. Nie wolno nam nic mówić przez telefon, ale dla rodaczki zrobię wyjątek. I tak nikt tu niczego nie zrozumie. Proszę słuchać! Jego przywieźli martwego. Był niemal przecięty kulami na pół. Cały brzuch poharatany! Ale pani Ada żyje. Ojciec próbował ją osłaniać i dlatego tak dostał. Wszyscy tu na oddziale płakali, jak się o tym dowiedzieli. On ją osłaniał własnym ciałem przed tym szaleńcem! — Kobieta zaczęła płakać. — Ona żyje. Też dostała w brzuch. Trzyma się ledwo, ledwo. Jest na intensywnej terapii. Jeżeli się ocknie, przekażę jej wiadomość. Postaram się, żeby do pani zadzwoniła. Niech mi pani poda numer. Zrobię wszystko co w mojej mocy!

Telefon zadzwonił w nocy. Hanka zasnęła na siedząco w fotelu, ale obudziła się po pierwszym dzwonku.

— Ada? — rzuciła do słuchawki bez tchu.

— Hania? — wyszeptał znany jej głos.

— Ada! — Hanka wstała gwałtownie z fotela. — Ada, mam bilet. Przylatuję za cztery dni. Ada, proszę cię, trzymaj się. Zaraz u ciebie będę!

— Czekam, Haniu! — Głos Ady był prawie nie do usłyszenia.

Po chwili coś zastukało i odezwała się pielęgniarka.

— Pani Haniu, to ja! — powiedziała półgłosem. — Żle z nią, ale proszę nie panikować. Słyszałam, że pani przyjedzie, proszę wybaczyć, ale podsłuchiwałam. Niech pani się pakuje i przylatuje. My tu o nią zadbamy! Spokojna głowa! Zadbamy! Muszę kończyć, bo mnie złapią, że tu jestem, a nie mam uprawnień! Pa!

Nieznajoma Polka z Toronto zadzwoniła raz jeszcze, nad ranem polskiego czasu. Hanka właśnie zamykała walizkę. I tak nie mogła spać, więc

zabrała się za pakowanie.

— Pani Haniu — zaczęła kobieta, a Hanka upuściła trzymaną w ręce kosmetyczkę. — Mam złe wieści. Ona właśnie zmarła. Niepotrzebnie ją męczyłam tą rozmową... Tak mi strasznie żal. Niepotrzebnie żeście gadały!

Hanka odłożyła telefon na stół. Spokojnie, bez emocji. Potem ściągnęła z kanapy poduszki. Zwlekła koc. Wszystko rzuciła na środek pokoju. Obłożyła krzesłami. Dorzuciła przyniesionych z sypialni książek. Dodała zwinięte w kłębek firany. Z kuchni przyniosła dwa drewniane taborety. Olej! Przyda się! Połała stos olejem. Mamrotała pod nosem.

W płomieniach się wszystko oczyszcza

Najlepsze są czarne zgliszcza

Żyzna jest gleba spalona

Popiołem łąk nakarmiona

Kłqtwę odczytać można

Tylko z pomocą ognia

Weszła do łazienki i z półki zdjęła dezodorant.

— Jesteś przeklęta! — powiedziała do swojego odbicia i wykrzywiła twarz. — Ale twój czas jest policzony, czarownico!

Wróciła do salonu, do swojego stosu. Nacisnęła spust aerozolu. Zapachniało fiołkami. Przyłożyła pod wylot butelki zapalniczkę. Pstryknęła. Buchnął płomień, mocny niczym z miotacza.

— Koniec z tobą! — wycedziła i skierowała wylot aerozolu na górę rzeczy.

Żar chwycił się oleju, a zaraz potem zaatakował taborety. Przeskoczył na poduchy. Pochłonął firany. Bryzgnął pod sufit. Hanka usiadła na podłodze. Patrzyła jak żywioł pochłania meble, dywan, parkiet. Owionął ją słodko

pachnący dym. Wcisnął się do gardła. Łzawiły oczy. Nagle przez huk płomieni usłyszała wołanie.

— Hanka, Hanka!

To była Ramowa. Przyszła po nią! Nie!

— Hanka! — Ramowa złapała Hankę za ramię. — Co się dzieje? Uciekajmy!

— Nie, ja zostaję!

— Hanka! Wezwałam straż, chodź! — Ramowa chyba nie zrozumiała.

— Nie, ja nie chcę. Jestem przeklęta!

— Hanka!

— Nie!

— Haneczko, przepraszam, ale nie będę tego słuchać! Wyciągnę cię stąd, nawet wbrew twojej woli! — Ramowa porwała z kredensu kryształowy wazon i z rozmachem przywaliła Hance w łeb. Zanim Hanka zdążyła krzyknąć z bólu, straciła przytomność.

HANKA. Jestem normalna

Wylądowała w szpitalu psychiatrycznym na oddziale specjalnym. Jego wyjątkowość polegała na tym, że pacjentów zamykano starannie w izolatkach. Co bardziej nerwowych chorych przywiązywano do łóżek pasami. Dla ich dobra, to fakt. Gdyby Hanka nie była mocno przypięta do pryczy, pewnie rozerwałyby zębami szwy na nadgarstkach. Albo waliłaby głową w ścianę do utraty przytomności.

Szarpanie się nie miało sensu. Wykwalifikowany personel porządnie wykonywał swoją robotę. „U nas nie umrzesz!” — idealny slogan dla tej bandy. Hanka przestała walczyć. Postanowiła też nie wyzywać pielęgniarek i nie pluć na nie. I tak potrafiły bez większego problemu wpakować jej zastrzyk. Im bardziej się wydzierała, tym więcej dostawała na wstrzymanie.

Uspokoiwszy się, wodziła oczami za wchodzącymi do jej izolatki pracownikami szpitala. Może spieszy ich taka ciągła obserwacja? Nie, nadal robili swoje. Z uśmiechem, bez pośpiechu. Prawdziwe zakały!

Pewnego dnia pojawił się obcy. Miał przerzedzone na czubku głowy włosy i trzydniowy zarost. Niewysoki.

— Paweł Niewiara — przedstawił się. — Psychiatra, psychoterapeuta. Chcę z tobą porozmawiać i jakoś pomóc. Co mogę dla ciebie zrobić?

— Wypierdalać stąd w podskokach — zasugerowała Hanka i zamknęła oczy.

Paweł Niewiara, debil o kretyńskim nazwisku, był wytrwały. Przychodził codziennie, zaglądał w kartę Hanki, zagadywał do niej.

— Ładna dziś pogoda, co? — pytał.

— Wypchaj się. — Hance powoli kończył się zasób przekleństw.

— Czemu mnie atakujesz? — Paweł patrzył jej łagodnie w oczy.

— Wal się.

— Okej. Mogę się walić. Ale będę tu przychodził. Poczekam, może zechcesz pogadać.

Pewnego dnia do uszu Hanki dotarło echo zażartej dyskusji prowadzonej w dyżurce. Pielęgniarki, Paweł i ordynator o coś się spierali. „Ona, ona” padało raz po raz. Kto? O kim mówią? Hanka się skoncentrowała.

— Nie można jej odstawić diazepamu, bo rozniesie oddział! — grzmiał ordynator.

— A może zmniejszyć? — podpowiadał piskliwy głos pielęgniarki oddziałowej.

— Wycofać. Wycofać zupełnie! To jedyne rozwiązanie! Jej to szkodzi, a nie pomaga! — To Paweł.

— Ty chyba oszalałeś! — Ordynator grzmiał niczym ksiądz z ambony.

— Nie ma mowy!

— Moim zdaniem to jedyna droga. — Paweł dobitnie cedził kolejne sylaby. — Przestać ją pacyfikować. Dać jej coś tylko na noc. Nawet nie jestem w stanie dowiedzieć się, o co dziewczynie chodzi, bo bełkocze naćpana! Chcesz ją uzależnić? Chcesz?

— Albo tak, albo się powiesi, kurwa, jak ten w zeszłym miesiącu! — Ordynator wszedł na wysokie C.

— Ale Hanka nie jest nim! — krzyknął Paweł i walnął w coś. Chyba pięścią. Hanka podniosła głowę. Chodzi o nią!

— Paweł...

— Żadne „Paweł”! Daj mi szansę. Dogadam się z nią! Pal licha szansę dla mnie! Jej daj szansę! Czuję, że się uda! Proszę!

— Paweł, ciszej... — zasugerował ordynator. Trzasnęły zamykane drzwi. Ucichło.

Następnego dnia Niewiara zjawił się u Hanki z samego rana.

— Będziesz wolna, ale jest warunek. Żadnych numerów! — ostrzegł i odpiął jej pasy.

Hanka usiadła. Nawet nie wiedziała, że zwykłe siedzenie może być tak przyjemne! Rozruszała ściernięte ramiona, zeskoczyła z łóżka, podeszła do okna. Świat! Jest, nadal tam jest! Liście już zleciały z drzew i zimno się robi, chyba... Hanka oparła głowę o szybę i rozplakała się.

Dlaczego mu zaufała? Nie miała pojęcia. Czy ujęło ją to, z jaką zaciętością o nią walczył? A może nieustępliwość, z jaką przychodził i pytał ją o samopoczucie? Na to pytanie Hanka nie знаła odpowiedzi.

Ich relacja była relacją dzikiego, tchórzliwego zwierzątka i cierpliwego opiekuna. Psycholog nie poganiał Hanki, po prostu czekał, aż ona sama zdecyduje się przed nim otworzyć. Opowiadał też sporo o swoim życiu, jakby chciał dać jej coś od siebie.

Hanka dowiedziała się, że Niewiara miał kiedyś żonę i dziecko. Niestety związek nie wytrzymał w obliczu zaangażowania Pawła w leczenie pacjentów. Niewiara nie dość, że często o najdziwniejszych porach jeździł do szpitala, to podawał swoim podopiecznym domowy numer telefonu i adres. Bywało, że naćpani, kompletnie zalani, pukali do drzwi, a on ich wpuszczał, czyścił im ubrania, karmił, kładł spać.

— Taką mam pracę! — tłumaczył żonie.

— Nie zgadzam się na nią! — ripostowała ona.

— Potrzebują pomocy!

— Twój syn się ich boi! Jest przerażony! Ja też!

W końcu odeszła. Zabrała dziecko i wyjechała. Znalazła sobie jakiegoś biznesmena prowadzącego tartak w okolicy Miasteczka Śląskiego. Ponownie wyszła za mąż, ma z tym facetem dwoje dzieci. Jest szczęśliwa, syn również. Z Pawłem nie utrzymują żadnych kontaktów poza rzadkimi prośbami o zgodę na wyjazd za granicę.

Hanka słuchała i myślała. Słuchała i było jej żal tego spokojnego człowieka, który poświęcił własną rodzinę na rzecz chorych. Na rzecz takich jak ona, szajbusów. Słuchała i chciała go pocieszyć, powiedzieć „Hej, ja mam gorzej!”.

Opowiedziała Niewiarze o Sabinie, o jej zamiłowaniu do wódki. O biciu. O śmierci Bartka. Potem o życiu bez matki wśród wścibskich sąsiadów, plotkujących o niej po kątach. O utracie przyjaciółki. O nadziei na ucieczkę z kraju i śmierci ojca. A potem Ady i Mietka. Paweł słuchał i od czasu do czasu dopytywał o szczegóły. Kiwał głową. Nie poganiał.

— Obiecuję ci, że będzie lepiej. Że będziesz żyć normalnie — powiedział w końcu.

— Po co? I tak nie mam nikogo. Nie mam pracy, nie mam rodziny, nie mam życia. Nic!

— Wszystko da się jakoś poskładać...

— Jak?

— Ja jakoś poskładałem... Nie jest aż tak trudno! — Niewiara uśmiechał się łagodnie.

Nie oceniał jej. Nie dawał kretyńskich rad. Dawał nadzieję.

— O czym marzysz? — pytał.

— O normalnej rodzinie. Matce i ojcu, którzy się mną zajmą. O rodzeństwie, które będzie ze mną na zawsze — Hanka płakała. — I co? Co z tym zrobisz? Cofniesz czas? — atakowała.

— Nie cofnę. Ale możesz sama zadbać o to wszystko, czego pragniesz. Sama. Na siebie masz nieograniczony wpływ.

— A czy kiedykolwiek stąd wyjdę, żeby żyć jak człowiek? — Hanka wiedziała, że jest na leczeniu przymusowym. Stanowiła zagrożenie dla społeczeństwa. Dopóki nie doprowadzi się do ładu, nie opuści tego więzienia.

— Wyjdiesz. Pomogę ci. Zwrócę ci życie.

Kruk od czasu do czasu wpadał do Hanki. Chyba nie przepadał za relanium, bo wizyty były rzadkie i krótkie. Kręcił się chwilę po pokoju i odlatywał, nie proponując żadnych wycieczek.

— Nie mów mu o mnie, temu twojemu niedowiarkowi! — ostrzegał Hankę podczas każdej z takich wizyt.

— Niewiarze. On nazywa się Paweł Niewiara — poprawiała Hanka.

— Wszystko jedno. Nie mów nic!

— A niby czemu? Boisz się? — Dziewczyna hardo unosiła podbródek.

— Daj spokój, on gównu może — śmiał się ptak. — Po prostu nie zrozumie. Zrani cię.

— Ty mnie ranisz. Ty i te twoje sny. Dlaczego nie przepowiesz mi czegoś miłego dla odmiany?

— Ech... — Kruk był po części rozbawiony, a po części zirytowany. — Każdy głupi umie obiecać bogactwo, szczęście, zdrowie i miłość. Każda, nawet byle jaka wróżka. Nieszczęście to wyzwanie. Mało kto chce się z nim zmierzyć.

— Sabina nie chciała, co? — wypaliła Hanka, która od dłuższego czasu miała ochotę porozmawiać na ten temat.

— Sabina? Czemu nagle wyciągasz trupa z szafy? — zaśmiał się zaskoczony ptak.

— Widziałam tatuaż na jej ręce. Też do niej łąziłeś? — Dziewczyna wstała z łóżka i zaczęła przemierzać pokój drobnymi krokami, które jako dziecko nazywała tip-topkami.

— Aha, zebrało ci się na wspominki... — Kruk pokręcił łebkiem i westchnął. — Tak, odwiedzałem ją. Ale niczego nie rozumiała. Ciągle tylko paliła te swoje papierosy, piła i beczała. Zwariować można. Ja potrzebuję otwartego umysłu, poszukującego prawdy, a nie mózgu przepitej pani domu. Potrzebuję filozofa, myśliciela...

— Jak mogłeś? — Hanka złapała się za głowę.

— Co mogłem?

— Jak mogłeś ją zabić? Ty pieprzony szcurze, jak mogłeś?

— Ciszej, bo ktoś przyjdzie! — ostrzegł kruk. — Wcale jej nie zabiłem. Sama się wykończyła. A że niczego nie pojmowała, to fakt.

— Przestań! Nie mów tak o niej! — wrzasnęła Hanka.

— A co, nagle ją kochasz? Za to, co zrobiła Bartkowi może? To też wynik jej głupoty.

— Co?!

— Pstro! — Kruk najwyraźniej uznał temat za wyczerpany. Hanka wręcz przeciwnie.

— Powiem Niewiarze wszystko. Wszystko powiem! Zabiłeś wszystkich! To twoja wina! — Hanka miała ochotę urwać krukowi durny łeb. On tylko zrobił obrażoną minę.

— Powtarzam ci raz jeszcze: nikogo nie zabijałem — rzucił z godnością. — Zabiło ich życie. A ty nie potrafiłaś tego przewidzieć. Chcesz powiedzieć Niewiarze? Proszę, mów. Sama się przekonasz, że to nic nie da. — Gdzieś w głębi oddziału trzasnęły drzwi i dało się słyszeć werbel drewniaków. Pielęgniarka. — Mówiłem ci, że jak się będziesz wydzierać, to ktoś przyjdzie. — Kruk kłapnął z niesmakiem dziobem. — Zrobisz jak uważasz. Chcesz, to powiedz o mnie. Ale potem nie jęcz, że cię nie uprzedzałem. — Machnął skrzydłami i uciekł przez otwarte okno.

Hanka zastanawiała się przez blisko trzy miesiące, podczas których kruk nie pojawił się ani razu. W końcu podjęła decyzję.

— Chcę ci o czymś jeszcze powiedzieć — zaczęła rozmowę z Pawłem. — Ale to jest naprawdę wielka tajemnica...

— Nie zdradzę jej, przecież wiesz! — Paweł pogłaskał ją po ręce. Zupełnie jak kiedyś Janusz.

— Obiecujesz?

— Obiecuję!

Skoro obiecał, powiedziała. Paweł był zelektryzowany opowieścią o ptaku. Podczas każdej rozmowy na ten temat łąził od ściany do ściany, podniecony relacją, tak jakby odkrył we wnętrzu Hanki jakiś niesamowity skarb.

— Nie może być, nie może być! To wszystko wyjaśnia! — mamrotał. Hance zdawało się, że nie za bardzo słucha. Chyba nawet nie zanotował, że i ona, i Sabina śniły ten sam sen. Próbowwała skierować jego uwagę na związek wizji we śnie z rzeczywistością. Podała przykład. Sen o cyrku — śmierć

Janusza. Niewiara zbył ją gestem dłoni.

— To niemożliwe, nie da się przewidywać przyszłości — uciął, a Hanka poczuła, jakby oberwała pięścią w brzuch.

— Ale zrozum, ja wszystko widziałam, kruk wszystko mi pokazał! To moja wina, że ojciec zmarł! — Hanka nie dawała za wygraną.

— Twoje poczucie winy ma zupełnie inne powody! A całe gadanie o przepowiedniach to tylko zasłona dymna! — uciął Niewiara, a Hanka spuściła wzrok. Kruk miał rację. On nic nie zrozumiał. Nawet nie próbował! „Zdrajca!” — miała ochotę wrzasnąć Hanka. Zamknęła się w sobie. Nie chciała więcej rozmawiać, ale Paweł szturmował.

— Pamiętasz, co mówiłaś o kuku? Co on ci robił we śnie? — pytał.

— Pewnie, że pamiętam! — prychała Hanka. Chciała dodać „Ty gnoju”, ale szkoda jej było słów. — Dziobał!

— A gdzie? — kolejny etap zagadki. Paweł patrzył na nią jak dziadek na wnuczka zgadującego, w której ręce staruszek ukrył cukierek.

— W uszy, za paznokciami, w głowę. Dziobał mnie też za karę, jak nie chciałam czegoś robić — recytowała Hanka.

— A wiesz, komu śni się dziobiący ptak? — pytał dalej mężczyzna.

— Nie.

— Dzieciom molestowanym seksualnie.

— Co?! — Hanka poczuła, że do ust podchodzi jej kwaśna ślina. Przełknęła ją z trudem i skoncentrowała się. — Co ty pierdolisz? — wysyczała, zaciskając pięści. Była gotowa rzucić się na psychologa. Rozedrzeć tę durną gębę pazurami, przegryźć tętnicę szyjną! Kurwa! Nawet za cenę spędzenia reszty życia w wariatkowie! Paweł chyba się jej nie obawiał.

— Czy ojciec przychodził do ciebie w nocy? Spał z tobą w łóżku? — spytał.

— Zamknij się! — Hance znowu zrobiło się mdło.

— Hanka! — Niewiara poklepał dziewczynę po policzku, jakby chciał ją ocucić. — Zastanów się — poprosił łagodnie. — Powoli. To tylko taka myśl. Tylko taka myśl. Poszukaj. Może coś wypłynie z nieświadomości. Pamiętasz, jak ci mówiłem o nieświadomym?

— No... — Hance nie było stać na więcej. Miała wrażenie, jakby połknęła kłęb waty.

— Zastanów się. Musisz się z tym zmierzyć. Przyznać, że ojciec cię wykorzystywał. Inaczej... — Niewiara spojrzał na pacjentkę zmrużonymi oczami. — Nigdy stąd nie wyjdiesz. Nigdy nie wrócisz do normalności.

Hance nie trzeba było tego powtarzać dwa razy. Odczekała trzy tygodnie i postanowiła zdać Niewiarze szczegółową relację z molestowania przez Janusza. Wyssaną z palca. Dopracowała ją dobrze, zdecydowawszy, że zanim opowie bajeczkę psychologowi, musi minąć trochę czasu. Inaczej Paweł byłby podejrzliwy.

W końcu przyszedł odpowiedni dzień. „Przepraszam cię, tato, ale nie mam wyboru” wyszeptała Hanka rano w kierunku nieba. Była pewna, że ojciec nie będzie jej miał za złe. Po chwili do jej pokoju zapukał Niewiara. Przywitał się, usiadł na parapecie i czekał. Mało brakowało, a podskakiwałyby jak czekające na rozpoczęcie spektaklu teatralnego dziecko.

— Pamiętam niewiele — zaczęła rozmowę Hanka, a on uśmiechał się jak święty na obrazku.

— To zrozumiałe, zepchnęłaś to w podświadomość.

— Pamiętam jedną sytuację... — Hanka starała się dobrze odgrywać swoją rolę. Pocierała skronie, sugerując wysiłek. Niewiara zamienił się w słuch. Opowiedziała mu o wycieczce do skansenu.

— Gdzie to było? — dopytywał psycholog zapisujący każde słowo Hance w swoim zeszycie. Miał zaczerwienioną twarz.

— Nie wiem, byłam mała. Miałam może cztery lata.

Mówiła o tym, jak pobiegła za małymi gąskami za walącą się stodołę. Ojciec poszedł tam za nią. Usiedli w głębokiej trawie. Pisklęta uciekły na pobliski staw. Janusz wziął ją na kolana. Wtedy tam się to stało.

Hanka wymyśliła jeszcze kilka podobnych historyjek. O wspólnych kąpielach, o opowiadaniu bajek z pajakiem wędrownikiem w roli głównej. Niewiara był zadowolony. Wypuścił ją na wolność pół roku później. Z życzeniami szczęścia. Ze łzami wzruszenia w oczach. Miał dobre intencje, ale chyba za dużo naczytał się podręczników. Wszędzie widział zboczenie. Tak czy owak Hanka była wolna.

HANKA. Dom, słodki dom

Dokąd miała iść? Nie było dla niej innego miejsca niż „Tysiąclecie”. Wróciła więc na stare śmieci, do pełnego wspomnień mieszkania, do podejrzliwych sąsiadów, obawiających się życia w jednym bloku z wariatką. Stara Ramowa, która czasem odwiedzała ją w szpitalu, zmarła kilka miesięcy wcześniej. Hanka nie miała już żadnego obrońcy.

Jakoś udało się jej zdobyć niewielki zasilek. Wystarczał na podstawowe rzeczy, o ile Hanka oszczędzała na prądzie i gazie. Ale to było nieważne, starcza czy nie. Hanka czekała na kruka. On był ważny. On i przepowiednie. Przyszedł prędko, trzeciej czy czwartej nocy. Usiadł na swoim ulubionym miejscu, na ramie łóżka.

— Wróciłaś — zaczął.

— Aha — mruknęła Hanka w nieokreślonym kierunku.

— Jesteś obrażona? O Sabinę? — W tonie kruka dało się wyczuć obawę.

— Nie. Nie jestem. Rozumiem, przemyślałam i rozumiem...

— Serio? — Ptak chyba się ucieszył.

— Serio. Po prostu matka nie udźwignęła ciężaru, jakim ją obarczyłeś.

Nie każdy potrafi, nie każdego stać. Zresztą szkoda gadać. Nieważne. Szkoda gadać. — Hanka potarła czoło. — Wiesz, co się działo w zakładzie? — zapytała, żeby zmienić w końcu temat.

— Wiem, wiem. Ten Niewiara to niezły palant. Ale ostrzegałem cię! — Przyjaciel Hanki znowu przyjął tak dobrze jej znany, drwiący ton.

— Wiesz co? Wstyd mi, że mówiłam takie rzeczy o ojcu. — Hanka zaczęła żuć pasemko włosów.

— Nie martw się. On by ci wybaczył. Musiałaś wyjść.

— Musiałam. Żeby ratować innych. Dla ojca.

— Tak, dla ojca. W hołdzie. On zginął, ale inni mają szansę! — pochwalił Hankę kruk.

— Mają szansę. Będę się starać. Sabinie się nie udało, ale mi się uda! Lećmy!

Udali się na pole. Wyglądało jak na obrazach Chełmońskiego: błękitne niebo, chemiczna zieleń trawy. W oddali samotna grusza, pogięta drzewnym artretyzmem. Hanka z przyjemnością zauważyła, że na drzewie są owoce. Chętnie by jeden zjadła, soczysty i słodki niczym karmel.

— Chcę zerwać owoce! — powiedziała stanowczo, a kruk nie protestował.

Podlecieli bliżej. Wtedy dopiero dziewczyna zauważyła. Gruszki były ogromne. Samo drzewo też. Jeszcze bliżej... To nie gruszki... To ludzie! Przywiązani za nogi ludzie! Starzy już i pomarszczeni, wisieli spętani, z bordowymi od spływającej w dół ich ciał krwi twarzami. Otwarte usta nie miały siły krzyczeć, zmęczone torturą.

— Nie, chcę się obudzić, chcę się obudzić! — Hanka zaczęła machać rękami, jakby chciała przegonić obraz.

— Zamknij ryj! — Kruk podskoczył i dziobnął ją w skroń. — Zamknij ryj! Czekać i patrz!

Nagle zza miedzy wyszła kobieta. Nijaka, odziana na czarno. Na plecach przytroczony miała ogromny kosz, a w prawej ręce trzymała długi kij. Podeszła pod gruszę.

— Czas na żniwa! — zaskrzeczała i zaczęła okładać staruszków lagą.

Podniósł się krzyk. Kij stukał jak trzepaczka o zakurzony dywan. Rytmicznie, niestrudzenie. Rozchwiane ciała odrywały się od gałęzi i spadały z płaczem do kosza kobiety.

— Duży, duży plon! — cieszyła się czarna wdowa, zaglądająca raz po raz do pojemnika, aby ocenić zbiór.

— Chcę stąd odejść — szepnęła Hanka.

— Jesteś pewna?

— Tak. Widziałam dość. Odgadnę.

— Trochę ci pomogę, choć wierzę, że dałabyś sobie radę. Jednak czasu masz niewiele. Ci ludzie to podopieczni domu starców. Nie dbają o nich. Zostawiają na wiele dni bez wody i bez jedzenia, żeby pomarli. Jak nie chcą zdychać, to ich biją. Musisz zgadnąć gdzie! Powiedzieć, gdzie, kto, kiedy!

— Tak! — Hanka patrzyła jeszcze przez moment na gruszę i na czarną kobietę, aby zapamiętać wszystkie detale. — Odnajdę ich.

Zabrała się do pracy zaraz z samego rana. Ubrawszy się byle jak pognąła na pocztę. Weszła do jednej z dostępnych budek telefonicznych. Wciąż, pomimo plagi telefonów komórkowych, stały wewnątrz. Zniszczone aparaty o okrągłych tarczach chyba już nie działały, ale nikt nie miał czasu zdemontować kabin.

Chyba dla żartu urzędniczki wykladały w publicznych rozmównicach książki telefoniczne. Również przeżytek w czasach internetu. Ale ktoś je drukował, więc wypadało udawać, że ma to jakiś cel. Hanka ukradła jedną z nich. Wewnątrz znajdowały się numery telefonów i adresy domów spokojnej starości całego powiatu i samych Katowic. Na początek wystarczy.

Usiadła na ławce i wydarła interesujące ją strony. Resztę grubej książki cisnęła w krzaki. Przebiegła wzrokiem listę placówek. Żadna z nazw nie kojarzyła się jej ze snem. „Złoty zakątek”. „Spokojny las”. Trudno. Tego się spodziewała. Trzeba będzie wszystkie po kolei odwiedzić.

— Dzień dobry! Hanka Borowska. — Odziana w oficjalną, biurową garsonkę Hanka starała się przyjąć wyniosły ton.

— Czego pani tu szuka? — burknął portier. Chyba nic sobie nie robił z gościa.

— Chciałam obejrzeć placówkę, ocenić warunki. Planuję umieścić tu moją mamę.

Słyszając to, pilnujący drzwi cerber natychmiast zmienił podejście.

— Ach, bardzo nam miło! — zagdakał.

Hanka zauważyła podobne zachowanie w kilku innych placówkach, które odwiedziła do tej pory. Obietnica zarobku potrafiła zdziałać cuda. Niestety w poprzednich domach nie dopuszczono jej do pacjentów.

— Nie ma takiej potrzeby! — uzasadniano.

Tym razem Hanka postanowiła zmienić podejście i nie pytać o zgodę na rozmowę z pensjonariuszami. Na bezskutecznych próbach dostania się do pensjonatów dla starszych zeszły jej ponad dwa miesiące. Do kilku ją wpuszczono, w innych po prostu oprowadzono, pokazując świetlice i kuchnie. W trzech z nich przepracowała po kilka dni, usiłując sprawdzić, co się dzieje. Nie wzbudziły jej podejrzeń. Ale czas mijał, a ona nie miała rozwiązania zagadki. Dlatego gdy tylko portier zniknął, obiecawszy przyprowadzić szefową, zamiast spocząć na rozklekotanym krześle, Hanka ruszyła za nim.

W pierwszym pokoju, do którego weszła, aby jak najszybciej zniknąć z korytarza, leżał staruszek. Miał zamknięte oczy i wyglądałby na martwego, gdyby jego klatka piersiowa nie unosiła się równomiernie. Hanka zbliżyła się

do łóżka i spojrzała na pomarszczoną twarz. W lekko rozchyłonych ustach dostrzegła rozczulająco bezzębne dziąsła. Czy Janusz też by się tak postarzał? Ech, nie czas o tym myśleć. Hanka przysiadła w nogach pośłania. Zamierzała poczekać, aż dziadek się obudzi. Portier pewnie pomyśli, że sobie poszła i nie będzie jej szukał.

Chyba sama na chwilę przysnęła, ukołysana tykaniem zegara. Otrzeźwiała, słysząc chrząkanie starca. Mężczyzna otworzył nagle oczy, spojrzał na nią przerażony i zaczął kopać żyłastymi nogami.

— Odejdź, odejdź! — chrypiał. Jednocześnie starał się Hankę uderzyć i jakoś wstać. Był jednak tak zgrzybiały, że nie było mowy, aby samodzielnie chodził.

— Spokojnie, proszę pana, nic panu nie zrobię! — Hanka odskoczyła na bok i starała się uspokoić dziadka. Jeszcze ściągnie jej na głowę portiera.

— Odejdź, nie bij mnie! — Dziadek nie miał już sił wierzgać ani młócić rękami, więc tylko płakał jak małe dziecko.

Hanka spojrzała na niego, przerażona starczymi łzami. Podeszła do dziadka, ostrożnie, aby nie narazić się na kolejny atak, i mocno go przytuliła. Był wątyły, jakby zbudowany z patyków. Pachniał naftaliną. Hanka pogłaskała łysą czaszkę.

— Nie bój się, nic ci nie zrobię! — wyszeptała. — Wszystko dobrze, nie bój się, nic się nie stanie.

Staruszek przestał się szamotać, zadowolony z pieczyoty, ale nadal nieufny.

— Co ty tu robisz? — zapytał, gdy Hanka wypuściła go ze swoich objęć.

— Przyszłam pomóc. Wiem, że gdzieś w domu starców dzieją się koszmarnie rzeczy, bicie... Co pan o tym wie? Czy to tutaj?

— Nie, moja droga. Tutaj jest jak w raju! Cudownie! Ale tam... Do dzisiaj, sama widzisz, budzę się przez nich przerażony. Wojna przy tamtych

to nic, wierz mi.

— Ale o kim pan mówi? — dopytywała Hanka.

— O tych ludziach z domu „Pod złotą gruszą”. O nich, o tych potworach bez serca!

Franciszek — bo tak miał na imię dziadek — trafił „Pod gruszę” rok temu. Syn zostawił go tam, bo sam musiał jechać do Niemiec za robotą. Chciał dobrze. Ojciec miał już ponad osiemdziesiąt lat, nie dałby rady sam. Do tego ten artretyzm. Dom opieki był rozwiązaniem idealnym.

— Dostaniesz jeść, umyją cię, będziesz miał przyjaciół — przekonywał Franciszka syn. A raczej samego siebie przekonywał. Nie chciał tak porzucać starego. Ale życie jest brutalne. Dla podstarzałego majstra w Polsce pracy nie było. Za to na Zachodzie... Tam można było zarobić istne kokosy! — Popracuję trzy, góra cztery lata. Wrócę po ciebie, tato! — Syn miał łzy w oczach.

Franciszek kazał mu nie beczeć, tylko robić swoje. „Pod gruszą” wyglądało nieźle, jakoś przetrzyma. Tylko kota mu było żal. Nie przyjmowali zwierząt, więc oddał go do schroniska.

Gdy tylko syn wyjechał, „Pod gruszą” zaczęło się dziać źle. A w zasadzie źle działo się tam już wcześniej, tyle że Franciszek o tym nie wiedział. Podopieczni nigdy nie opuszczali swoich pokoi. Ci, którzy dobijali się do drzwi i wołali o wolność, byli przywiązywani do łóżek. Robili w pampersy zmieniane raz na dobę i cierpieli pragnienie, ponieważ im mniej pić dostawali, tym mniej sikali, a więc i pracy było z nimi mniej. Karmiono ich również raz dziennie. Jak psy. Czasem rzadziej.

Ci, którzy siedzieli cicho, nie mieli dużo lepiej. Za każdy upadek, za każdą rozlaną kroplę herbaty, groziła kara. Najczęściej było to okrutne bicie. Franciszek został raz skopany przez obute w drewniaki pielęgniarki.

Gdy personel pragnął spokoju, podawał dziadkom leki. Relanium,

luminal. Wpychali tabletki na siłę, jak tucznym gęsiom. Kazali łykać. Potem wiązali do łóżek. Sami wychodzili, bywało, że na kilka dni. Podczas ich nieobecności staruszkowie marli jak muchy.

— Jak w obozie, moja droga, jak w koncentracyjnym...

Franciszkowi udało się uciec. Źle go uwiązali na noc. Udało mu się wyplątać i wyjść przez okno. Miał pokój na parterze. Poszedł do najbliższego domu.

— Wie pani, nic nie pamiętam, tylko numer telefonu syna — skłamał.

Syn przyjechał natychmiast. Odebrał ojca z domu dla bezdomnych, gdzie w końcu umieściła go policja. Opowieści o „Pod gruszą” wysłuchał w spokoju. A potem walnął pięścią we framugę tak mocno, że poleciała farba.

— Ja im pokażę! — krzyknął.

Pojechał „Pod gruszę”. Wyśmiali go. Nie wpuścili. Zawiadomił policję, inne służby. Nic nie działali. Stwierdzili, że Franciszek cierpi na demencję. Że kłamie. Że jest wrednym dziadem.

— I co, oni tam dalej tak robią? — Hanka była zaszokowana.

— Tego nie wiem. Może się wystraszyli, jak syn im nagadał. Ale chyba działają dalej. Ja stamtąd uciekłem ponad pięć miesięcy temu.

— Gdzie? Gdzie to jest? — Hanka stała już przy drzwiach.

— Nie pamiętam. Ale znajdziesz ich. Znajdź ich. Zaprowadź tam porządek!

Opuściwszy chyłkiem dom pomocy Hanka przegrzebała listę adresową. Jest! „Pod złotą gruszą”. Towarowa siedemdziesiąt jeden. Katowice Giszowiec.

Pojechała tam od razu. Od przystanku niemalże biegła luźno zabudowaną ulicą, szukając odpowiedniego numeru.

— Jest! — wrzasnęła w końcu, widząc kolejny dom, na którego ścianie

wisiała tablica informacyjna z nazwą domu spokojnej starości. Dopadła do furtki i już miała szarpnąć za klamkę, gdy zza rogu wyszła pani z jamnikiem. Pies rozszczękał się, a właścicielka szarpnęła za smycz i zagadała do Hanki.

— Co pani, do „Gruszy”? — zapytała.

— Tak.

— Ich tu już nie ma.

— Nie ma? Jak to?

— A, pani. Żeby pani wiedziała, co tu była za chryja... — Pani z jamnikiem najwyraźniej była dobrze poinformowana. — Okazało się, że ta właścicielka, wie pani, co cały czas w czarnej kiecce ganiała, ona miała zakład pogrzebowy. Tych dziadków, co tu trzymała, męczyła, aby pomarli. Potem ich grzebała i kasowała rodziny. Większość starych miała dzieciaki za granicą. Młodzi się cieszyli, że ktoś za nich pochował matkę czy ojca. Nie pytali o nic, płacili i tyle. A ona zarabiała.

— I co dalej?

— Nic. Jeden, drugi dziadek zwiął. Inni krzyczeli z okien. Wołali pomocy od ludzi. Większość przechodziła obojętnie. Bo wie pani, dziadki to czasem demencję mają. Ale w końcu ktoś się zainteresował. Była kontrola, raz, drugi. Okazało się, że tych śmierci coś za dużo „Pod gruszą”. Potem przesłuchali dziadków. Oni naskarżyli, chociaż bali się, że ich zaciukają. No i tak wyszło, że zakład zamknęli.

Hanka chwyciła się płotu, żeby nie zemdleć. Pani z jamnikiem trajkotała jeszcze o tym, co stało się z właścicielką, ale dziewczyna nie słuchała. Była tak blisko. Tak cholernie blisko. Następnym razem zdąży.

HANKA. Lekkie obyczaje

— I co, za bardzo się guzdrałaś z „Gruszą” — stwierdził kruk podczas kolejnego spotkania.

— Ale byłam blisko! — Blisko jak blisko. Hanka wiedziała, że niepotrzebnie marnowała czas na wędrówki od drzwi do drzwi. Mogła najpierw lepiej się zastanowić, zamiast chaotycznie ganiać to tu, to tam.

— Czy teraz wierzysz już, że naprawdę podaję ci wszystko, czego potrzebujesz, aby odczytać przepowiednię?

— Dobra, dobra, zawsze możesz gadać jaśniej! Skąd mogłam wiedzieć, że drzewo trzeba powiązać z nazwą? — Hanka udawała obrażoną, ale w głębi duszy czuła, że popełniła niewybaczalny błąd. Przecież to było proste. A może tylko teraz wydaje się jasne? Jej rozważania przerwał kruk.

— Aha, czyli szukasz usprawiedliwienia? — zarechotał.

— Nie szukam. Po prostu... Dobrze. Następnym razem będę działać szybciej.

— A więc jesteś gotowa na następny quiz?

— Jestem. Jestem gotowa.

Trafili na duży, ogrodzony palisadą plac. Pośrodku stała niewielka szopa, sklecona z podziurawionych desek. Ledwo trzymała się kupy. Drewniane ściany porastał śliski mech. Hanka stała i czujnie się rozglądała, przeczuwając, że zaraz wydarzy się to, co ma się wydarzyć.

Faktycznie, z przejmującym łoskotem otworzyła się brama. Jej skrzydła walnęły w ogrodzenie, aż poleciały z niego drzazgi. Na plac wpadło stado nagich kobiet. Gnały, wrzeszcząc, przewracając się jedna o drugą, dyndając piersiami. Migwały drżące, białe pośladki. Po policzkach biegnących spływał tusz do rzęs i kolorowe cienie.

Za kobietami kroczył pańskim krokiem odziany na czerwono diabeł. Wywijał batem i okładał nim swoją trzodę. Kobiety starały się osłaniać przed ciosami bicia zostawiającego na plecach i barkach krwawe ślady.

— Stać! — ryknął nagle diabeł głosem przywodzącym na myśl brzęczenie tysiąca much.

Stado zatrzymało się obok chałupy, formując równy rząd. Diabeł bez pośpiechu owinął bat wokół przedramienia i zarechotał. Ruszył wzdłuż szeregu i po kolei oglądał kobiety. Tę złapał za fałdę na brzuchu, inną za włosy. W końcu zdecydował.

— Ty! — powiedział niskim głosem.

— Nie! — zajęczała kobieta.

— Ty! — Diabeł chwycił ją mocno za rękę i zawlókł do chaty.

Po chwili zaczęły dochodzić stamtąd odgłosy. Charczenie, dyszenie. Klapsy i miękkie „uff” ciosów pięścią.

— Dalej, dziwko — wołał diabeł.

Hanka spojrzała na pozostałe ofiary. Stały i gapiły się na swoje stopy. Nie zamierzały pomóc tej w środku?

— Idę! — oświadczyła i szarpnęła się do przodu. Na próżno. Nie mogła się ruszyć. Za nic nie mogła się ruszyć! — Hej, hej, puść! — darła się do kruka.

— Wyluzuj, nie możesz jej pomóc. Patrz dobrze. To się zaraz skończy! — uspokoił kruk.

Faktycznie, diabeł po chwili wyskoczył na plac. Był nagi od pasa w dół.

— Kij! — zażądał i w jego ręce natychmiast pojawiła się okorowana gałąź grubości przedramienia.

— Nie! — chciała krzyknąć Hanka, ale nie mogła mówić.

— Cicho, nie gadaj, patrz! — przypomniał jej znowu ptak.

Oprawca zawrócił do chaty. W drzwiach obrócił się jeszcze do stojących przed domem kobiet.

— Będzie nabijanie na pal! — wrzasnął podniecony. — Słuchajcie, bo was też może to spotkać! — Skoczył do wnętrza i trzasnął drzwiami. Po chwili ze środka dobiegł nieludzki skowyt. Hance zdawało się, że człowiek

nie jest zdolny tak potwornie wyć.

— Nie, nie, nie nadziejaj mnie, nie... — Słowa torturowanej kobiety zlały się w końcu w nieartykułowany krzyk. Potem zapadła cisza.

W końcu diabeł i kobieta wyszli na plac. On kroczył żwawo, wywijając zakrwawioną gałęzią, ona ledwo wlokła się przed siebie na kolanach. Twarz miała opuchniętą, włosy posklejane smarkami. Po chudych udach ciekła jej brunatna maź. Diabeł zatrzymał się gwałtownie i spojrzał z obrzydzeniem na kobietę. Pokręcił z niesmakiem głową.

— Do dołu — rozkazał i pstryknął palcami.

Ziemia przed nim rozwarła się, tworząc coś na kształt prostokątnego dołu. Grób!

— Do środka — Diabeł wskazał kobiecie szczelinę.

— Nie... — Sprzeciw był tylko formalnością.

— Tak! — Diabeł z rozmachem kopnął klęczącą kobietę.

Ofiara runęła do dziury. Diabeł pstryknął. Ziemia powoli się osunęła. Zasypała krzyczące usta ofiary, okryła zmaltretowane, sine ciało.

Sen zniknął, aby powrócić dokładnie w tej samej formie kolejnej nocy. Po tygodniowej przerwie przyśnił się Hance jeszcze raz. Diabeł jak poprzednio wybrał kobietę, zgwałcił ją brutalnie w chacie, aby potem żywcem pogrzebać. Hanka, zaklęta w kamień, musiała być tego świadkiem. Wróciwszy do siebie, była rozdygotana.

— Ty zwyrodnialcu! Zboczeńcu! — darła się na kruka i przeganiała go poduszką. On wskakiwał na szafę i śmiał się w najlepsze.

— Musisz zgadnąć, musisz zgadnąć! — powtarzał.

— Zabiję cię, jak nie powiesz, o co chodzi! Nie mam pojęcia, od czego zacząć!

Kruk uciekł na meblościankę i stamtąd deklamował, schowany za starym

wazonem w malwy.

*Zagadki nocne trapią twe myśli
Więc zapisujesz, co ci się przyśni
Notes w szwach pęka, słów najedzony
Lecz nie przychodzi moment wyśniony
Szukaj cierpliwie ja cię pouczam
Póki do słów mych nie znajdziesz klucza
Bo przepowiednię mą ten zrozumie
Kto kalambury odczytać umie
Myśl więc me dziewczę rumiane, hoże
Z tragedią kiedyś wygrasz być może*

— Ty mi tu nie zasuwasz poezji! — wysyczała Hanka, poszukująca czegoś, czym mogłaby strącić ptaszysko na podłogę.

— No dobrze. Tym razem ci pomogę.

— Tylko solidnie, a nie gadając jak jakiś Mickiewicz!

— Solidnie. Widzę, że masz dosyć. A liczba ofiar rośnie.

— Jakby cię to obchodziło...

— Obchodzi mnie. Dlatego jeszcze rozmawiamy. Zajrzyj jutro do gazet. Zrozumiesz.

Kiosk otwierano o szóstej. Hanka stała przed nim już o piątej pięćdziesiąt.

— Poproszę gazetę, jakąś codzienną! — wydyszała w małe okienko, w którym widać było tylko tors sprzedawczyni.

— Jaką? — burknęła kioskarka.

— Dowolną. Albo nie, wszystkie proszę.

Zaczęła przerzucać prasę w drodze do mieszkania. W końcu nie

wytrzymała. Nie dało się czytać, idąc, bo wiatr wyrywał strony z rąk. Pomimo siąpiącego deszczu usiadła na ławce. Krople przynajmniej zmyły z niej brud. Rozłożyła trzy dzienniki obok siebie. Na każdej okładce ta sama sensacja. „Okrutny mord”. „Gwałciciel sadysta”. „Śmierć z ręki zboczeńca”.

Przypadkowi przechodnie natrafili w Katowicach na ciała kobiet. Jedna z ofiar siedziała na przystanku, a dokładniej na chodniku, oparta o pleksiglasową budę. Zauważył ją jadący do pracy nauczyciel historii. Drugą znalazł przy fontannie obok galerii handlowej na Załężu pracownik firmy wywożącej śmieci.

Kobiety były starannie ubrane, uczesane i umalowane. Wyglądałyby na śpiące, gdyby nie potwornie zmasakrowane twarze. Zdeformowane policzki, obcięte wargi i nosy. Nauczyciel widząc ofiarę, zwymiotował pod pobliskim krzakiem. Kiedy się otrząsnął, przyjrzał się kobiecie lepiej. Dostrzegł pozrywane paznokcie. Pręgi oddartej z ud skóry. Ofiara znaleziona przez śmieciarza miała podobne obrażenia.

„Miała też powypalane znamiona, zupełnie jak piętna na koniach. Wiem, bo kiedyś robiłem przy ogierach w Ochabach” — powiedział śmieciarz dziennikarzowi. Policja wydała lakoniczny komunikat. „Trwają poszukiwania, badamy każdy trop. Ofiary były notowane w związku z nierządem. Są nam znane. Apelujemy o ostrożność”.

Deszcz padał coraz mocniej. Rozmazał dalszą część relacji pani rzecznik komendy wojewódzkiej. Hanka nie musiała czytać dalej. „Gdzie jest trzecia? Gdzie trzecia?” — zastanawiała się. „Albo jeszcze jej nie znaleźli, albo nadal żyje”.

Hanka wyraźnie widziała we śnie twarze kobiet. Była pewna, że gdyby spotkała je na ulicy, potrafiłaby je rozpoznać. Ile może zmienić makijaż i strój? Niewiele. Tylko gdzie szukać dziwek? Tego Hanka nie wiedziała.

Poszła do osiedlowego baru. W cuchnącej piwem i zleżałym tytoniem

spelunie ktoś powinien się orientować, co, gdzie i za ile można zorganizować.

— Przepraszam — zagadnęła barmana. — Szukam panienki. Wie pan, dziwki.

Stojący za ladą osiłek spojrział na dziewczynę spode łba. Hance zrobiło się wstyd, ale natychmiast skarciła się za te odczucia. Chodziło o ludzkie istnienia! Nie czas na tłumaczenia, zresztą jak miałyby wyjaśnić, do czego jej panienka? Że chce pograć w makao i pogadać o trendach w modzie?

— Może pani zajrzeć w okolice dworca... — wycedził mężczyzna przez zaciśnięte na papierosie zęby.

— Dworca? Ale tam same parkingi! Gdzie dokładnie? — dopytywała Hanka.

Facet nerwowym ruchem zgasił peta w przepełnionej popielniczce i strzyknął śliną przez zęby.

— A co, pani z obyczajówki? — zapytał.

— Nie! — krzyknęła Hanka. — Absolutnie nie!

— To skąd te pytania?

— Bo... — dziewczyna starała się wymyślić coś sensownego. — Bo jestem z Kościoła czystości — wypaliła. — Pragniemy nawracać...

Barman uniósł brwi i przechylił się przez blat w kierunku Hanki. Zbliżył się do niej tak bardzo, że poczuła gorzki, przesiąknięty dymem oddech.

— Durniejszej ściemy dawno nie słyszałem! — zaśmiał się. — Idź na Dambonia, w okolice skweru przy hotelu Polonia. Tam je znajdziesz. Całe tabuny, do wyboru! — Strzyknął śliną ponownie i zanurkował na zaplecze.

Przez ponad tydzień, noc w noc, Hanka wędrowała po okalających Polonię ulicach. Przedzierała się przez mroczne zaułki, pełne wyleniałych kotów i nieprzytomnych narkomanów. Kuląc się pod parasolem, patrolowała najciemniejsze bramy. Zaczepiała przechodniów.

— Nie widział pan dziewczyny? Blondynka, metr sześćdziesiąt wzrostu, ubrana skąpo? — podawała rysopis widzianej we śnie ofiary. Pytani tylko przyspieszali kroku. Nie odpowiadali. Tymczasem zabójca używał sobie w najlepsze. Idące do kościoła Świętego Ducha małżeństwo znalazło trzecią ofiarę. Tę, o której Hanka wcześniej wiedziała. Potem ofiarami zwyrodnialca padły dwie kolejne kobiety.

— Mężczyzna zabija je ze szczególnym okrucieństwem najpewniej we własnym mieszkaniu. Sądząc po obrażeniach, tortury trwają wiele godzin, a więc zabójca musi mieć jakieś lokum, w którym oddaje się swoim praktykom. Martwe ofiary przenosi w wybrane miejsca publiczne — relacjonowała drżącym głosem reporterka lokalnej telewizji.

— Ale mi odkrycie! — sarkała Hanka do telewizora. — To ja wiem od dawna!

Tej nocy przyśniła jej się kolejna dziewczyna. Nie pierwszej młodości, zgrabna, lecz nieco sflaczała. Uroku dodawały jej rude, długie włosy.

Diabeł zamordował ją w sposób szczególnie podły. Znęcał się długo, cierpliwie zadając ból. Krzyk rudej odbijał się od palisady. Po zakończeniu orgii nie była w stanie sama wyjść z chaty. Diabeł włókł ją za włosy. Ledwo trzymały się czaszki, chyba wcześniej próbował zdjąć z kobiety skalp.

„Tę będzie mi łatwo odszukać!” pomyślała Hanka po przebudzeniu. Narzuciła szary prochowiec przygotowany na nocne wyprawy i pognąła na Dambonia. Noc była ciepła, ale wietrzna. Podmuchy szarpały płaszczem Hanki, ale ona związała go mocno. Wciskała ręce w kieszenie i rozglądała się.

Zobaczyła ją pod murem hotelu. Dosłownie pięć metrów od wejścia. Padające przez drzwi światło pozwoliło Hance dostrzec kolor długich, poskręcanych włosów. Rude! Wiatr unosił je tak, że niemal stały na sztorc. Dziwka raz po raz zakładała włosy za uszy i rozmawiała z klientem.

Najwyraźniej negocjowała warunki. Hanka usłyszała tylko kilka zdań.

— Dobrze. Stówka. Idziemy tutaj, na górę! — upierała się kobieta.

— Nie lubię hoteli. Mam wrażenie, że przede mną dziesięciu gości spuściło się na pościel. Dwie stowy i idziemy do mnie — odpowiadał klient.

Słyszając kroki Hanki, obrócił się. Czarne oczy. Włosy jak smoła. Ciemna karnacja. Diabeł! Hanka ledwo powstrzymała się od krzyku. Przeszła jeszcze kilka kroków i zatrzymała się nieopodal, aby słyszeć dalszy ciąg rozmowy. Dziwka, chyba wiedząc o niedawnych morderstwach, nie chciała iść do mieszkania faceta. On nie ustępował.

— Trzy stowy i idziemy, to niedaleko! — kuśił.

Widać było, że lafirynda się łamie. Trzysta złotych za chwilę roboty to niemało. W jej wieku królewska oferta.

— Cztery! — podbił stawkę klient.

— Ja idę za dwieście! — włączyła się niespodziewanie Hanka.

— Co? — Ruda spojrzała na nią zbyt zaszokowana, aby od razu zacząć kłąć.

— Idę za połowę, a gorsza nie będę! — zachwalała swoje usługi Hanka.

— Ty cipo! — ruda wrzasnęła tak głośno, że z Polonii wyjrzał portier. Widząc, że to tylko mała sprzeczka pomiędzy babami, schował się z powrotem. — Pizdo zasrana, to nie twój klient!

— Ty się każesz prosić, to ja pana obsłużę! — zakpiła Hanka.

Przebrała miarę. Ruda zasyczała jak wściekły kot i rzuciła się na nią z pazurami. Chwyła Hankę za włosy i pchnęła na ścianę. Dziewczynie z trudem udało się osłonić głowę przed zderzeniem z murem hotelu. Odbiła się rękami i wywinęła w prawo. Dziwka skoczyła za nią.

— Ty pizdo! — zawyła. — Ty durna pizdo! Złodziejko, ty! On jest mój!

Złapała mocno torebkę i zaczęła okładać Hankę po plecach. Ale Hanka

miała doświadczenie z Sabiną. Zgięła się w pół i staranowała rudą. Jej głowa trafiła przeciwniczkę prosto w splot słoneczny. Panienska padła na ziemię bez tchu.

— Ty cipo! — wycharczała, ale Hanka już odchodziła z mężczyzną.

— Jak ci na imię? — zapytał facet, gdy ruda zniknęła za ich plecami.

— Hanka.

— Ładnie.

— Dokąd idziemy?

— Na Orkana. Do mnie. Tam mieszkam — odparł mężczyzna i nie oglądając się na dziewczynę, ruszył przed siebie.

Skręcili w kompletnie pustą Cechową. Szli w milczeniu. Od czasu do czasu wiatr ciskał im w oczy uliczny kurz. Hanka nie zwracała na to uwagi. Czuła się, jakby opuściła swoje ciało i obserwowała całą sytuację z dystansu.

— To tu! — oświadczył po piętnastominutowym spacerze mężczyzna, wskazując ciężkie, czarne drzwi kamienicy. Hanka spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem. — To tu — powtórzył. — Ostatnie piętro — dodał, otwierając drzwi. Zaskrzypiały zawiasy. Hanka stanęła w progu i przytrzymała się framugi. — Panie przodem! — ponaglił facet. Hanka zaśmiała się, sądząc, że tak zrobiłaby każda zdzira, i weszła do środka.

Na klatce było ciemno i cicho. Gdzieś na samej górze paliła się dogasająca żarówka. Czuć było myszy. Stukot podszew niósł się echem, jednak nikt nie wyjrzał sprawdzić, kto się włóczy po nocy.

— Nie przejmuj się, tu nikt nie mieszka — uspokoił gospodarz, widząc, że dziewczyna przestraszyła się hałasu i zatrzymała na pierwszym piętrze. — Jesteśmy sami — wyszeptał niemalże romantycznie. Hanka uśmiechnęła się niepewnie, a on przyskoczył do niej i brutalnie schwycił delikatne policzki.

— A! — krzyknęła Hanka, czując wbijające się w jej skórę paznokcie.

Mężczyzna ścisnął jeszcze mocniej, a potem pchnął Hanke na balustradę.

Zaskrzypiały nadwyreżone śruby, na dół posypał się gipsowy pył. Dziewczyna zamachała rękami, aby nie stracić równowagi, i zaparła się o poręcz. Wtedy diabeł przyskoczył do niej, napał na jej biodra swoimi biodrami i wpił się w Hanke pożądliwymi ustami.

Był tak napalony, że niemal zatykał Hance językiem przełyk. Jego zęby uderzały o jej zęby. Poddała się temu, aby zyskać na czasie. Podczas gdy diabeł jednocześnie rozpinał rozporek, szukał jej piersi i rzucał jakieś ohydne słowa, zaczęła ostrożnie gmerać w kieszeni. Delikatnie przeszukiwała jej wnętrze, żeby zboczeniec nie zauważył. Powoli, powoli... Jest! Chłodna, czarna rękojeść, dobrze Hance znana. Stare, ale twarde ostrze. Nóż! Wsadziła go do płaszcza dzień wcześniej. Zwykły majcher do obierania ziemniaków czy krojenia mięsa, od zawsze leżący w szufladzie.

Nie zamierzała się bawić w szukanie przerw między żebrami i dźganie w serce czy płuca. Zacisnęła mocno palce na rączce i uniosła dłoń. Diabeł dyszał, zajęty ugniataniem jej pośladków. Bolało. Jego jęzor ślinił teraz jej szyję. Ohyda! Hanka uniosła dłoń jeszcze wyżej. Uderzyła z całej siły. Prosto w szyję. Czytała o takich ciosach w kronikach policyjnych. Podobno powodowały niemal natychmiastową śmierć wykrwawiających się błyskawicznie ofiar.

Nóż wszedł gładko jak w budyń. Skóra nawet nie stawiała oporu. Hanka spodziewała się, że przynajmniej ugnie się jak napompowana gumowa piłka, ale nie. Pękła bezgłośnie, a ostrze natychmiast przecięło tętnicę.

Mężczyzna nawet nie zdążył krzyknąć. Buchnęła krew. Trysnęła Hance w twarz, ciepła i słodkawa. Niemalże smaczna, trochę jak odstana coca cola. Diabeł próbował tamować krwotok rękami. Na próżno. Krew waliła szerokim strumieniem, w pulsującym rytmie zalewając jego ubranie. Hanka patrzyła na to szeroko otwartymi oczami, aby zapamiętać każdy moment. Zemsta!

— Czemu? — wydusił w końcu mężczyzna ostatkiem sił.

Osunął się na kolana, upadł na twarz i skonał. Zupełnie jak w kronice kryminalnej. W ciągu niespełna kilku minut. Hanka przekroczyła jego ciało. Upuściła nóż. Obtarła twarz rękawem, poprawiła płaszcz i ruszyła do domu.

Przez kilka dni o sprawie morderstw było cicho. Hanka sprawdzała regularnie najnowsze doniesienia. Na razie nie znaleziono ciała diabła. „Pewnie gnije w swojej norze!” myślała dziewczyna z satysfakcją.

Pięć dni po pamiętnej nocy pojawiło się kolejne doniesienie. Nie dotyczyło jednak trupa na klatce. Znaleźli rudą. Oskalpowaną, i na głowie, i w kroczu. Pod pachami też. Morderca spakował jej włosy do torebki.

Hanka mało nie zemdląła. „To nie ten!” pomyślała i pognała wymiotować. Zabójca oddał się w ręce policji następnego dnia. Dlaczego to zrobił? Trwały spekulacje, wypowiedali się psychologowie, detektywi i inni znawcy. Nuda, wyrzuty sumienia, głupota?

— Ja sądzę, że nuda! — twierdził kruk. — Tak czy owak, jest po sprawie.

Hanka nie podzielała jego zdania.

— Mogłeś mi powiedzieć! Dokładniej! — popłakiwała.

Kruk wskoczył jej na ramię. Chyba zrobiło mu się żal Hanki.

— Dobrze. Powiem ci dokładniej — zakrakał łagodnie. — Obiecuję. Następnym razem!

HANKA. Wsiądź do pociągu byle jakiego

Kruk dotrzymał słowa.

— Tym razem chodzi o katastrofę kolejową! — oznajmił otwarcie, wędrując po szafie i kiwając się na boki.

— Znowu kolej? Przecież dopiero co był wypadek w Babach! — Hanka zrobiła się podejrzliwa.

— Znowu, znowu... — przedrzeźniał ptak. — Przecież torów jak nie

remontowali, tak nie remontują, prawda?

— Niby prawda...

— Ech! — Nocny towarzysz przewrócił oczami. — Zgadujesz czy nie? Nie mam czasu na durne dyskusje!

— Zgaduję, zgaduję! — odpowiedziała prędko Hanka. — Tylko daj coś prostego!

Bez trudu rozszyfrowała, kiedy i gdzie nastąpi katastrofa. Zadanie przypominało proste sudoku, zamieszczane w codziennych gazetach. Wystarczyło wymyślić i połączyć ze sobą cyfry — i gotowe. Dwudziesty drugi marca, odjazd trzynasta siedem z Katowic do Łodzi, zderzenie z innym składem nastąpi po godzinie i trzynastu minutach podróży.

— Brawo! — zakrakał kruk. — A teraz myśl, co dalej! — Machnął skrzydłami i odleciał.

Tego dnia Hanka wstała zaraz po czwartej z zamiarem posprzątania. Przez chwilę kręciła się po mieszkaniu, przekładając rzeczy z miejsca na miejsce.

— Bez sensu — stwierdziła w końcu i usiadła w kuchni.

Zjadła trochę przeterminowanych płatków kukurydzianych i wypila sok. Smakował nieco alkoholowo, chyba za długo stał. Nie szkodzi, zawsze miała mocny żołądek. Umyła się i ubrała. Zapakowała torbę. Dokumenty. Pieniądze. Chusteczki higieniczne. Po krótkim namyśle dorzuciła dezodorant. I cienką książkę, jakieś romansidło. Lekko wyschnięty tusz do rzęs. Wystarczy.

Starannie zamknęła drzwi i poszła na dworzec. Miała sporo czasu, więc zdecydowała się na spacer. Szła powoli, patrząc w chodnik. Przed oczami migały szare płyty. Niektóre popękane, a inne wybielone słońcem.

W jedynej czynnej kasie kupiła bilet. W jedną stronę, do Łodzi. Złożyła go starannie i schowała do kieszeni, a potem usiadła w niemalże pustej

poczekalni. Na dwóch najdalszych ławkach spali dworcowi menele. W powietrzu unosił się odór jabola i moczu.

Pół godziny przed odjazdem kupiła w budce hamburgera. Ściśnięty, wypuszczał cuchnący olej i sok z jakiejś dziwnej kapusty, którą był wypchany. Świństwo. Zjadła go z rozsądku, czując, że jest bardzo głodna.

Zeszła do ciemnych niczym katakumby korytarzy prowadzących na perony. Przejście dekorowały napisy. „Łysy to chuj”. „Jebam Agnieszke w dupe”. Pod ścianami plamy wymiocin i wszędobylski zapach brudu. Jak to na dworcu w Katowicach. Na szczęście o tej porze w przejściu nie snuli się narkomani, nędzne kreatury o nogach jak z waty.

„Peron 1” odczytała na tablicy. W lewo. Skręciła. W górze zauważyła jasny prostokąt światła. Korytarz zaczął się wznosić. Zrobił się też węższy, niemal ciasny. Kanał rodny.

Pociąg wpadł z piskiem hamulców. Zatrzymał się. Hanka z trudem otworzyła ciężkie drzwi. Odszukała swoje miejsce. Usiadła. Przymknęła oczy. Ruszyli z godzinnym opóźnieniem, spowodowanym brakiem wody w toaletach. Hanka nie przejmowała się tym, w końcu donikąd się jej nie spieszyło, natomiast korytarzem przewalały się tabuny sfrustrowanych podróżnych. Gdy tylko lokomotywa szarpnęła, rozpierzchli się do swoich przedziałów. Hanka została sama. Po pewnym czasie pojawił się konduktor.

— Bilecik proszę! — uśmiechnął się.

Hanka podała bilet.

— Pusto tu dzisiaj, co? — zagadnął do niej mężczyzna.

— No...

— Jakoś się to dziwnie rozłożyło. W ostatnich wagonach jest więcej ludzi. Tutaj jakoś tak nie doszli, jest tylko pani. Gdyby ktoś pani dokuczał, jestem w przedziale konduktorskim, o tam — pokazał. — Jakby coś, proszę przyjść. Czasem łożą tu tacy, jakby to powiedzieć, porąbańcy.

— Dziękuję.

— Ja również — konduktor uchylił czapki. Miał piękne oczy o długich rzęsach. — Miłej podróży.

Odchodząc, nie domknął drzwi. Przez wąską szparę, jaką zostawił, wszedł do przedziału kruk. Wskoczył na siedzenie i krytycznie przyglądał się wytartym obiciom. Hanka zdębiała.

— Co ty tu robisz? — wyszeptała.

— Wpadłem, żeby dotrzymać ci towarzystwa!

— W dzień?!

— A czemu nie? Nawiasem mówiąc, jeżeli nie uda ci się nic zrobić, on też zginie.

— Kto?

— Konduktor! — zachnął się kruk. — Ale nie bój się. Przed nami jeszcze pięćdziesiąt osiem minut. — Ptak niemal się uśmiechał, tak dziobato. — Pociąg wyleci na krzywych torach — ciągnął. — Stoczy się z nasypu. Będzie pędził, za szybko, aby nadrobić opóźnienie. Wystrzeli. Wagony się okręca niczym pieczeń na rożnie. Chyba że coś zrobisz...

— Co proponujesz?

— Nie wiem. Idę spać. — Towarzysz Hanki wskoczył na półkę na walizki i zachrapał.

Po krótkim namyśle Hanka zdecydowała się na najprostsze rozwiązanie. Wstała ostrożnie, aby hałasem nie obudzić kruka, opuściła przedział i poszła do lokomotywy. Drzwi oddzielające skład od maszyny nie były zamknięte. Hanka weszła bez wahania.

— Dzień dobry! — huknęła na całe gardło, aby przekrzyczeć łomot kół.

Siedzący za pulpitem maszynista odwrócił się zaskoczony.

— Dzień dobry! — odpowiedział machinalnie. — Co pani tu robi? —

Szybko otrząsnął się i przyjął oficjalny ton. — Tu nie wolno wchodzić!

— Proszę pana, wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale grozi nam, mnie, panu, pasażerom, niebezpieczeństwo...

Maszynista patrzył na Hankę wielkimi oczami. Zachęcona jego milczeniem dziewczyna ciągnęła dalej.

— Kilkanaście kilometrów przed nami jest zakręt. Ostry, biegnący szczytem nasypu, prawda?

— Prawda, i co z tego? Wystarczy rzucić okiem na przyklejone na korytarzach mapy i wiadomo, jak idzie trasa — prychnął mężczyzna.

— Fakt! — Hanka przyznała mu rację. — Ale to nie wszystko. Dzisiaj jedzie pan szybciej niż zwykle. Z powodu opóźnienia. Za szybko jak na ten wiadukt, zwłaszcza że tory są tam niepewne.

— Co pani bredzi?

— Proszę zwolnić. Dosłownie na moment. Przejedziemy ten kawałek i znowu pan przyspieszy.

— A czemu niby mam zwalniać? Bo nie lubi pani prędkości? Co się dzieje? Jakaś ukryta kamera czy co?

— Proszę pana, niech pan zwolni! Zaklinam! Mam prorocze sny i wiem, że jesteśmy w niebezpieczeństwie! Niech pan zwolni!

— Pani zwariowała! — krzyknął maszynista i zerwał się z pulpitu. — Proszę stąd wyjść! Natychmiast wyjść!

— Nie!

— Wynocha! Wynocha! — kolejarz wściekł się na dobre. — Won stąd, wariatko! — Złapał Hankę w pół i po prostu wyniósł z lokomotywy. Zatrzasnął drzwi, przekręcił zamek i pomachał jej z za szyby, wrednie się uśmiechając. Hanka w zamian pokazała mu środkowy palec i pociągnęła z całej siły za zamontowaną zaraz przy drzwiach pierwszego wagonu dźwignię hamulca awaryjnego.

Rozległ się wrzask kilkadziesiątu zablokowanych kół, trących o szyny. Pociągiem szarpnęło. Zza pleców Hanki dobiegły krzyki pasażerów, bombardowanych spadającym bagażem. Spod wagonów tryskały iskry, ale skład zwalniał.

Kiedy wytracił niemalże połowę prędkości, przed nim pojawił się nasyp. Hanka wystawiła głowę przez okno i próbowała ocenić, czy uda się bezpiecznie pokonać zakręt. „Zwalniaj, zwalniaj!” zaklinała pociąg. Pierwsze trzy wagony wtoczyły się na górkę. Były już w połowie łuku, kiedy nagle skład zadrzał jak po wybuchu.

— Nie! — krzyknęła Hanka. — Nie!

Lokomotywa skoczyła do góry niczym pokonujący przeszkodę koń. Obróciła się na bok, odbiła od torów i wystrzeliła w powietrze, ciągnąc za sobą ogon wagonów. Ostatnią rzeczą, którą zauważyła dziewczyna, była stromizna nasypu. Maszyna rąbnęła w nią z impetem, wbijając się na kilka metrów w luźną glebę, a Hanką cisnęło o ścianę. Uderzyła o coś skronią, przeokołkowała przez pół wagonu, łamiąc sobie prawy obojczyk. Kolejny wstrząs spowodowany walącymi się na lokomotywę wagonami wgniół ją w okno. Jęknął cierpiący metal. Po chwili kolejny wagon zwałił się z hukiem na leżącą na spodzie lokomotywę, splecioną z pierwszym wagonem. Hanka walnęła potylicą w jakąś kłamkę. Przed oczami przeleciał jej obraz Janusza.

— Tato! — ucieszyła się i próbowała wyciągnąć do ojca rękę.

Znowu uderzenie. Hanka zobaczyła jakiś błysk. A potem pochłonęła ją niepamięć i niebyt.

PAWEŁ. Comeback

— Pani Jadziu, idę jeszcze pod trójkę, a potem wychodzę do domu — rzucił Paweł w kierunku dyżurki. Pani Jadzia, jak zwykle chętna na pogawędkę, wyjrzała na korytarz.

— Dobrze, panie doktorze, niech pan idzie, późno już! — Pomachała mu ręką. — Niech pan tylko zajdzie do nas potem i powie, jak tam jest.

Paweł skinął głową na znak, że zda relację na odchodnym, i poszedł do trójki. Zapukał delikatnie i nacisnął klamkę. Mieszkanka tego pokoju była spokojna i uległa, ale lepiej jej nie straszyć.

— Dobry wieczór! — przywitał się z uśmiechem.

— Dobry, dobry sąsiedzie! — Rozpromieniona kobieta podeszła do niego. W ramionach trzymała pluszową Myszki Miki. Kołysała ją miarowo. — Pan siądzie, tylko Bartka odłożę i zaraz z panem pogadam.

— Nie trzeba... — Paweł nieśmiało zaprotestował, ale pacjentka natychmiast mu przerwała.

— Oj tam, oj tam. Proszę siadać. Mama i tata zaraz wrócą. Wyskoczyli na zakupy, bo brakło sera.

— Ale...

— Cicho, cicho — zaszepotała kobieta do Myszki Miki i odłożyła zabawkę na łóżko. — No, śpi. To mamy chwilę dla siebie!

— Jak się masz? — zapytał Paweł półgłosem. Pacjentka bardzo się irytowała, gdy ktoś głośno mówił w obecności śpiącej Myszki.

— Dobrze.

— A jak ci się mieszka z rodzicami?

— Cudownie! Codziennie razem jemy śniadanie, obiad i kolację. Chodzimy na spacer. Mama czesze mi włosy. Ładnie? — Kobieta obróciła się tyłem, aby pokazać niezgrabny kok. — Jest cudownie! Może w tym roku pojedziemy nawet nad morze! — Zaklaskała w dłonie i podskoczyła.

— To świetnie! W takim razie ja już się żegnam, mam sprawy...

— Szkoda...

— Dobranoc, Haniu, pozdrów rodziców!

— Pozdrowię!

— Pa!

— Pa!

— No i co tam w trójce, doktorze Niewiara? — zapytała Jadzia.

Paweł westchnął. Co miał odpowiedzieć? Znał tę pacjentkę. Przedtem wydawało się, że ma jakieś szanse. A teraz? Kompletnie odklejona... Kto wie, czy jej poprzednie rewelacje nie były wynikiem starego urazu głowy, który najpewniej miał miejsce w dzieciństwie. Zdjęcia rentgenowskie były jakieś zamazane, ale szkoda męczyć dziewczynę tomografią. Swoją drogą chyba każdego człowieka od wariata dzieli tylko porządniejsze uderzenie w głowę. Przerażające. Mężczyzna aż zadygotał na tę myśl. Zdjął okulary, rozmasował nos i podjął rozmowę.

— Pani Jadziu — westchnął. — Wszystko u niej dobrze. Dajcie jej jak zwykle relanium i będzie spać.

— Ta to miała szczęście, co? Ledwo wyszła ze śpiączki! Łeb pokancerowany, ale dała radę! Szok! — Pielęgniarka swoim zwyczajem wciągała Pawła w rozmowę. — Zwaliło się na nią pół składu, a jej nic!

— No, nic jak nic... Nie wyjdzie stąd prędko, chyba że jakieś hospicjum ją weźmie.

— Ale mogła zginąć! — Słusznie zauważyła pani Jadzia, uważająca przewlekły oddział psychiatryczny za całkiem miły przybytek. Z powodu tego poglądu była świetną pracownicą i Paweł bardzo ją cenił. Dlatego zgadzał się na niepotrzebne dyskusje o pacjentach i świecie jako takim. — Nikt nie zginął w całej katastrofie, to cud! Ponoć skład zwalniał, czyli maszynista zareagował poprawnie. Nie ma jak wyszkolenie! — dokończyła siostra oddziałowa.

— Faktycznie, niesamowite, że nikomu nic się nie stało — zgodził się Paweł. — A teraz lecę, bo mi autobus ucieknie!

Zarzucił na plecy kurtkę, chwycił torbę i wyszedł z myślą, że Hanka w końcu ma to, o czym marzyła.

HANKA. Happy end

Hanka leżała w swoim pokoju. Obok posapywał Bartek. Mama i tata też się już położyli. Obiecali jej jutro wyjście do parku. Z tego powodu nie mogła zasnąć! Na szczęście wpadła jej opiekunka.

— Oj, Haneczko, ale ty jesteś niespokojna! — stwierdziła.

— Pani Jadziu, bo ja jutro idę do parku! — zaćwierkała Hanka.

— No, pięknie! Cieszysz się, co?

— Aha!

— A zaśniesz?

— Nie...

— To daj rączkę, zrobię ci zastrzyk i odpoczniesz!

Hanka posłusznie wyciągnęła rękę. Zastrzyk nie bolał, tylko lekko piekł. Gdy tłok dotarł do końca strzykawki, poczuła, że kręci się jej w głowie.

— Dobranoc! — wybełkotała.

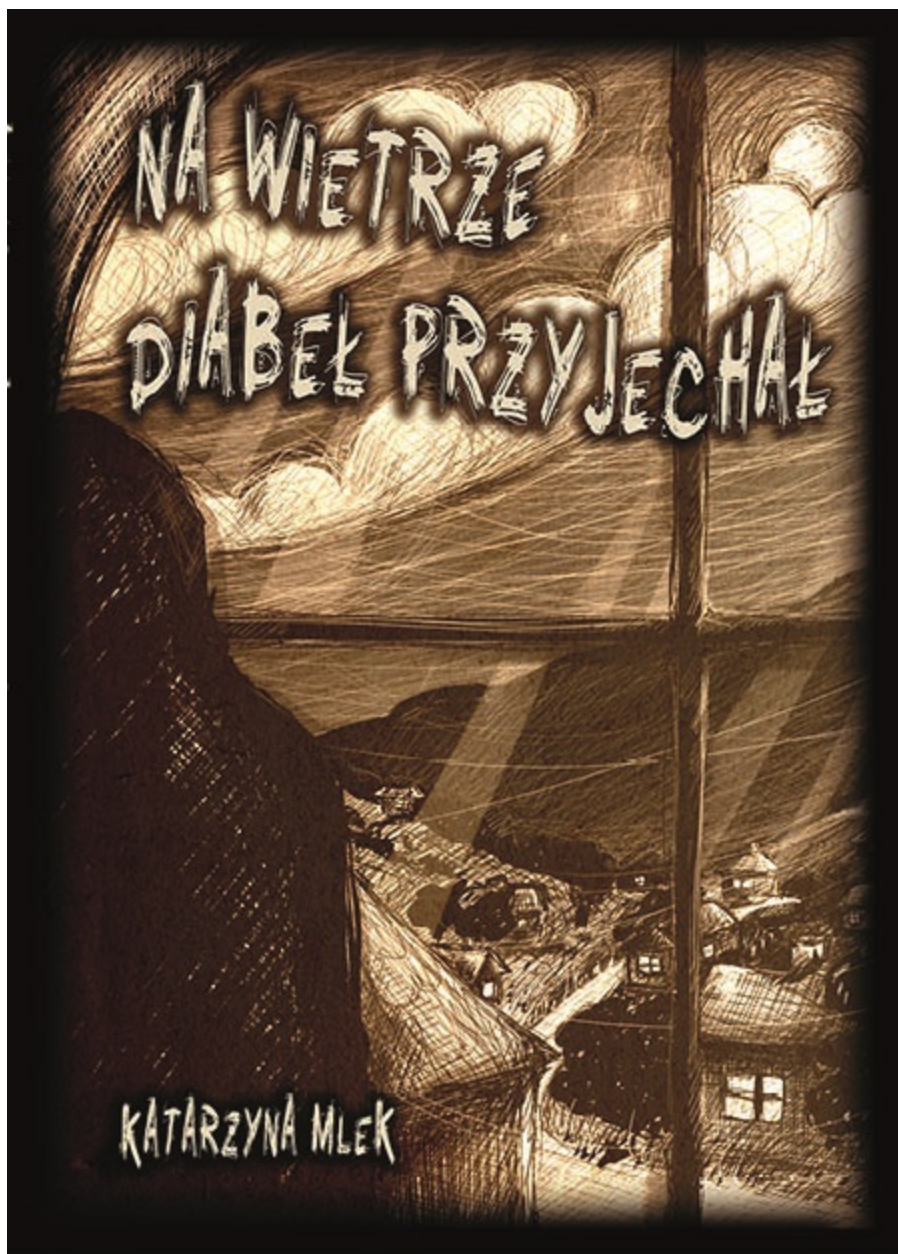
— Dobranoc, Haneczko, śpij dobrze! — pożegnała się pani Jadzia i wyszła.

Hanka wyjrzała przez okno. Właśnie zapaliła się jej ulubiona latarnia.

— Dobranoc, Bartuś! Jutro zbudzi nas jasne słońeczko! — mruknęła i zasnęła.

NA WIETRZE
DIABEL PRZYJECHAŁ

KATARZYNA MLEK



Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Zapomnij patrząc na słońce 1](#)

[Zapomnij patrząc na słońce 2](#)

[Zapomnij patrząc na słońce 3](#)

[Zapomnij patrząc na słońce 4](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © Oficynka & Katarzyna Mlek, Gdańsk 2013

Opracowano na podstawie wydania pierwszego w języku polskim, Gdańsk
2013

Opracowanie edytorskie książki: kaziki.pl

Korekta: Katarzyna Lendzion

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka | Aureusart

Zdjęcia na okładce: © Oleg Kozlov | Dreamstime.com

© Mykola Velychko | Dreamstime.com

ISBN 978-83-62465-81-1



www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com

